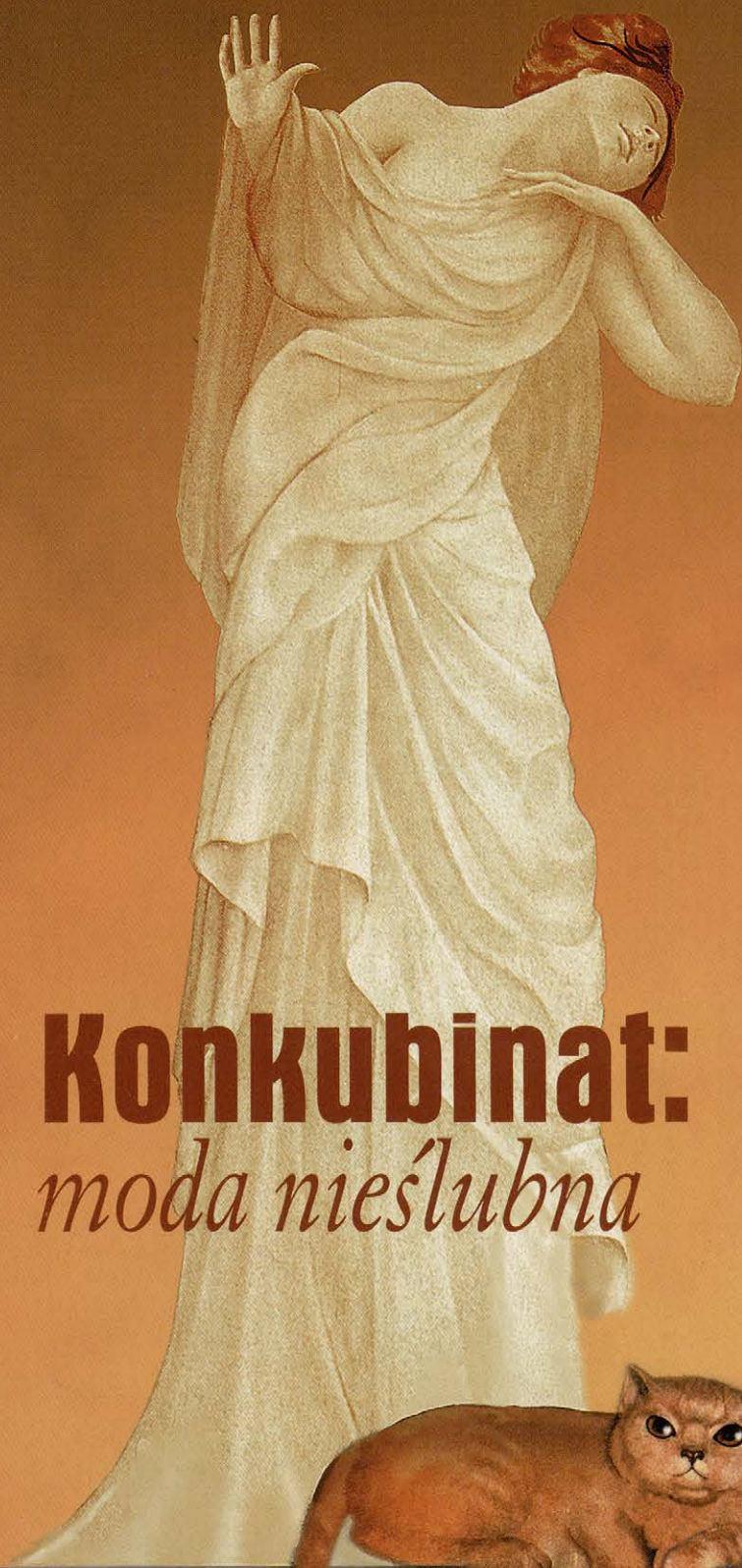


PRZE KRÓJ

Cena: zł 50 gr (w tym 7% VAT)

Grażyna Bukowska i Ewa Drzyzga
– dwie twarze telewizji
Futbolowa liga oszustów
Odprawa pracowników polskich



Konkubinat: *moda niesłubna*



ISSN 0033-2488
7700331248014

Indeks 371424 • Y-9013-C

Szukaj w swoim kiosku

Cena 5 zł (w tym 7% VAT)

100 najlepszych uzdrowicieli polskich

- BIOENERGOTERAPEUCI, KRĘGARZE, ZIELARZE
- CENY
- ADRESY
- METODY

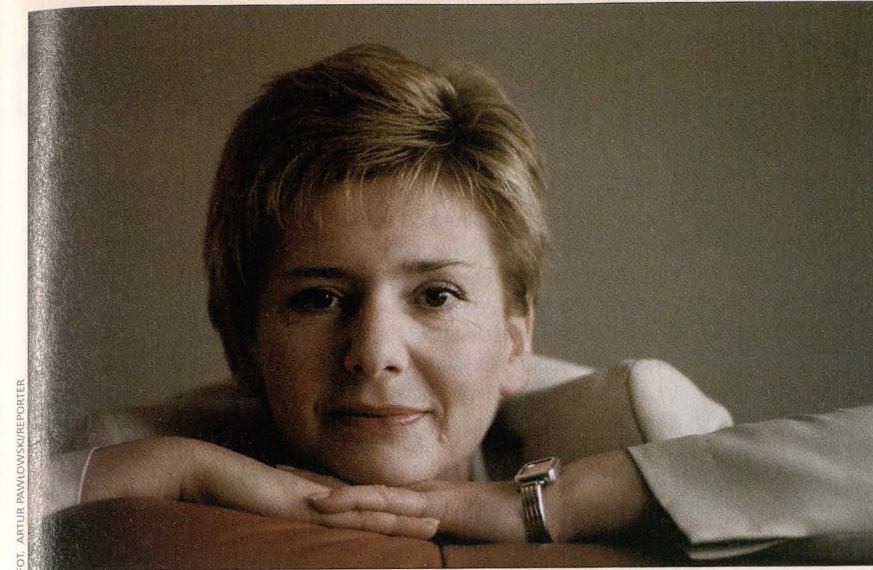
TYGODNIK KULISY NUMER SPECJALNY 1/2001 ISSN 1508-8308 INDEKS 310 441



RANKING PRZYGOTOWANY PRZEZ REPORTERÓW TYGODNIKA

Kulisy

NUMER SPECJALNY



FOT. ARTUR PAWŁOWSKI/REPORTER

10 BYŁAM CIEPŁĄ, SWOJSKĄ BABĄ. SzeF Telewizyjnej Agencji Informacyjnej pożegnał mnie kwiatkami, podziękował za pracę i powiedział, że miałam już dosyć dyżurów – mówi **GRAŻYNA BUKOWSKA** w rozmowie z **KAZIMIERZEM TARGOSZEM**.



FOT. JUSTYNA MIEJNIEWICZ

34 ODPRAWA PRACOWNIKÓW POLSKICH. Zwolnienia grupowe stają się w Polsce codziennością. Dotyczą nie tylko górników, hutników czy kolejarzy. Na bruk idą także dziennikarze, lekarze i bankowcy – **PIOTR LEGUTKO**.



FOT. PRZEMEK ZIMOWSKI/SUPER EXPRESS

54 FUTBOLOWA LIGA OSZUSTÓW. Podobnej afery jeszcze w polskiej piłce nie było. Pod koniec każdego sezonu zdarzały się na boiskach cuda, ale nie aż takie – **JERZY CIERPIATKA, WIESŁAW KRAJ**.



NUMER 23
10.06.2001
OKŁADKA:
RYS. DMITRIJ SZEWIONKOW-KISMIEŁOW

Listy	4
Od redakcji i CZEZOT w „Przekroju”	5
Przekrój tygodnia	6
Kazimierz Targosz Byłam ciepłą, swojską babą – rozmowa z Grażyną Bukowską	10
Izabella Bodnar Seans zwierzeń – rozmowa z Ewą Drzyzgą	15
Wydarzenia – Monopolista na widełkach	18
Człowiek „Przekroju” – Jacek Hawryluk	19
Barbara Pajchert Konkubinat: moda nieślubna	20
Roman Polesek Egzekucja dla mas	24
Wojciech Kuczok Nożyczki dla smoków	26
Tomasz Wolski Kaja to nie Kayah	28
Leszek Mazan Puste Hradczany	32
Piotr Legutko Odprawa pracowników polskich	34
Galeria – Martin Parr	38
Kamila Pawlik Starszy brat Zachęty	44
Formy – Jak zawiązać pas obi	46
Hoff – Nić	48
Adama Wiedemanna Dziennik „duszy”	49
Bogna Balicka Zamek na bruku	50
Sport – Futbolowa liga oszustów	54
Instrukcja obsługi telewizora	57
Media	58
Kultura	60-69
Klub Smakosza – Bikont, Makłowicz i Pióro	70
Szatnia – Pawlak	73
Kwestionariusz Prusa – odpowiada Jerzy Stuhr	74
Mieszanka firmowa	76
Bikont grzebie w starych „Przekrojach”	78
Krzyżówki	80
Co Pan na to, Panie Lem	82
Rozmaitości	84



Kupiłam numer 20 „P” zachęcona okładką. Skoro „Przekrój” przestał udawać, że ignoruje real tv w naszym polskim wydaniu, to chciałam zobaczyć, co macie do powiedzenia. Spotkało mnie duże rozczarowanie. Autorka zachłystuje się swoją intelektualną przewagą nad uczestnikami programu, internetami i, jak sama pisze w podtytułach, „sporą częścią telewizorów”. Sądzę, że naprawdę nie ma czym. Chyba że odkryciem, iż znakomita większość społeczeństwa to ludzie o niskich aspiracjach kulturalnych (wyższe wykształcenie ma 7 proc. Polaków). Ton artykułu sugeruje, że autorka neguje demokrację, kulturę masową i prawo ludzi do dobrowolnego zajadania się towarami niskiej jakości. W swoim młodym życiu nauczyłam się jednego – jeśli coś nie jest mi narzucane (oglądanie programu „Big

Brother” nie jest przecież przymusowe), a inni chcą z tego korzystać, to pozostaje mi być tolerancyjną. Nie muszę oglądać telewizji, więc o pewnych porach i na pewnych kanałach tego nie robię.

Uważam, że dziennikarze pisma takiej klasy jak „P” powinni pamiętać, że niekonstruktywna złośliwość to intelektualna porażka. Sprawa telewizji bez granic jest ciekawym materiałem do analizy pod wieloma względami. Szkoda, że nie skorzystaliście z tej możliwości.

Agnieszka Modras, studentka Uniwersytetu Warszawskiego
„Telewizji bez granic” poświęcimy niejedną jeszcze artykuł (Red.)

CICHO JAK W SIERADZU?

Wpadł mi w ręce tekst pana Pawła Głowackiego pt. „Cicho jak w Sieradzu” („P” 2917). Przypomnę, że Sieradz jest niewielkim byłym miastem wojewódzkim w centralnej Polsce, ma ponad 860 lat historii. Jest tu czyste powietrze i piękne nadwarciańskie krajobrazy. Stary bizantyjski podział na stolicę i prowincję w tego typu miastach znalazł swoje najgorsze rozstrzygnięcie.

Wiele szkodliwych dla takich miast ludzi rzucających takie hasła, jak pan Paweł Głowacki. Co ono oznacza, zdaniem autora felietonu? Otóż ludzie w Sieradzu nie biorą masowo udziału w dysputach na tematy teatralne. Po prostu jeżdżą lub chodzą do teatru

i tym się cieszą. Chodzą na koncerty i wystawy. Rzecz jasna, spora część „pilnuje telewizora” jak wszędzie. Wolne chwile spędzają na wolnym powietrzu, które sprzyja refleksji i zdrowiu. W tym mieście unosi się duch Cypriana Bazylika (wybitnej postaci polskiego renesansu), Mickiewicza, Reymonta, Tuwima, Miłosza i Zagajewskiego. Mamy tu zaufanie do starych sprawdzonych nazwisk i ich twórczości głodu nie karmimy. Nie odczuwamy głodu np. Jerzego Pilcha, tak mozolnie lansowanego przez wszystkie możliwe publikatory.

Sieradz nie idzie tak szybko z duchem czasu. Mimo to nie jest to taki zaścianek, jak się autorowi felietonu i być może nowemu przysłowiu wydaje. Żyje i pracuje tu całe mnóstwo bardzo ciekawych i wartościowych ludzi. Szkoda, że ich nie widać, kiedy się przez Sieradz przejeżdża. Być może ludzie ci są omijani przez wielkie wydarzenia kulturalne. Nie są jednak samotni, a jeśli już, to ich samotność jest często pełna wigoru, wigoru ludzi myślących. Czymże w końcu jest prowincja? Czyż nie mamy jej w głowie? A poza tym, czy widział pan Głowacki, jak wygląda Kraków albo Warszawa z góry, z samolotu, kiedy się wraca np. z Nowego Jorku?

Romuald Erenc, <erenc@poczta.onet.pl>, Sieradz
(muzyk, gitarzysta, kierownik artystyczny międzynarodowego festiwalu „Muzyka w dawnym Sieradzu”)

BRONI U NAS NIEMAŁO...

W numerze 2915 na s. 11 napisano: „w sąsiedniej Kanadzie, jednym z najbezpieczniejszych krajów świata, obywatele nie mają dostępu do uzbrojenia”. Nie jest to informacja prawdziwa. Jak wiadomo (źródło: <http://www.nfa.ca/information.html>) w ostatnim okresie, w wyniku wejścia w życie nowych przepisów, ponad 2,5 mln mieszkańców złożyło podania o licencję na posiadanie broni. Są to osoby, które już miały poprzednio broń i to niejedną sztukę... Poprzednie przepisy wymagały jedynie zezwolenia na posiadanie broni automatycznej, półautomatycznej i krótkiej (pistolety i rewolwery). Pół miliona Kanadyjczyków posiadało i posiada nadal tę broń... Przypomnę, że Kanada ma mniej mieszkańców niż Polska...

Adam Paradzis, <dradam@nucleus.com>, Edmonton, Alberta

GEJ TO CZŁOWIEK

Jestem zaskoczona artykułem Bożeny Keff pt. „Ratunku” („P” 2915). Po raz pierwszy spotkałam się z osobą, która nie neguje homoseksualistów, a wręcz woła: „ratujcie nas, siebie”. Dziękuję za te słowa. Teraz wiem, że są nieliczni, którzy nas rozumieją. Przypomina mi się walka Czarnoskórych o to, by byli traktowani jak ludzie. Czy musieli przejść przez cały ten koszmar, zanim zostali zaakceptowani? Czy nas też to czeka? Dlaczego traktujecie nas jak zbroźców, ekscentryków, nienormalnych? Cemu to, według Was, ponosimy winę za AIDS? Takich pytań nasuwa się mnóstwo, lecz nikt tak naprawdę nie potrafi podać sensownego argumentu. Wiem, że najprościej jest nas prześladować... Matka potrafi się wyrzec dziecka – geja czy lesbijki, pracodawca może zwolnić człowieka z odmienną orientacją. Czy chcecie, byśmy żyli w fałszywych małżeństwach, zatruwając życie współmałżonkowi, a dzieci wychowywali w kłamstwie i atmosferze burzy? My też jesteśmy ludźmi, którzy czują i chcą żyć bez strachu. Lecz to jest chyba niemożliwe wśród naszych „kochanych” rodaków. Prędzej zginęlibyście, niż dopuścili myśl, że gej i lesbijka to też ludzie, a nie „mit”, w jaki wierzyacie i wciąż się w nim utwierdzacie. Zrozumcie nas – niczego więcej nie chcemy!

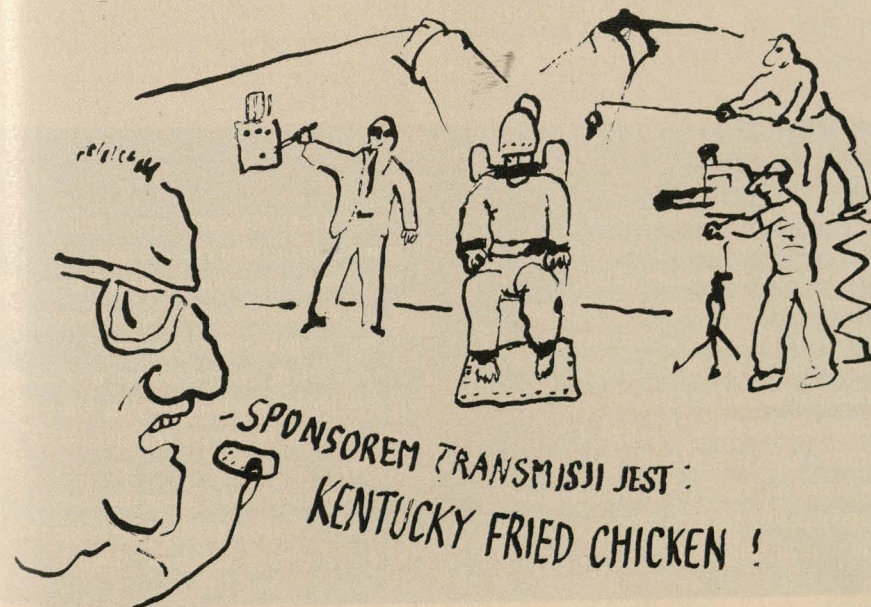
A.S., Kraków

ŚWINIA W OKNIE

Szaloną karierę robi pojęcie „rzeczywistości wirtualnej”. Jeśli ktoś nie przyswoił sobie sensu tego wyrażenia, służę objaśnieniem.

W ostatnim tygodniu przez całą polską prasę, radio i telewizję przegrzmiała wiadomość o demonstracji zorganizowanej pod redakcją „Przekroju” w proteście przeciw wydanej niedawno, a lansowanej przez nasze pismo, bo to dzieło skądinąd wybitne, książce-komiksowi „Maus”, w której przygotowano Polakom głowę świni. Zarzutami o antypolonizm obciążono zwłaszcza niżej podpisanego, który książkę ośmielił się przetłumaczyć. Gdy zaczęto drzeć na strzępy egzemplarz „Przekroju”, nie wytrzymałem, naciągnąłem na głowę gumową maskę świni i tak ukazałem się w redakcyjnym oknie nielicznie zgromadzonym demonstrantom. Mniejsza zresztą o zarzuty i argumenty, chodzi mi o rzecz nieco inną. Otóż cała ta pikietka, która reprezentowała aż siedem politycznych ugrupowań, składała się z 13 osób. Naprzeciw nich ustawiła się daleko liczniejsza grupa dziennikarzy zbrojnych w kamery, aparaty fotograficzne, dyktafony i długopisy. I byli oni JEDYNYMI świadkami całego zajścia, gdyż ulica Reformacka, zwłaszcza w sobotę w południe, raczej jest pusta. Nasza redakcja wtedy nie pracuje i nawet pub na dole nie jest jeszcze czynny. Myśmy sami o tym oczywiście napisali (w poprzednim numerze), bo to dla nas świetna reklama, a obawialiśmy się, że inaczej nikt się o tym nie dowie. Jakże niesłusznie. Wyrazy solidarności posypały się zewsząd, nawet z Ameryki. W ten oto sposób manifestacja uliczna, której nie widział żaden cywilny obywatel, dzięki mediom stała się faktem społecznym i politycznym. I kolejnym dowodem na naszą nadwiślańską ksenofobię. Oglądałem jakiś czas temu prognozę pogody w telewizyjnych Wiadomościach. Spikerka na balkonie gmachu TV na żywo relacjonowała wyżej i niżej, gdy nagle gdzieś tam z dołu jak coś nie grzmotnie! Spikerka się zacukała, ale zaraz odzyskała rezon i dalej snuła swoje izobary. Bardzo chciałem dowiedzieć się, co się tam – tuż poza kadrem – wydarzyło. Nic z tego. Bo nieważne, co jest, ważne, co ma być. Media nie komentują świata realnego, tylko kreowaną przez siebie pseudorzeczywistość. Pamiętajcie, Czytelnicy, że okno na prawdziwy świat mieści się w zwyczajnej futrynie, w ścianie Waszego pokoju.

PIOTR BIKONT



czeczot PRZEKRÓJ

WYDAWNICTWO „PRZEKRÓJ” Sp. z o.o.

ADRES: 31-012 Kraków, ul. Reformacka 3
lub 30-960 Kraków I, skrytka pocztowa 533,
e-mail: prze_red@przekroj.pl;
TELEFONY – łączą centrala: (012) 422-18-33,
422-18-72, 422-59-54, 422-18-92, 421-91-37
fax (012) 421-49-29, 422-70-61

PREZES ZARZĄDU: Krzysztof Żamotał
WICEPREZES I DYREKTOR: Piotr Dziekan
REDAKTOR NACZELNY: Maciej Piotr Prus
Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO: Piotr Bikont
SEKRETARZ REDAKCJI: Marcin Baran
SEKRETARIAT ODPOWIEDZIALNY: Mirosław Chomko,
Józef Lubiński, Andrzej Ruchalowski

DZIAŁY:
Kultura: Benjamin Lazar, Tomasz Przybyłkiewicz,
Dobrosław Rodziewicz, Jacek Ziemek (p.o. kierownika)
Ludzie i obyczaje: Izabella Bodnar,
Wojciech Czuchnowski (kierownik), Jakub T. Janicki,
Barbara Pajchert, Roman Polesek, Justyna Tawicka
Nauka i zdrowie: Teresa Bętkowska,
Janusz Marjan (kierownik), Leszek Peters
Formy: Łukasz Działkiewicz,
Wojtek Koccolowski (kierownik),
Stefan Rokita, Bogna Wernichowska
Publicyści: Ludwik Jerzy Kern, Leszek Mazan,
Jerzy Piekarczyk, Kazimierz Targosz,
Dorota Terakowska

Pracownia graficzno-komputerowa:
Piotr Gidlewski (kierownik graficzny), Maria Klich,
Jan Kozak, Joanna Sroka (kierownik makiety)
Dział fotograficzny: Joanna Dyzek, Marek
Szczepański (fotodzytysta), Bogdan Kręžel, Jan Zych
Korekta: Anna Rudnicka, Małgorzata Strakowska-
Szczurek, Barbara Wojtanowicz (kierownik)
Produkcja: Michał Kędryna, Andrzej Laurisz

WYDAWNICTWO: gł. księgową – Halina Zięba,
kolportaż – Barbara Bagińska (kierownik)
DZIAŁ PROMOCJI: Marcin Fedisz (kierownik),
Anna Korwin, Wadaw Kaczmarczyk („Złoty Grosz”)

BIURO REKLAMY:
Dyrektor: Wiesław Nowak (0502-56-96-02)
Warszawa – ul. Wolska 45 A,
tel./fax (022) 631-46-68, 631-35-62,
Kraków – tel. (012) 422-70-61, Marzena Kiedacz

NASZE KONTO: Bank Pekao SA – I O/Kraków
nr 12401431-7010439-2700-401112-001

DRUK: Winkowski Sp. z o.o. ul. Okrzei 5,
64-920 Piła, tel. (0-67) 210-84-00

PRENUMERATA – krajowa: terenowe oddziały
Ruch SA, wszystkie urzędy pocztowe oraz redakcja;
zagraniczna: Ruch SA, Oddział Krajowej Dystrybucji
Prasy, 00-958 Warszawa, ul. Jana Kazimierza 31/33
konto: Pekao SA IV O/Warszawa, nr 12401053-
40060347-2700-457872-001,
tel. +48(22) 5328-731,
fax +48(22) 5328-732 oraz redakcja
(wpłata na podane wyżej konto bankowe)
Artykułów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów
w nadesłanych artykułach i listach.

Nakład: 80 000 egz.

TAJEMNICE RODÓW

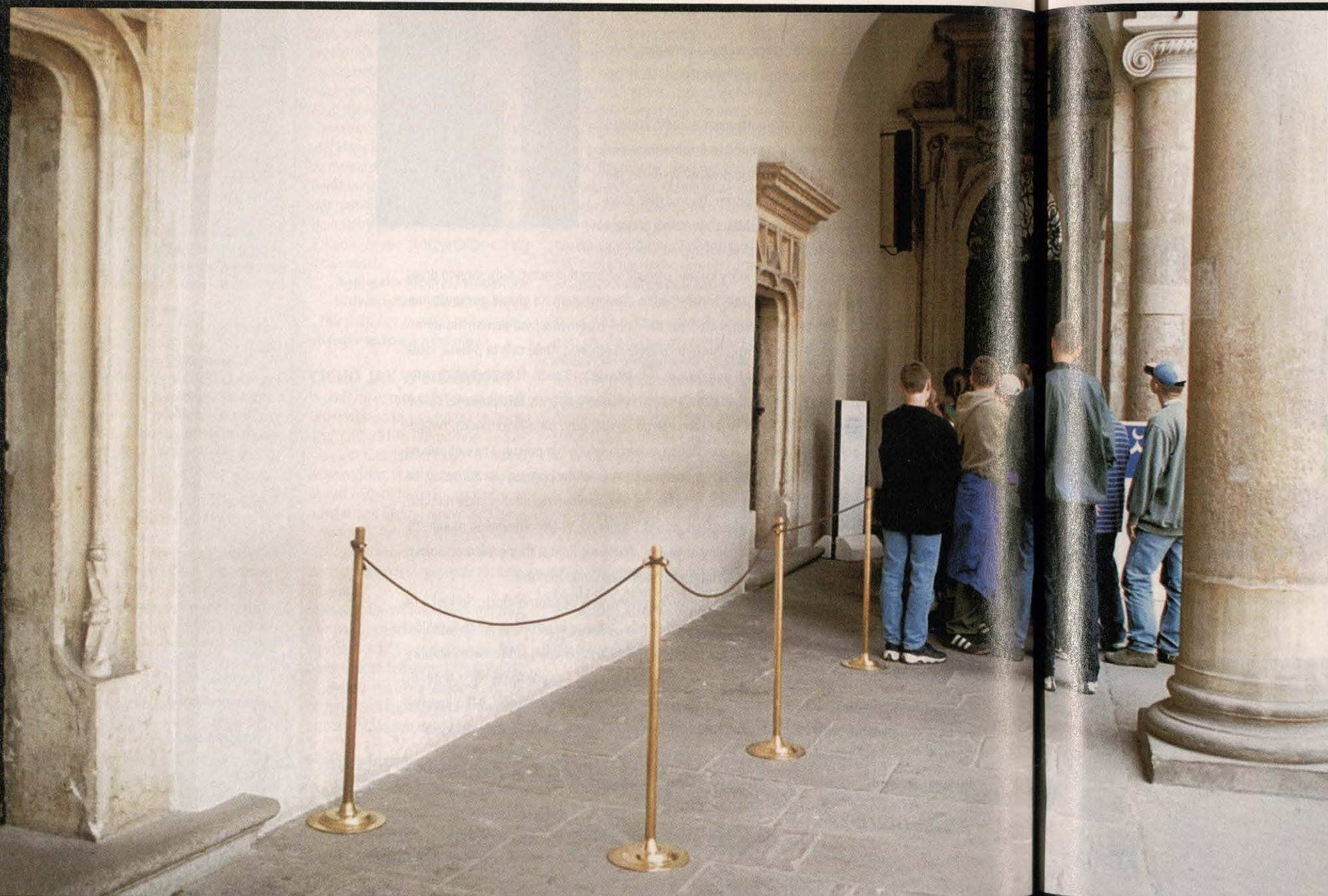
W starym „P” znalazłem krótkie wspomnienie o zasługującej na pamięć rodzinie Dyboskich, zwłaszcza o wybitnym angiście Romanie Dyboskim, profesorze UJ. Chciałbym sprostować pewne błędy. Wspomniana w „P” żona Antoniego Dyboskiego Maria i – jak czytam – „z domu hrabina Łopuszańska” była rodzoną siostrą mojej babki, Łucji z Łopuszańskich Ficowskiej. Otóż nigdy nie były one hrabiankami! Matką obu siostr (moją prababką) była Eleonora, I voto Czermak, II voto Łopuszańska, córka wiedeńczyka, barona Alfonsa de Pont-Wullyamoz. Cioci Maryni – jak ją w rodzinie ojca mego zwano – przysługiwałby najwyższy tytuł baronowski, gdyby nie to, że tylko potomkowie płci męskiej go dziedziczyli. Mimo to Maria, wyrosła w niedostatku półsierota, matka Romana Dyboskiego, wzdychająca do klimatu wyższych sfer, zamówiła sobie przed ślubem wizytówkę



z baronowską koroną, a popełniając mezalians, jako warunek zawarcia związku małżeńskiego z Antonim zażądała zmiany chłopskiego nazwiska narzeczonego z DYBEK na DYBOSKI. Tak się też stało, choć osobliwie „dyskretne” źródła biograficzne do dziś przemilczają tę przemianę.

Jerzy Ficowski, Warszawa

Na zdjęciu (powtórzone za „P” 2886) Antoni Dybek-Dyboski i Maria z dziećmi. Przyszła sława anglistyki, prof. Roman Dyboski, to ten chłopiec, pierwszy z lewej.



GDZIE SIĘ PODZIAŁ ROZUM?

Dyrektor zamku wawelskiego prof. Jan Ostrowski wsparł własnym autorytetem naukowym stwierdzenie, że „na Wawelu nie działają żadne niezwykle siły mogące mieć pozytywny wpływ na stan psychiczny i fizyczny człowieka”. Ostrzega się więc przed dawaniem wiary plotkom na temat istnienia cudownego kamienia (czakramu), gdyż nie jest to oparte na jakichkolwiek przesłankach naukowych ani religijnych.

Oświadczenie, skonsultowane z proboszczem katedry wawelskiej, umieszczono obok ściany, którą ogrodzono, aby nie dotykali jej ludzie wierzący w legendę o czakramie. Jacy to ludzie dotykają ściany, można zobaczyć na fotografiach Bogdana Krężela w „P” 2896–7 oraz na wystawie przy ul. Stolarskiej w Krakowie, którą też pewnie należałoby zamknąć, aby się ludziom pojęcia ducha i materii nie mieszały.

Od kilku lat na Wawelu prowadzona jest krucjata przeciwko czakramowi. W społeczeństwie ludzi religijnych pewną grupę wierzących akurat w co innego niż większość pokazuje się palcem. Tymczasem dzięki czakramowi do Krakowa przyjechał już niejeden turysta, który nie miał pojęcia, że istnieje coś takiego jak Wawel. Na wzgórzu wawelskim panuje święte oburzenie, że ktoś próbuje uprawiać tutaj kult mistycznego kamienia, zamiast

oddawać się innego rodzaju mistryce. Dyrekcja zamku i zarząd katedry informują teraz, że „uprawianie praktyk okultystycznych nie licuje z godnością Wawelu jako miejsca najwyższych wartości historycznych i religijnych, a udział w tego rodzaju praktykach jest sprzeczny z zasadami wiary katolickiej”. Walka z czakramem ma jednak taki sam sens jak nauki z wiarą. W tej walce ludzie nauki zapominają, że siłą powinien być zdrowy rozum.

ZGRZYT W UNII

„Chcę budować Europę, nie demontując przy tym Francji” – francuski premier Lionel Jospin odrzucił niemiecką wizję Europy sfederalizowanej na wzór landów. Opowiada się za federacją państw narodowych, które w Unii Europejskiej powinny odgrywać rolę centralną.

SIEDMIU SZCZĘŚLIWYCH

Od nowego roku będziemy mieć 315 powiatów ziemskich – przybędzie siedem z siedzibami w Lesku, Wschowej, Łobzie, Sztumie, Węgorzewie, Gołdapi i Brzezinach. Wniosków było 14, rząd pozytywnie rozpatrzył połowę. Nowe powiaty utrzymywać się będą z dotacji centralnych, ale zadecydowały silne więzi kulturowe.

POSEŁ W GABINECIE

Parlamentarzyści nie wyrzekną się immunitetu, po zakończeniu kadencji dostaną wysokie odprawy. Nowy projekt ustawy przewiduje ponadto, że każdy z 560-osobowej reprezentacji narodu będzie miał własny gabinet. Ponieważ Sejm pęka w szwach, ogłoszono konkurs na projekt jego rozbudowy.

GONIAĆ KORMORANY

W okolicach Elku ktoś spalił ponad 60 gniazd kormoranów. Nie lubią ich miejscowi rybacy, którzy twierdzą, że nie mogą nadążyć z zarybianiem jezior, bo ptaki zżerają wszystko. Na odszkodowania nie liczą, gdyż prawo polskie nie uwzględnia faktu, że objęte ochroną kormorany mają przemożny apetyt.

SILA PRAWICY

Z koalicji 9 partii powstał w Rosji jeden Sojusz Sił Prawicy. Jego utworzenia nie wymusił głos rozsądku, ale nowa ustawa, która do uczestnictwa w wyborach dopuszcza tylko partię liczącą co najmniej 10 tys. członków.

HUSAJN WIECZNIE ŻYWI

Eksperci amerykańskiego wywiadu, analizując arabską powieść „Zabibah wal Malik”, doszli do wniosku, że jej współautorem jest rządzący Irakiem Saddam Husajn. Niedawno inni eksperci CIA twierdzili, że Husajn nie żyje, a w Bagdadzie urzęduje jego sobowtór.



Trąba powietrzna przeszła przez Podhale. Żywiol niszczył dom w 10 sekund. W podobny sposób przestało istnieć ponad sto budynków. Strażacy dziwili się, że nie było ofiar.



Andrzej Seweryn otrzymał od ministra kultury Kazimierza M. Ujazdowskiego propozycję objęcia dyrekcji artystycznej w Narodowym Starym Teatrze w Krakowie.



Brytyjska modelka startuje do parlamentu z hasłem: „Głosuj na Jordan, dla lepszej i większej przyszłości”. Hasło nawiązuje do naturalnych walorów kandydatki, których zalety powinni docenić wyborcy.

FOT. PAPIERA

FOT. B. KURASZKAG

FOT. K. KAROLCZYKAG



FOT. PAPIERA

„Bez niego Rosja będzie zupełnie innym państwem” – napisały „Wiedomości” po odwołaniu Rema Wiachiriewa (na fot. z W. Putinem) z funkcji prezesa Gazpromu, kontrolującego jedną czwartą światowego wydobycia gazu ziemnego.

DUSZA WYBORCZA

W kampanii wyborczej pojawiły się cukierki z napisem „Słodkości daje ci Unia Wolności”. Były poseł AWS, Michał Kamiński, zapowiada promocję „w amerykańskim stylu” swej książki pt. „Poseł z polską duszą”. Sylwia Pusz podczas matur rozdawała długopisy z hasłem „Niech nie PUSZczą ci nerwy”, czym naraziła się Komisji Etyki SLD.

MOTORY PRZYJAŹNI

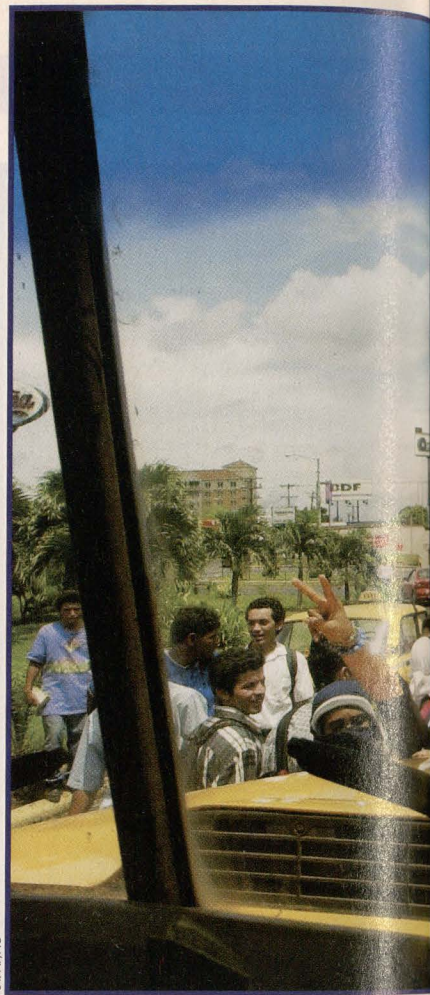
130 posłów niemieckiego Bundestagu, członków rządu i administracji, udało się motocyklami w Podróż Przyjaźni Berlin-Warszawa. Podczas spotkania w Sejmie okazało się, że motocykli używa tylko dwóch posłów: Wende i Dzięwulski, ale mają najlepsze i najszybsze modele kawasaki. Ktoś z gości przytomnie zapytał: „Gdzie w Polsce można jeździć motocyklem osiągającym 300 km na godzinę?”.

Z KOZĄ DO RYNKU

„Drogi Przywódca” Korei Północnej, Kim Dzong Il, zezwolił obywatelom na posiadanie kozy i swobodne poruszanie się po kraju. Obserwatorzy uważają to za wymuszony biedą i głodem krok w stronę gospodarki rynkowej. Do tej pory Koreańczyk z północy niczego nie mógł mieć na własność.

PORNOWIZJA

Platforma cyfrowa Wizji TV funduje abonentom kodowany pornograficzny kanał Private Gold, dobrze znany Krajowej Radzie Radiofonii i TV, która odmówiła jego rejestracji jednej z łódzkich kablówek. Podobnie kombinuje Polsat, który wspólnie z „Playboyem” chce zastąpić „Różową landrynkę” czymś bardziej „ambitnym”, ale najpierw sondował, czy nie miałyby nic przeciwko temu hierarchia kościelna.



FOT. AP/AG



Studenty protestują przeciwko rosnącym kosztom transportu. Podczas strajku transportowców w stolicy Nikaragui demonstrują na masce autobusu swoją niechęć do rosnących cen.



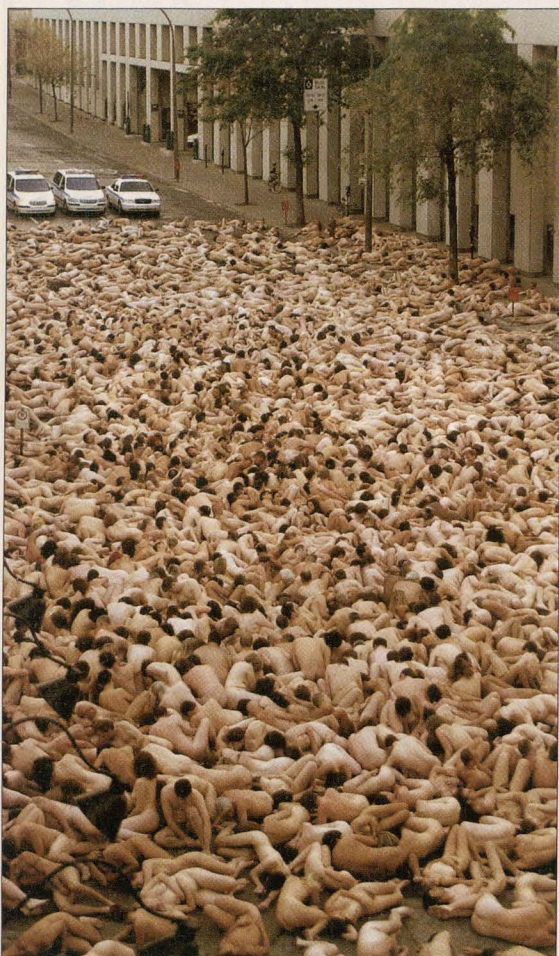
FOT. AG/AP

Irański prezydent Chatami przed portretem duchowego przywódcy Iranu, ajatollaha Chamenei. Trudna konfrontacja tendencji reformatorskich z religijną tradycją republiki islamskiej.



FOT. PAPIAP

Litewscy przeciwnicy NATO. W czasie sesji Zgromadzenia Parlamentarnego NATO w Wilnie demonstrowali swój brak entuzjazmu również pod hasłem: „Oświaty, nie wojska”.



FOT. PAPIAP

Nagie tury – specjalność nowojorskiego fotografa Spencera Tunicka. Ostatnio do wspólnego zdjęcia zaprosił mieszkańców Montrealu. Zgłosiło się blisko dwa tysiące ochotników.



FOT. PAPIAP

Wielki mistrz Takanohana (159 kg) miota wielkim mistrzem Musashimaru (219 kg). Turniej sumo odbył się w Tokio.

MYŚL TYGODNIA

Ty się Platformo nie uśmiechaj, ty patrz, kto na ciebie wchodzi.

Janusz Rewiński & Krzysztof Piasecki

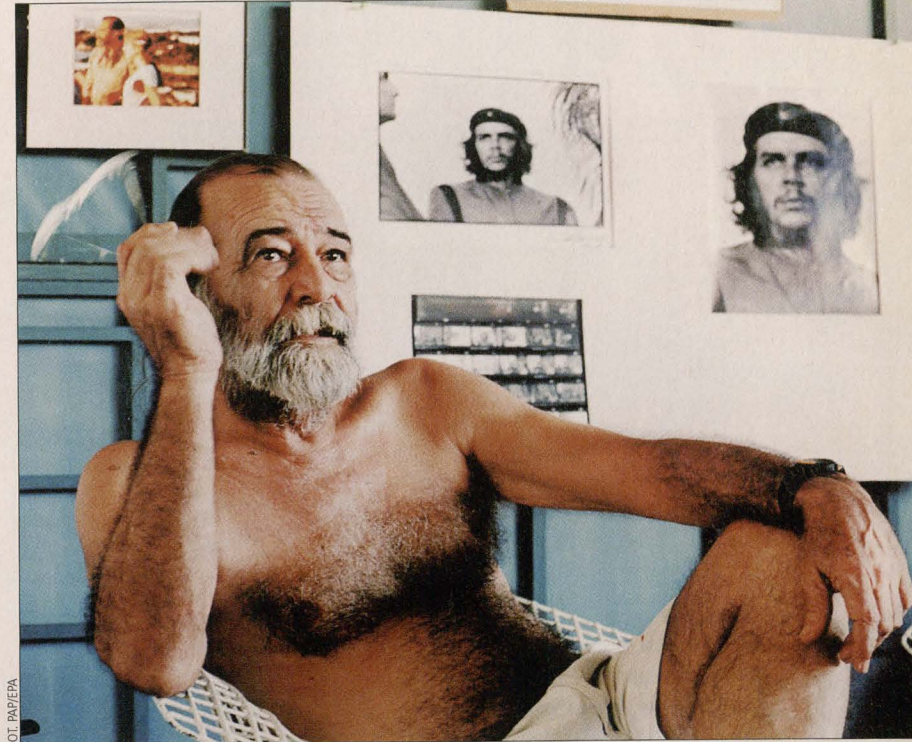


FOT. P. BERNASFORUM



FOT. PAPIERA

Światowy Dzień bez Tytoniu w Bangkoku. Przeciwnicy palenia podczas ulicznej parady. Około 60 proc. mężczyzn zamieszkujących Ażję to palacze, którzy są nadzieją koncernów tytoniowych.



FOT. PAPIERA

Fotograf kubański Alberto Diaz, znany jako Korda, który zmarł w Paryżu, był autorem słynnego zdjęcia Ché Guevary, reprodukowanego później na plakatach, flagach i podkoszulkach. Jako jeden z nielicznych fotoreporterów miał możliwość robienia zdjęć podczas rewolucji kubańskiej.

Z GRAŻYNA BUKOWSKĄ
ROZMAWIA KAZIMIERZ TARGOSZ
ZDJĘCIA ARTUR PAWŁOWSKI/REPORTER

Byłam ciepłą, swojską babą

Jestem sprzedawcą. Można dobrze sprzedać i wtedy ludzie to kupią, albo gorzej, i wtedy nie kupią. Ale nawet sprzedawcy nie jest wszystko jedno, czym handluje.

GRAŻYNA BUKOWSKA
– dziennikarka, prezenterka, ukończyła biologię na UW. Prowadziła Telewizyjny Kurier Warszawski, Panorama Dnia i Wiadomości. Zajmowała się też marketingiem w firmie farmaceutycznej. Ma 15-letnią córkę, Julię.



A więc odeszła pani z TVP. Dlaczego? Miała pani dobre notowania u widzów i u szefów. Prezes Robert Kwiatkowski powiedział mi parę dni temu, że jest pani jedną z gwiazd telewizji publicznej.

Już odpowiadałam na to pytanie, ale z sympatii do „Przekroju” powiem jeszcze raz. Zrobiłam to, bo jeśli wszystko zmierza do tej zmiany, to trzeba jej dokonać. Po dwudziestu latach pracy w TVP, w tym dziesięciu w Wiadomościach, człowiek zaczyna sobie zadawać pytanie: jak długo jeszcze? Czy do końca jestem pewna, że tylko to chcę w życiu robić? Uznałam, że chciałabym robić coś innego. To jedna przyczyna, a druga to coraz większe ciśnienie polityków na informację, co stało się już nie do zniesienia, nawet dla prostej prezenterki, która ma niewielki wpływ na program.

Na czym polega to ciśnienie?

Przejawia się w tym, że politycy nieustannie telefonują, przysyłają faksy, proszą, żądają, grają o swoje barwy partyjne. Mają prawo zabiegać o popularność, ale my mamy obowiązek pokazywać nie tylko to, co dzieje się w świecie polityki, ale przedstawiać możliwie pełny obraz świata. Na ostatnim ogólnym zebraniu usłyszałam od Marka Kassy – wiceszefa Telewizyjnej Agencji Informacyjnej, że nie ma co się zaszłaniać widzami, że trzeba zaspokajać życzenia środowisk politycznych, bo jeśli tego nie robimy, to oni czują się niedowartościowani, i zadałam pytanie, czy robimy Wiadomości dla polityków, czy dla widzów, usłyszałam, że ważne są przede wszystkim środowiska polityczne.

Ale dlaczego właśnie teraz panią to zbulwersowało? Upolitycznienie TVP jest stare jak świat.

Owszem, politycy zawsze naciskali, ale w ciągu ostatnich dziesięciu lat, zwłaszcza na początku lat dziewięćdziesiątych, naciski te były mniejsze. Z czasem działało się coraz gorzej, teraz jest bardzo źle, a warto pamiętać, że zbliżają się wybory parlamentarne. Bardzo wiele zależy od tego, kto jest na drugim końcu telefonu, kto odbiera faksy, podnosi słuchawkę. Czy ma na tyle silną wolę i poczucie pewności swoich racji, że potrafi powiedzieć: nie. Nie łudźmy się, nie ma informacji bez polityki, ale jest kwestia proporcji, smaku, rzetelności dziennikarskiej.

Kiedy pani ma dyżur, śledzi od początku narodziny Wiadomości. Jak to się odbywa? Najczęściej tak, że już po ustaleniach kolegium redakcyjnego, gdzieś o godzinie 16.00, 17.00 nadchodzi faks do wydawcy

albo do kierownika zespołu Wiadomości z dopiskiem: „Bardzo ważne, proszę to uwzględnić”. I wydawca to uwzględni. Najczęściej te adnotacje pochodzą od Marka Kassy. Na szczęście, jest jednak tak, że trzy pierwsze newsy są rzeczywiście najważniejszymi tematami dnia, ale już później pojawiają się tematy, których mogłoby nie być w najważniejszym programie telewizji publicznej. Spadają natomiast interesujące tematy z terenu albo kulturalne. Liczy się natomiast to, by pokazać kolejną konferencję polityków. A jeśli ulegnie się raz politykom jednego ugrupowania, to potem zgłaszają się następni. Mamy wyścig konferencji partyjnych, zwłaszcza w weekendy.

A jaka jest rola prezentera?

Prawie żadna. Mogę coś zasugerować, na przykład kolejność wiadomości, ale jeśli jest to polecenie dyrekcji, to nie ma dyskusji. Prezenter to człowiek, który jest przezroczyście.

Ale może przeczytać jedną informację ciepło, a inną nie bardzo.

Ciepło mogę przeczytać informację o tym, że Andrzej Wajda zdobył Oscara albo że Adam Małysz wygrał kolejny konkurs skoków. Informacje polityczne nie mogą być interpretowane, interpretacja należy do widza.

Anglicy rozróżniają w mediach dziennikarza i sprzedawcę towarów.

Ja właśnie jestem takim sprzedawcą. Ale można dobrze sprzedać i wtedy ludzie to kupią, albo gorzej, i wtedy nie kupią. Jeśli prezes Kwiatkowski był uprzejmy wyrazić się o mnie dobrze, to może ja to nieźle sprzedawałam. Ale nawet sprzedawcy nie jest wszystko jedno, co sprzedaje.

Ale skoro informacja jest w coraz większym stopniu towarem, przynosi większą oglądalność, a więc i zyski, to może media nie są już „czwartą władzą”.

Są. Siła mediów jako „czwartej władzy” to siła pewnej kontroli, patrzenia politykom na ręce, czy to, co robią, robią dobrze. Rolą TVP jest przekazywanie treści ważnych dla wyborców. Często, niestety, ta „czwarta władza” nie spełnia funkcji kontrolnej, ale właśnie jest sprzedawcą.

Źródłem tego zła, o którym mówimy, jest, o dziwo, prawo. Artykuł 23 ustawy o radiofonii i telewizji mówi, że: „jednostki publicznego radia i telewizji stwarzają partiom politycznym możliwości przedstawiania stanowiska w węzłowych sprawach publicznych”.

Pytanie, co się rozumie przez określenie „węzłowy” i kto ma o tym decydować. Dla polityka każda rzecz prezentowana przez

niego będzie węzłowa. Ale to dziennikarz, wydawca powinien decydować o tym, co istotne.

A tymczasem, jak mówi Tomasz Lis, nie decydują dziennikarze, tylko „komisarze polityczni”.

Lis przesadza, choć prawdą jest, że każdy ma swojego komisarza. Ale czy można powiedzieć, że media są do końca niezależne. Czy „Przekrój” może powiedzieć o sobie: jesteśmy absolutnie niezależni. Owszem, jesteście niezależni od polityków, ale nie od właściciela. Każdy ma swojego właściciela. Właścicielem telewizji publicznej powinno być społeczeństwo, widzowie.

Jaka refleksja towarzyszy pani po dwudziestu latach pracy w TVP?

Być może trochę banalna, ale sprowadza się ona do konstatacji, że telewizja publiczna ma ogromną siłę oddziaływania. I byłoby fantastycznie, gdyby w TVP pracowali ludzie, którzy nie myślą o niej w kategoriach układów politycznych albo przystanku w karierze.

Czy jest duża różnica między telewizją sprzed 1989 roku i po?

Kolosalna. Wtedy działały takie historie, które do dziś pamiętam, na przykład do dyrektora dyżurnego dzwonił prezes

Szczepański i obrzucał go „mięsem” za coś, co akurat telewizja pokazywała. Później bywało różnie. Pracowałam parę lat w Telewizyjnym Kurierze Warszawskim, który był pewną enklawą. Lubił nas pierwszy sekretarz komitetu warszawskiego i my, naturalnie, lubiliśmy jego. Tak naprawdę zaczęło się zmieniać w roku 1988, kiedy przeszedł do Panoramy Dnia. Pojawił się też Teleexpress i oba te programy miały więcej swobody niż DTV o 19.30. Między nami były animozje, bo oni brali na siebie wszystkich sekretarzy, a my pokazywaliśmy na przykład Kisiela albo Waldorffa.

Może więc sami nie jesteście bez winy? Kto powinien walczyć o prawdę, niezależność, rzetelność dziennikarską, jeśli nie sami dziennikarze?

Muszę się z tym zgodzić. Nikt nam wcześniej tego nie zabraniał.

Dlaczego więc zdobyła się pani na to dopiero teraz? Może, oprócz względów politycznych, w grę wchodzi także to, co nazywa się chorobą telewizyjną, magią telewizji, która sprawia, że trudno się z nią rozstać.

Oczywiście. Mam już czterdzieści pięć lat, a telewizji potrzebna jest świeża krew, zmiana pokoleniowa. Prezes TVN Mariusz

Liczy się to, by pokazać kolejną konferencję polityków. A jeśli ulegnie się raz politykom jednego ugrupowania, to potem zgłaszają się następni.



W każdej kobiecie drzemie tęsknota za silnym mężczyzną, na którym mogłaby się wesprzeć i który swoją mądrością i inteligencją odgrodziłby ją od wszelkich problemów.

Walter zawsze powtarza, że telewizję powinni robić ludzie między 25 a 35 rokiem życia, bo oni mają najwięcej pomysłów, energii, są najbardziej kreatywni.

Być może, choć dziennikarze nie dzielą się na młodych i starych, ale na dobrych i złych. I chodzi raczej o to, że trudno nagle podjąć decyzję, która powoduje radykalną zmianę. Bo nic nie daje takiej popularności, sławy, pieniędzy jak telewizja. Czy nie boi się pani, że jest to decyzja zbyt pochopna?

To się dopiero okaże. Jeśli idzie o pieniądze, to są przywoite, choć nie takie jak na przykład w telewizjach komercyjnych. Ponieważ ja, z małą przerwą na urlop macierzyński, spędziłam w telewizji prawie dwadzieścia lat, przyjmowałam tę pracę jako rzecz normalną. Zyskałam popularność w mikroświatku warszawskim, już pracując w Telewizyjnym Kurierze Warszawskim. I wiem, że byłam tylko popularna. To nie była żadna moja zasługa. Może tylko potrafiłam się przebić przez szybę telewizora do tych zwykłych ludzi, którzy mnie oglądali i być może woleli mnie oglądać niż kogo innego, bo byłam ciepłą, swojską babą. Oczywiście, to miało wielką wartość – przekładało się na zaufanie, aprobatę.

Będzie pani pracować w wydaniu „Super Express – Weekend”. Nie było innych propozycji, na przykład z konkurencyjnych stacji telewizyjnych?

Nie. I może dlatego nie miałam dylematów moralnych, czy iść za ciężkie pieniądze do komercyjnej stacji, czy za mniejsze do porządnej gazety.

Jest pani osobą silną psychicznie, ambitną?

Silną psychicznie, chyba tak, a ambitną – mniej. Cóż mogłoby być moją ambicją? Być dyrektorem w telewizji publicznej? To są stanowiska na krótki dystans, choć przykład Marka Kassy dowodzi czego innego.

Czy do tej pory kierowała pani swoim życiem, czy też niosło ono panią samo?

Chyba trochę tak i tak. Na początku mnie niosło, zwłaszcza w telewizji, do której trafiłam dość przypadkowo. Natomiast to, co robiłam teraz, to jest świadoma decyzja. Dojrzywałam do tego od początku roku.

W którymś z wywiadów powiedziała pani, że jest osobą „nieskończenie prózną”, co było chyba prowokacją, bo uchodzi pani raczej za osobę skromną, antygwiadzę.

To była świadoma prowokacja, choć proszę mi wierzyć, że jest naprawdę przyjemnie pokazywać się w telewizji, iść ulicą i być rozpoznawanym, obdarzanym uśmiechem albo uwagą: Och, jak my panią lubimy, pani Grażyno. Taka próżność to po prostu potrzeba akceptacji, która nie jest obca nikomu.

Jeśli, jak u niektórych pani koleżanek i kolegów, nie przechodzi w megalomanię.

Ktoś powiedział kiedyś o ludziach pracujących w TVP to, co mówiono kiedyś o Adamie Hanuszkiewicz, że jest zakochany w sobie w wzajemnością.

Ale Hanuszkiewicz miał do tego prawo, bo zrobił parę fajnych rzeczy w teatrze. Teraz, z perspektywy czasu można powiedzieć, że był prekursorem pop-kultury.

Czy otrzymywała pani listy miłosne, z propozycjami matrymonialnymi?

Owszem, ale z upływem czasu coraz mniej. Bo to jest tak, jak mówi Roman Polański: „Młode i ładne kobiety są lepsze niż stare i brzydkie”. On ma rację. I – jak pan wie – wprowadza tę zasadę w życie. **Przyznała pani kiedyś, że ma szacunek dla patriarchalnego modelu rodziny. A przecież całe życie pracuje pani zawodowo, rozwiodła się.**

A jakbym chciała nie pracować! Patriarchat polega na tym, że musi być jeszcze patriarcha. Jak go nie ma, to kobiety muszą się brać do roboty.

Ale pani nie wygląda na taką słabą kobietkę, która potrzebuje silnych męskich ramion.

W każdej kobiecie drzemie tęsknota za silnym męskim ramieniem, na którym mogłaby się wesprzeć, za człowiekiem, który swoją mądrością i inteligencją odgrodziłby ją od wszelkich problemów.

Przeczytałem sporo wywiadów z panią i – co charakterystyczne – większość z nich dotyczy spraw osobistych, życia prywatnego, pani cudownego odchudzenia itp. Prawie nic nie dowiedziałem się o tym, co tak naprawdę w duszy gra, co pani myśli o życiu, o świecie?

Pana pytanie sugeruje, że prezenterki telewizyjne to idiotki, które niczego nie wiedzą, nic nie czytają. Czytam dużo, do upojenia, szczególnie literaturę rosyjską, na przykład Babla, Dostojewskiego, Bułhakowa, ale też Hrabala, Stefana Chwina, Pawła Huelle. Przeczytałam też Bridget Jones, ale nie przepadam za feministkami. Nigdy nie chciałabym stracić ciekawości świata, zapału do poznawania czegoś nowego.

Powiedziała pani w „Super Expressie”, że pożegna się z telewizzami prosto: „Do widzenia. Dziękuję bardzo”.

Ale nie dano pani takiej okazji, pozbawiając ostatnich dwóch dyżurów w maju.

To prawda. Nie powiedziałabym nic prócz tego, że dziękuję wszystkim za sympatię i zaufanie, którym mnie obdarzali. Nie było mi to dane, może dlatego, że była już taka jedna prezenterka – Ola Jakubowska, która na wizji zabrała ze sobą torebkę. Szef Telewizyjnej Agencji Informacyjnej Michał Maliszewski pożegnał mnie kwiatkami, podziękował za pracę i powiedział, że miałam już dosyć dyżurów.

Rozmawiał
KAZIMIERZ TARGOSZ



SEANS zwierzeń

z EWĄ DRZYŻGĄ ROZMAWIA IZABELLA BODNAR • ZDJĘCIA JAN ZYCH

Nie ma potrzeby zwierzeń, ale jest osobą płacziwą.

Czy pani łatwo się zwierza?

Nie należę do takich osób.

O jakim smutnym, traumatycznym doświadczeniu ze swego życia opowiedziałaby pani widzom?

Takiego przeżycia nie miałam. Poza tym nie mam w sobie potrzeby zwierzania się. **Entuzjaści programu TVN „Rozmowy w toku” uważają panią za „polską Oprah Winfrey”, przeciwnicy – za dziennikarkę**

polującą na cudze nieszczęście, ból i tży, żeby epatować publiczność za wszelką cenę.

Nie jestem łowcą łez, a już na pewno nie za wszelką cenę, choć łzy w moim programie zawsze są prawdziwe. Gdyby obecni w studiu goście – którzy opowiadając o swych tragicznych przeżyciach, płaczą – nie życzyli sobie, by te łzy pokazać, nikt by ich nie zobaczył. Ale chciałabym, aby łez i smutku było coraz mniej.





Ewa Drzyzga od swoich gości wydobywa wyznania, o jakich marzy prokurator i sędzia



PŁATNE ROZMOWY

Goście prowadzonych przez Ewę Drzyzgę „Rozmów w toku” rzadko sami zgłaszają się do telewizji. Najczęściej wyszukuje ich sztab researcherów-dokumentalistów. W gazetach ogólnopolskich i regionalnych wynajdują informacje o interesujących ich bohaterach. Najchętniej widziani są ci, którzy przeżyli traumatyczne doświadczenia (gwałt, wypadek, pożar, pobicie, nieudaną operację) lub osoby z marginesu społecznego, chcące opowiedzieć o swoim życiu. Dokumentaliści proszą czasem dziennikarzy gazet o odpłatne odstępowanie adresów kandydatów do występu. Za pełne „dossier” bohatera dziennikarz otrzymuje od 200 do 300 zł. Stawki płacone bohaterom „Rozmów” i podobnych programów trzymane są w tajemnicy. Nieoficjalnie wiadomo, że są to sumy od 1000 do 1500 zł. Przed nagraniem każdy występujący musi wyrazić pisemną zgodę na wykorzystanie swojego wizerunku przez telewizję – jest to zabezpieczenie przed ewentualnym procesem o ochronę dóbr osobistych.

Pani często płacze?

Kiedy mam dużo pracy, na płacz brakuje mi czasu. Ale zdarza się, że płaczę nawet podczas mojego programu. Z natury jestem płaczącą osobą, mam to chyba po siostrze dziadka, która płakała niemal w każdej okoliczności.

W „Rozmowach w toku” wydobywa pani od swych gości wyznania, o jakich na próżno marzy sędzia i prokurator – np. prostytutka zasiada w studiu z alfonsem, który czerpie z niej zyski, i wspólnie o tym – wraz z panią – rozmawiają. Burdelmama opowiada, jak sama wyszła na ulicę, aby nabrać doświadczenia, uruchamiając agencję towarzyską... Żona spotyka się z kochanką swego męża... Jak pani ludzi „otwiera”, by o swych przeżyciach mówili, gdy idą w ruch kamery, a więc wręcz na rozkaz?

Zadanie mam trochę ułatwione. Bo nim mój gość przyjdzie do studia, musi najpierw – tak sądzę – sam ze sobą porozmawiać, choć swego problemu często nie potrafi jeszcze wtedy nazwać. Gdy czuje, że chce już na głos mówić o tym, co go uwierza, przychodzi do nas. Czasem dopiero na końcu programu – bo ja nigdy nie nalegam – mówi to, czego na początku w ogóle nie zamierzał powiedzieć. Być może, słuchając cudzych zwierzeń, pojął, że prawda nie boli. Ludzie

rozumieją – przynajmniej niektórzy – że prawda może bardzo oczyszczać. I dlatego chcą o niej mówić publicznie.

Jak udaje się pani dotrzeć do katów i ich ofiar, do niedoszłych samobójców, żigolaków czy transeksualistów?

Wyszukuje ich sztab młodych, dynamicznych pracowników TVN. Ale większość moich gości sama się do nas zgłasza. Robimy wszystko, aby zawsze uwiarygodnić historię danej osoby, przedstawiając telewizjom obie strony konfliktu. Jeśli przychodzi do nas matka, której córka ukradła pieniądze, zawsze staramy się dotrzeć do córki.

Pani goście często wycofują się tuż przed wejściem do studia?

Dotąd nikt się nie wycofał w ostatniej chwili. Zdarza się, że komuś zabraknie odwagi i rozmyśli się na kilka dni przed programem, ale potem zwykle dzwoni do nas po upływie kilku miesięcy i – choć z opóźnieniem – występuje w programie. **Trudno mi zrozumieć prostytutkę, która w studiu mówi – pokazując twarz – że jej największym życiowym pragnieniem jest, by jej dziecko w przyszłości nigdy się nie dowiedziało, jaki proceder matka uprawiała za młodu.**

Jeżeli goście tego sobie życzą, ukrywamy ich twarze, aby mogli czuć się bezpiecz-

nie. Kiedyś gościłam w studiu panią, która nie chciała pokazać twarzy tylko dlatego, że 20 lat temu nazywano ją „żoną wampira”, który zamordował dwie kobiety – w miasteczku miała wyłącznie wrogów. Jej sąsiedzi nie mogli zrozumieć, że nie pomagała mordercy i nawet nie wiedziała, kim naprawdę jest jej mąż. Wykonano na nim wyrok śmierci. Ale mówiła, że gdyby teraz, po 20 latach, pokazała twarz w telewizji, nie dano by jej spokoju nawet w kościele i nie mogłaby się tam spokojnie pomodlić. Bo – mówiła – „tacy są u nas ludzie i znowu by się mnie czepiali”. To bardzo bolesne stwierdzenie.

Pani goście nie obawiają się, że po emisji programu zostaną na długo potępieni, choćby przez sąsiadów?

Często ludzie przychodzą do studia właśnie po to, by sąsiadom raz na zawsze zamknąć usta. Publiczne przyznanie się do czegoś często powoduje, że już nie ma o czym szeptać za plecami.

Tydzień temu uczestniczyłam w nagraniu pani kolejnego programu – brał w nim udział ojciec chłopca zamordowanego dwa lata temu przez satanistów i mężczyzna związany z nimi przez piętnaście lat, który w ramach inicjacji pił ludzką krew, później zabijał zwierzęta, a swego psa

nie zabił tylko dlatego, że mieszkał z rodzicami. Kiedy zapytała pani eksatanistę, czy na zawsze wyrzekła się szatana, dopiero po chwili wahania odparł „tak”. Nie uwierzyłam mu. I coraz bardziej żał mi było ojca zamordowanego chłopca. Po co go pani zaprosiła do studia?

Na pewno niełatwo było mu uścisnąć przed kamerami, i to obok ojca ofiary, ale być może właśnie to da mu do myślenia, że lepiej wyrzec się szatana na zawsze. Było to bardzo kontrowersyjne spotkanie, najtrudniejsze dla ojca, ale ojciec mógł posłuchać człowieka, którego bogiem był kiedyś szatan. Tym samym był diabeł dla morderców jego syna.

Rozmawiamy tuż po nagraniu odcinka „Rozmów w toku” z udziałem 18-letniej dziewczyny, która uciekła z domu, i jej – według niej – lubiących alkohol rodziców. W studiu we troje prowadzili tak żenującą wymianę zdań, że nie tylko we mnie wzbudziła niesmak, wstyd i zażenowanie.

Obecny w studiu ksiądz powiedział ważną rzecz: w rodzinie dziewczyny zabrakło miłości. I to jest klucz do rozwiązania tej zagadki. **A dla publiczności – której się później przysłuchiwałam – klucz do pani programów stanowi pytanie: za ile człowiek gotów jest sprzedać telewizji swoje najintymniejsze**



Jej goście przychodzą często do studia po to, by raz na zawsze zamknąć sąsiadom usta

przeżycia? Widzowie twierdzą, że za przyjazd do TVN otrzymują 20, a osoba zabierająca podczas programu głos w dyskusji – 300 zł. I kalkulują, że każdy pani gość, który przed kamerą obnaża się aż do bólu – dostaje co najmniej 1,5 tys.

Za tę kwotę – mówią – ekshibicjonizm psychiczny może się komuś opłacać. Pierwszy raz słyszę o takiej cenie. I to wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia.

Rozmawiała IZABELLA BODNAR

Monopolista na widełkach

Nie dajmy się TP SA! – nawołują w Internecie, apelują w ulotkach rozdawanych na uczelniach i na ulicy. To protest przeciwko kolejnej podwyżce abonamentu telefonicznego, jaką 1 maja zafundowała swoim klientom Telekomunikacja Polska SA.

W ciągu ostatnich 5 lat abonament telefoniczny TP SA wzrósł aż o 400 proc. Ostatnia podwyżka – o 40 proc. – spowodowała podniesienie go z 30,5 do 42,7 zł (z VAT).

Szefowie TP SA decyzję tę tłumaczą koniecznością inwestowania i ciągłego rozbudowywania sieci. Podkreślają, że jednocześnie obniżone zostały opłaty za połączenia międzynarodowe. Oczywiście jest to mydlenie oczu klientom, bo na całej tej operacji „podwyżko-obniżki” firma zarobi prawie dwa miliardy złotych.

Przeciwko praktykom Telekomunikacji zaprotestował rzecznik

praw obywatelskich Andrzej Zoll, który zwrócił się do prezesa Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów (UOKiK) z prośbą o wyjaśnienie, czy firma stosuje praktyki monopolistyczne. Abonament telefoniczny Zoll nazwał „ukrytym podatkiem, który zmuszeni jesteśmy płacić, nie otrzymując niczego w zamian”.

W ubiegłym roku Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów ukarał TP SA wysoką grzywną (55 mln zł) właśnie za praktyki monopolistyczne pozwalające na windowanie cen za swoje usługi. Zarząd TP SA odwołał się jednak od tej decyzji do NSA i wciąż czeka na rozstrzygnięcie. Groźba kary nie jest chyba aż tak wielka, skoro nie przeszkodziła Telekomunikacji w kolejnej podwyżce.

Konkurencja nie śpi

Ze wzrostu cen w TP SA cieszą się natomiast operatorzy telefonii komórkowej, którym wciąż przybywa klientów. – Tak znaczna podwyżka abonamentu spowoduje rezygnację kilku tysięcy ludzi z telefonów stacjonarnych na rzecz komórkowych – szacują szefowie Ery GSM. Bogdan Marcinkiewicz, rzecznik Ery, przekonuje, że telefon komórkowy jest nie tylko wygodniejszy, ale i tań-

szy od stacjonarnego. Ponadto oferuje usługi nieosiągalne w telefonii stacjonarnej.

Podwyżka abonamentu przez TP SA zmobilizowała operatorów sieci komórkowych do rozpoczęcia wielkiej kampanii reklamowej. Polskim operatorom telefonii komórkowej marzy się bowiem Szwecja. Tam prawie 80 proc. ludzi ma telefony komórkowe. W naszym kraju jest już 8 milionów użytkowników, chociaż jeszcze kilka lat temu specjaliści szacowali, że w 2001 roku będzie ich zaledwie 3 miliony.

Internauci nienawidzą Telekomunikacji z całego serca. W sieci są strony z uwagami i radami dotyczącymi składania skarg reklamacyjnych, a także bardzo ciekawe i emocjonujące opisy bitew staczanych przez internautów ze swoim największym wrogiem. „Żołnierze, rewolucja, bagnet na broń! Zniszczyć tyrana TP SA” – nawoływali internauci pod koniec ubiegłego roku, protestując przeciwko wysokim kosztom połączeń lokalnych ponoszonych z racji korzystania z telefonicznego dostępu do sieci.

Bojkotujemy

Akcja internautów, polegająca na powstrzymaniu się w określone dni od połączeń z Internetem,

przyniosła TP SA spore straty, chociaż szefowie firmy głośno się do tego nie przyznają.

Wielką zgorą internautów są także zrywane podczas logowania połączenia z Internetem. Telekomunikacja wlicza trwające kilkanaście sekund połączenie do rachunku. A korzystający z Internetu wiedzą, że czasem takie próby logowania się trwają bardzo, bardzo długo. Telekomunikacja otrzymuje w związku z tym tysiące reklamacji. Internauci twierdzą, że większość z nich jest odrzucana, a rzecznicy TP, że rozpatrywana pozytywnie.

Ostatnia podwyżka abonamentu przez Telekomunikację znów zadziałała na internautów jak płachta na byka. „Ponownie się zorganizujemy i zbojkotujemy monopolistę. Niech za maj, czerwiec i dalsze miesiące, aż do skutku, nasze rachunki za telefon spadną o połowę” – czytamy w liście rozsyłanym w sieci. „Maksymalnie ograniczmy rozmowy miejscowe i rozmowy z telefonu stacjonarnego do telefonu komórkowego (oczywista inspiracja operatorów telefonii komórkowej). Łupnijmy monopolistę po kieszeni”.

A tymczasem TP SA planuje przejść kontrolę nad portalem Wirtualna Polska i wykupić ponad 50 proc. jego akcji. A wtedy strzeżcie się internauci!

BP



Didżej muzyki poważnej

JACEK HAWRYLUK ukończył muzykologię na Uniwersytecie Warszawskim. Ma 32 lata, choć na to nie wygląda. Przypomina bohatera teledysków któreś z angielskich alternatywnych grup muzycznych. Jest dziennikarzem muzycznym i wielkim miłośnikiem muzyki poważnej, o której regularnie opowiada na antenie II Programu Polskiego Radia. Współpracuje także z Radiostacją, gdzie od sześciu lat, a dokładnie od 14 lipca 1995 r. (święto narodowe Francji i dzień urodzin Jacka) prowadzi audycje o alternatywnej muzyce francuskiej – „Kolonie francuskie”. Jest też recenzentem muzycznym „Machiny” i „Ruchu muzycznego”. Od kwietnia przebywa na stypendium w Radio France w Paryżu, przyznawanym przez Fundację Leonardo da Vinci.

Naukę gry zaczynał w szkole od fortepianu, który później zamienił na klarnet. Z graniem bywało różnie – bardziej interesowała go historia, teoria i analiza muzyczna. Pasjonowała go też historia średniowiecza. W szkole muzycznej wszyscy chcieli być wirtuozami, on zaś świadomie wybrał muzykologię. Marzył o pracy w radiu. W latach osiemdziesiątych w Polsce funkcjonowało tylko radio publiczne, które w tamtych czasach było jedynym źródłem nagrań.

– O dziewiętnastym był Beethoven, potem Duke Ellington, muzyka new romantic, punk rock, dyskografia Joy Division i mnóstwo innych rzeczy. Nagrywałem wszystko, bo wszystko wydawało mi się interesujące.

Jest miłośnikiem muzyki poważnej, ale w Radiostacji prowadzi audycje o alternatywnej muzyce francuskiej.

Jego determinacja i pasja szybko zostały dostrzeżone, początkowo przez radiowców z Rozgłośni Harcerskiej, gdzie robił programy o muzyce alternatywnej, później w II Programie Polskiego Radia. Tutaj od lat próbuje zjednywać sobie młodych słuchaczy i walczyć z przekonaniem, że Dwójka to radiowe muzeum.

W 1994 roku wyjechał na stypendium do Poitiers i tam odkrył tzw. francuską alternatywę. Dziś jest chyba jedynym w Polsce muzycznym ekspertem w tej dziedzinie. Oprócz „Kolonii francuskiej” prowadzi także w Radiostacji programy „Nastrój radio” i „Alternatywy 22”. W Polsce muzyka poważna nadal uważana jest przez wielu za dziedzinę hermetyczną i przeznaczoną dla wąskiego grona słuchaczy. Dlatego Jacek uważa, że trzeba o niej wciąż pisać i promować za wszelką cenę. – Jeśli ktoś zgłasza się do mnie z prośbą, bym napisał o muzyce poważnej, nigdy nie odmawiam. Uważam, że to mój obowiązek. Nawet jeśli chodzi o popularną gazetę kobiecą. To świetny sposób na promocję tej muzyki i pokazanie, że w ogóle istnieje.

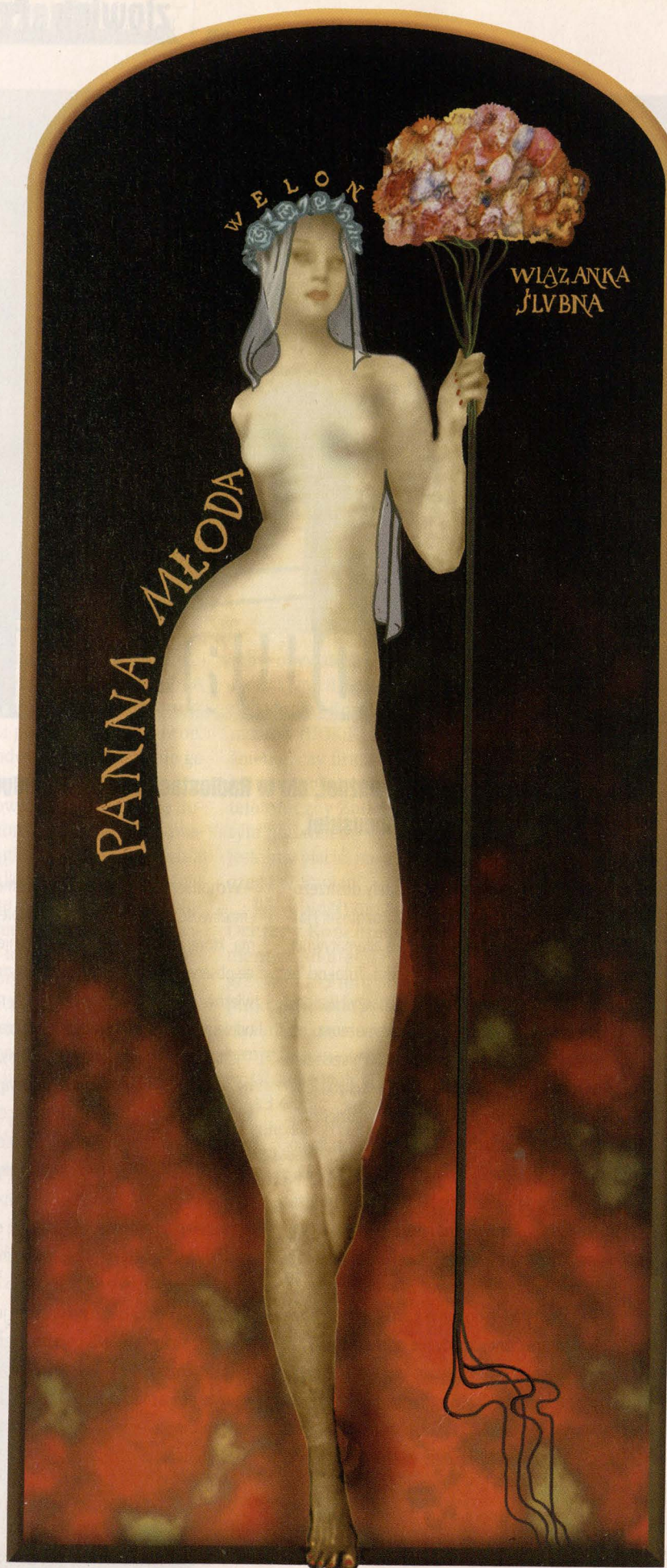
Słuchanie muzyki porównuje do wizyty w kinie, podczas której wkraczamy w zupełnie nowy świat – pełen pięknych i prostych emocji, które stają się naszym azyłem, miejscem ucieczki.

– Wchodzenie w ten świat to ogromna przyjemność i możliwość obcowania z muzyką, której na co dzień nie ma, której się już nie wykonuje. To nieprawdopodobnie obserwować, jak to wszystko się zmieniało w ciągu wieków. Zdaję sobie sprawę, że każdy ma swój klucz do odbierania muzyki. Mój – nad czym czasami ubolewam – jest chwilami za bardzo profesjonalny, wręcz analityczny. Jeśli chodzi o muzykę rozrywkową, przede wszystkim kieruję się emocjami. Gdybym chciał oceniać ją poprzez pryzmat historii muzyki, nie powinienem jej nigdy słuchać – przecież to są zawsze trzy akordy i nikt już nic mądrzejszego nie wymyślił. W przypadku tego rodzaju muzyki najważniejszy jest pomysł i emocje.

Wśród ulubionych kompozytorów muzyki współczesnej wymienia Pawła Szymańskiego i Pawła Mykietyna. Największym marzeniem Jacka jest reaktywowanie pisma „Studio”, jedynej jak dotąd gazety branżowej i zajmującej się w Polsce rynkiem fonograficznym muzyki poważnej. Tam ponad pięć lat szlifował swoje dziennikarskie talenty, tam też nauczył się najwięcej. Pytany o plany na przyszłość z błyskiem w oku i ironicznym uśmiechem odpowiada:

– Chciałbym zostać gwiazdą MTV, oczywiście jako didżej muzyki poważnej.

ANNA JANICKA



BARBARA PAJCHERT
ILUSTRACJE DMITRIJ SZEWIONKOW-KISMIEŁOW

KONKUBINAT: *moda nieslubna*

Szacuje się, że w Polsce w wolnych związkach żyje około 8 proc. par. Kraje zachodnie konkubinaty zaakceptowały i ustanowiły odpowiednie uregulowania prawne. W naszym prawie to słowo nie pojawia się wcale.

– Jesteśmy ze sobą bez ślubu, bo nie chcemy się potem rozwodzić – mówi wiele par, żyjących od lat w konkubinatach. Małżeństwo nie jest aktem cementującym wspólne życie. Coraz więcej osób wybiera bycie ze sobą bez ślubu. 40 proc. Francuzów i ponad 60 proc. Szwedów żyje „na kocią łapę”, nawet w katolickiej Hiszpanii zwiększa się liczba dzieci zrodzonych w związkach nieformalnych.

Konkubina – brzydkie słowo

„Zwłoki 43-letniego mężczyzny odnaleziono w Sandomierzu. Ciało odkryła konkubina i powiadomiła policję”. „Na rok i 8 miesięcy więzienia skazał Sąd Okręgowy w Koninie Piotra M., oskarżonego o podpalenie domu, w którym mieszkała jego konkubina z 3-letnią córką. Skazany mówi, że niczego nie pamięta. Twierdzi, że był wówczas w ciągu alkoholowym”. „Policja zatrzymała 45-letnią kobietę podejrzaną o znęcanie się fizyczne i psychiczne nad 6-letnim dzieckiem swego konkubenta”. „W mieszkaniu należącym do konkubiny Marka R. policjanci znaleźli spirytus pochodzący z przemysłu”.

tu”. Takie informacje możemy znaleźć w gazetach niemal każdego dnia. Można odnieść wrażenie, że konkubinaty dotyczą wyłącznie osób pochodzących z marginesu – alkoholików, złodziei, bandytów.

– Konkubinaty to brzydkie słowo, źle się kojarzące. I chociaż faktycznie żyjemy z Ewą już siedem lat bez ślubu, nigdy nie myślę o niej jak o mojej konkubinie. Jak by to zresztą brzmiało: „moja najdroższa konkubino?” – mówi Marek, młody lekarz. – Wolę już: „na kartę rowerową” czy „na kocią łapę”. Są przynajmniej zabawne.

Maryla i Andrzej – 16 lat w konkubinacie, również nie lubią tego określenia. – Gdy myślę konkubina, to od razu nasuwa mi się alkoholiczka. Chociaż czasami, szczególnie w różnych urzędach, mówię o Marylce „to moja konkubina”, bo uwielbiam te spojrzenia pełne współczucia i politowania – wyznaje Andrzej.

Faworyta i utrzymanka

Słowo konkubinaty pochodzi z języka łacińskiego. „Com cubere” znaczy po prostu sypiać ze sobą. W słownikach języka polskiego możemy znaleźć takie synonimy słowa konkubina jak: nałożnica, kochanica, faworyta czy utrzymanka. Ciekawe, że słowo konkubent pojawia się po raz pierwszy dopiero w 1996 roku. Jako pierwszy istnienie rodzaju męskiego zauważył „Słownik współczesnego języka polskiego”. Definicji konkubinaty jest wiele. Najczęściej mówi się o dwu osobach żyjących ze sobą tak, jakby zawarły związek małżeński, które łączy więź fizyczna, emocjonalna lub gospodarcza. Niektórzy, przede wszystkim katolicy autorzy, upierają się, iż musi to być związek heteroseksualny. Według nich związki homoseksualne konkubinatem być nie mogą. Tak czy inaczej sprawa dotyczy dwóch osób mieszkających we wspólnym gospodarstwie domowym, o które wspólnie dbają i czasem mają też wspólne dzieci.

Chociaż konkubinaty często kojarzone jest z końcem wieku XX, to tak naprawdę jest stary jak świat. Znany jest też we wszystkich kulturach, chociaż na przykład na Wschodzie ma on nieco inny charakter. W Chinach na przykład starodawny obyczaj nakazywał bogatym mężczyznom utrzymywanie oprócz prawowitej małżonki – kilku konkubin. Jeszcze dziś dla chińskiego biznesmena czy mafijnego bossa posiadanie konkubiny jest oznaką wysokiego statusu społecznego. Nowe chińskie prawo rodzinne, które właśnie wchodzi w życie, zrównuje konkubinaty z bigamią. Żona będzie mo-

gła teraz oskarżyć męża o utrzymywanie kochanki i żądać na tej podstawie rozwodu. Zwyczaj Chińczycy nowe prawo przyjęli bardzo ciepło, gdyż stare obyczaje kojarzyły im się z feudalną przeszłością. W innych państwach azjatyckich (Tajwan, Tajlandia, Japonia, Korea Południowa) obyczaj posiadania konkubin jest wciąż pielęgnowany w różnych warstwach społeczeństwa. W krajach zachodnich konkubinaty swój tryumfalny pochód rozpoczął pod koniec lat sześćdziesiątych. Gdy w 1968 r. konstatacysta odwrócił się od małżeństwa jako „symbolu alienacji”, życie w wolnym związku stało się z kolei symbolem rewolucji obyczajowej.

Telewizja lepsza niż żona

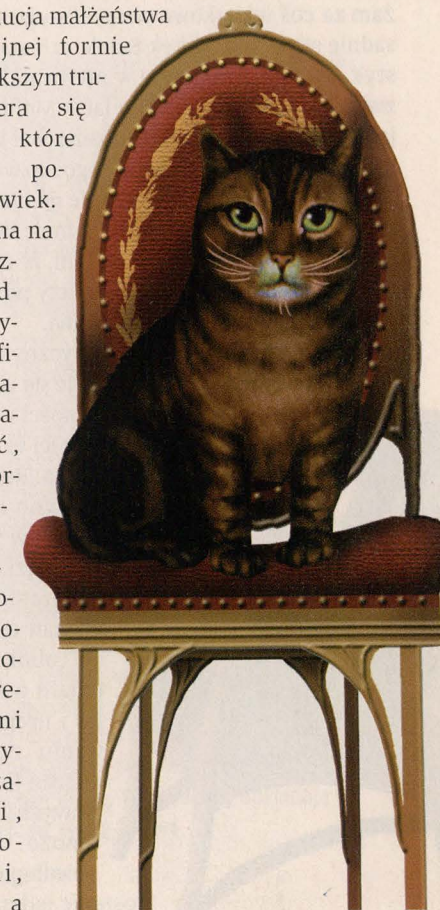
Na początku lat 80. pary żyjące w wolnych związkach licznie zawierały śluby. Dziś konkubinaty znów przeżywa swój renesans. Zewsząd słyszymy opinie o kryzysie rodziny oraz przeobrażeniach mentalności i obyczajów. Liczne rozwody są z pewnością znakiem rozpadu tradycyjnego pojmowania instytucji małżeńskiej, jej symboliki i rytuałów. Socjologowie coraz częściej określają związek dwojga ludzi jako „byt buntowniczy”. Rozczarowanie dotychczasową, tradycyjną formą zakładania rodziny poprzez zawarcie związku małżeńskiego w kościele czy nawet wyłącznie w urzędzie prowadzi do szukania innych, alternatywnych form „bycia razem”. Według raportu hiszpańskiego Narodowego Instytutu Statystycznego, w latach 90. XX w. liczba rozwodów w tym katolickim kraju wzrosła o 47 proc. w stosunku do poprzedniej dekady, a separacji o 50 proc. Zaobserwowano też, że decyzje o małżeństwie i posiadaniu dzieci odkładane są „na później”. W dodatku – czytamy w tym samym raporcie – życie małżeńskie przegrywa wyraźnie z telewizją. Przeciętny Hiszpan ogląda ją prawie 4 godziny dziennie. W dokumencie Rady Europy opublikowanym pod koniec 1999 r. czytamy: „W wielu krajach europejskich brak zainteresowania instytucją małżeńską osiągnął poziom alarmujący”. W Skandynawii aż o 67 proc. wzrosła liczba dzieci narodzonych poza zalegalizowanym związkiem. Z obszernego raportu dziennika „Liberation” wynika, że we Francji trzy i pół miliona osób żyje „na kocią łapę”, a jedna czwarta dzieci rodzi się w związkach nieformalnych.

Po Bogu umarli mężczyźni

Analizując prace socjologów i psychologów zajmujących się przemianami w na-

szych obyczajach, zauważyłam, że najczęściej mówią oni o załamaniu tradycyjnych, chrześcijańskich wartości i laicyzacji społeczeństw zachodnich. Ale wśród przyczyn tych wszystkich zmian wymieniają także: emancypację kobiet, upadek kultury patriarchalnej i polaryzację postaw seksualnych.

– Po Bogu umarli mężczyźni – wieszczą z triumfem kobiece kolorowe magazyny. Czasopismo „Biba” przytacza opinie socjologów udowadniających istnienie fenomenu „radosnej feminizacji świata”, polegającego na przejściu władzy nad sfrustrowanym, wątpliwym w swoje możliwości mężczyzną przez pozbawione wszelkich kompleksów i zahamowań kobiety. Jaka przyszłość czeka mężczyznę wpadającego w kompleksy z powodu swych niedoskonałych mięśni, członka, nadwagi w konfrontacji z triumfującą kobiecością? Czy pomoże mu jogging, wizyty w salonach piękności lub implanty? Jeśli nawet teoria o feminizacji świata jest mocno naciągana, to z pewnością świat mężczyzn – twórców społecznego porządku i jego instytucji, kodeksów prawnych i systemów wartości – został mocno podkopany. Instytucja małżeństwa w tradycyjnej formie z coraz większym trudem opiera się zmianom, które przyniósł poprzedni wiek. Jest podatna na jego mroczne doświadczenia, pesymistyczną filozofię, zagubienie, samotność, utratę wzorców i paradigmatów. Coraz częściej nie może sobie poradzić z otoczeniem: rewolucjami kulturalnymi, obyczajowymi, technologicznymi, modą



i wreszcie ze wzajemną komunikacją. Mężczyźni i kobiety egzystują coraz mocniej w swoich własnych światach, utracili wspólny język dawnej kultury i mają kłopoty z porozumieniem. Wolne związki mają być alternatywą. Próba „dogadania się” na nowo.

Pobrali się i... rozeszli

Kora Jackowska, zapytana przez dziennikarza w jednym z wywiadów, dlaczego nie legalizuje swojego długoletniego związku z Kamilem Sipowiczem, odpowiedziała: „bo boimy się powtórzyć historię, jaka przydarzyła się naszym przyjaciółom. Otóż ta para żyła w podobnym związku jak my przez wiele lat, pobrali się w końcu... i rozeszli”.

– Żyjemy bez ślubu, bo oboje jesteśmy przekonani, że ślub radykalnie zmienia nasz stosunek do partnera. Nagle wydaje nam się, że ta druga osoba to nasza własność, tak jakbyśmy dokonali jakiegoś zakupu. Nawet kłótnie w małżeństwie są inne – tłumaczy 35-letnia Maryla, która przed związkiem z Andrzejem przez cztery lata była mężatką. – Nie chcemy brać ślubu, bo gdyby tak miało się zdarzyć, że zdecydujemy się na rozstanie, to chcemy to zrobić sami, bez żadnych świadków. Nie wyobrażam sobie takiej sytuacji, że w sądzie jakaś obca baba będzie wpięprzała się z bucioremami w naszą sypialnię. Rozwody w sądach uważam za coś wyjątkowo obrzydliwego – dosadnie stwierdza Marek Sidek, artysta plastyk, który z Anną żyje w nieformalnym związku już ponad siedem lat. – Mój przyjaciel namówił mnie, żebym zeznawał w sądzie jako świadek podczas jego rozwodu. Mówiłem prawdę. Skończyło się na tym, że przyjaciel się na mnie obraził, a mnie wtedy olśniło. Przrzekłem sobie po tym, że nigdy nie narażę siebie i kochanej kobiety na tego typu traumatyczne doświadczenia.

Coraz częściej decyzję o faktycznym rozjeździe się dwóch osób uznaje się za akt należący do sfery prywatności i wolności osobistej. Granicą dla tej wolności są jednak prawa dziecka. Reguła ta dotyczy zresztą zarówno małżeństw, jak i par żyjących w wolnych związkach. Zagwarantowanie praw dziecku (obok podziału majątku i uregulowaniu zobowiązań finansowych) być może już niedługo zostanie jedynym

obszarem interwencji sądu w sprawy małżeńskie.

Prymitywni hedoniści

– Kobieta i mężczyzna należący do Kościoła rzymskokatolickiego stają się małżeństwem, gdy zawrą ślub kościelny. O innych mówi się: pary niesakramentalne. Do takich par zalicza się osoby, które zawarły jedynie związek cywilny albo pozostają w tzw. wolnym związku – tłumaczy ksiądz Mirosław Pacuszkiewicz, jezuita, duszpasterz małżeństw niesakramentalnych, autor kilku książek omawiających problemy takich małżeństw. Kiedyś, gdy księża chodzili po kołędzie, omijali zwykłe domy par żyjących bez ślubu kościelnego. W 1981 r. został ogłoszony dokument Jana Pawła II: „Familiaris consortio”, w którym papież przypomniał, iż pozostający w związkach niesakramentalnych – jako ochrzczeni i wierzący – należą do Kościoła. Nie mają jednak dostępu do sakramentów, chyba że decydują się na siostrzano-braterski styl życia i zrezygnują ze współżycia seksualnego.

Związki tzw. wolne, to związki łatwe. Według nauki Kościoła „małżeństwo jest związkiem mężczyzny i kobiety, wspólnotą całego życia, skierowaną ze swej natury na dobro małżonków oraz do urodzenia i wychowania potomstwa”. – Małżeństwo wymusza odpowiedzialność za partnera i za dzieci. Ludzie, którzy decydują się na konkubinacie, to po pierwsze ludzie, którzy uciekają przed odpowiedzialnością, a po drugie boją się ograniczenia wolności – uważa Bożena Dzieduch z katolickiego stowarzyszenia „Dla Rodziny”. Jej zdaniem, osoby rezygnujące z małżeństwa charakteryzują się ponadto relatywizmem moralnym, a często też prymitywnym hedonizmem.

Konkubinacie jak spółka

W polskim prawie słowo konkubinacie nie pojawia się wcale. Niektóre akty prawne mówią wprawdzie o konkubinacie, nie nazywają go jednak po imieniu. Ustawa „o najmie lokali i dodatkach mieszkaniowych” używa na przykład określenia „osoby pozostające faktycznie we wspólnym pożyciu małżeńskim”, kodeks karny natomiast nazywa konkubentów „osobami pozostającymi faktycznie we wspólnym pożyciu”. Przepisy prawa cywilnego w niektórych przypadkach zaliczają konkubentów do tzw. osób bliskich (np. art. 923 § 1 k.c. – uprawnienie dla osoby bliskiej spadkodawcy do korzystania w ciągu trzech miesięcy od jego śmierci z mieszkania, jeśli mieszkała z nim do chwili jego śmierci). W orzecznictwie sądowym dominuje raczej pogląd, iż przepisów dotyczących małżeństwa nie powinno się stosować w stosunku do konkuben-

tów. Prawo rodzinne i opiekuńcze zajmuje się wyłącznie dziećmi pochodzącymi ze związków nieformalnych. Wzajemne relacje konkubentów w ogóle go nie interesują. Jeżeli ojciec dziecko uznaje, wówczas jest ono traktowane niemalże jak małżeńskie. Ma prawo do opieki i do alimentów. Ojcu przysługuje natomiast pełna władza rodzicielska. Problem pojawia się dopiero w przypadku dziedziczenia, gdyż dziecko z konkubinatu nie jest w świetle polskiego prawa krewnym rodziny ojca.

Gdy konkubenci się rozstają i chcą podzielić wspólny majątek, to z braku odpowiednich regulacji prawnych rozliczają się ze sobą na zasadzie spółki cywilnej. Obie strony muszą wykazać w sądzie, jaki był ich materialny wkład we wspólne gospodarstwo. Podział następuje proporcjonalnie do tego wkładu. W praktyce ustalenie stosunków własności i współwłasności dóbr materialnych używanych przez konkubentów nie jest wcale łatwe. Postępowanie sądowe w takich przypadkach jest bardzo skomplikowane i czasochłonne.

Bez praw i obowiązków

Brak zainteresowania polskiego prawa konkubinatem sprawia, że sądy od lat borykają się ze sprawliwym rozstrzygnięciem konfliktów między partnerami. Sąd Najwyższy, orzekając w sprawie o alimenty, stwierdził na przykład, że „z konkubinatu – przez sam fakt jego istnienia – nie wynikają żadne prawa ani obowiązki, co jednak nie wyklucza zaistnienia w czasie jego trwania zdarzeń, które mogą stać się samodzielną podstawą różnych zobowiązań. Obowiązek dostarczania środków utrzymania może wynikać np. z umowy darowizny”.

Życie w konkubinacie nie uprawnia również do otrzymania renty rodzinnej po śmierci partnera. 62-letnia dziś pani Aniela S. była żoną pana Andrzeja przez trzy lata. Na początku lat 70. państwo S. wzięli fikcyjny rozwód, gdyż tylko w ten sposób mogli utrzymać wtedy dwa mieszkania. Nigdy nie pobrali się ponownie. Pani Aniela nie pracowała. Jej mąż, a potem konkubent, był jedynym żywicielem rodziny. Gdy zmarł, pani Aniela straciła środki na utrzymanie. ZUS odmówił przyznania jej renty rodzinnej. Sąd Apelacyjny uznał, iż konkubinacie do takiej renty nie uprawnia. Sąd Najwyższy, do którego pani Aniela wniosła kasację, podtrzymał tę decyzję. Orzekł, że rozwód w celu obejścia przepisów rodzi takie same skutki prawne jak każdy inny, a fakt, że były mąż łożył na jej utrzymanie, nie ma żadnego znaczenia.

Bycie poza prawem ma z pewnością swoje dobre i złe strony. Konkubenci mają absolutną swobodę w porozumiewaniu się i rozwiązywaniu kwestii spornych. Mogą to robić bez udziału sądów, o ile są w stanie się dogadać. Praw-

nie nie obowiązuje ich wspólnota majątkowa. W przypadku rozstania lub śmierci jednego z nich nie mają więc prawa do renty, alimentów ani żadnych innych zabezpieczeń finansowych. Gdy konkubinacie przestaje istnieć, wolna miłość może się więc zamienić w wolnoamerykanke. Sędziowie radzą, by osoby żyjące w konkubinacie sporządzały testamenty, gdyż obecnie w żaden inny sposób nie mogą zabezpieczyć na przyszłość nieformalnej rodziny.

Jak to robią w Europie?

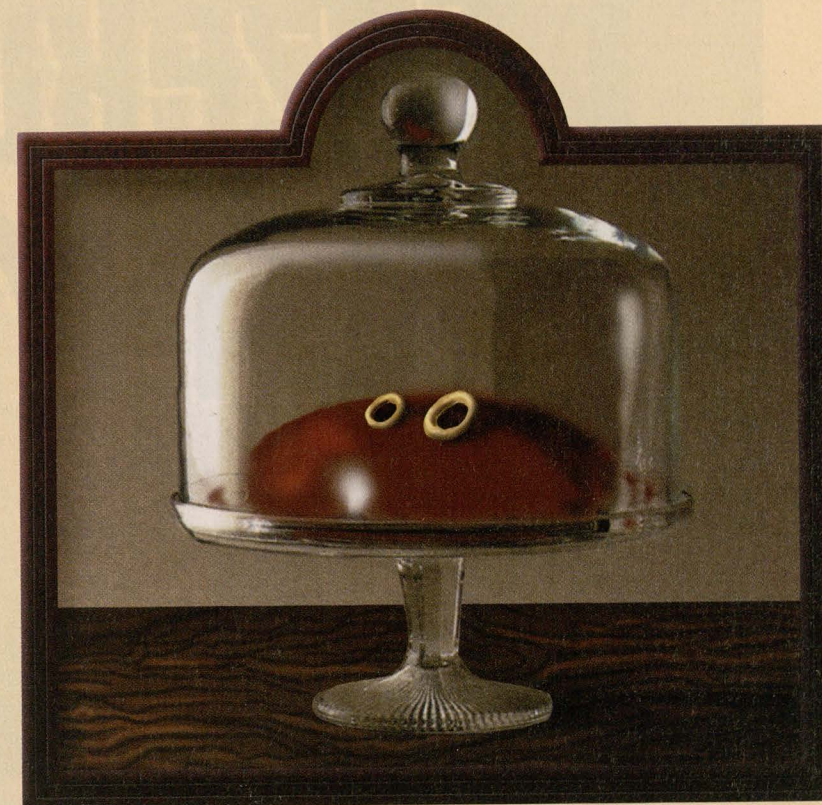
W państwach Europy Zachodniej, by uniknąć kłopotów i nieporozumień, ludzie żyjący w wolnym związku, także homoseksualiści, często zawierają intercyzę, czyli umowę prawną o współżyciu, która reguluje ich wzajemne obowiązki. W Danii np. obowiązuje ustawa o zarejestrowanych wspólnotach partnerskich. Tu konkubinacie powoduje – z nielicznymi wyjątkami – takie same skutki jak małżeństwo. Niemal wzorcowo sprawę rozwiązano we Francji. Obowiązuje tam tzw. PACS, czyli „umowa zawarta między dwiema pełnoletnimi osobami, różnej albo tej samej płci, w celu organizacji ich wspólnego życia”.

Umowa może być bardzo ogólna lub szczegółowa. W wersji ogólnej partnerzy deklarują, że chcą być ze sobą związani na zasadach określonych przez PACS i określają zakres pomocy materialnej, do jakiej się wzajemnie zobowiązują – np. że będą dzielić między siebie koszty utrzymania domu. W umowie szczegółowej określają precyzyjnie prawa własności do różnego rodzaju dóbr materialnych, które wnoszą do wspólnego gospodarstwa i wzajemne zobowiązania finansowe. Po upływie dwóch lat od daty zawarcia PACS-u partnerzy mają także prawo do wspólnego opodatkowywania się.

Jeżeli któraś z osób nie jest ubezpieczona, może korzystać z ubezpieczenia społecznego i zdrowotnego drugiej. Osoby związane umową mają także prawo brać razem urlop i korzystać z dni wolnych w przypadku śmierci partnera. Kiedy jedna z nich pełni funkcje medyczne, administracyjne lub państwowe wiążące się z oddaleniem od domu, drugiej stronie przysługuje dodatek za rozłąkę. Ewentualne spory wynikłe przy podziale majątku po rozwiązaniu umowy rozstrzygają sądy.

Większość Francuzów akceptuje PACS i uważa, że doskonale porządkuje on wszystkie kwestie sporne związane z życiem w konkubinacie.

BARBARA PAJCHERT



RODZINA ŚWIĘTA, ALE...

Prowadzone od lat badania wykazują, że dla Polaków małżeństwo i rodzina są wartościami najwyższymi. W wielu ankietach nasi rodacy podkreślają rolę małżeńskiego sakramentu i opowiadają się za zachowaniem chrześcijańskich tradycji. A jednak ostatnie dziesięciolecie pokazuje, że z roku na rok liczba zawieranych małżeństw zmniejsza się. Podobnie jak w krajach zachodnich więcej mamy też rozwodów. Od 1993 r. ich liczba stale przewyższa liczbę zawieranych w tym samym czasie małżeństw. Częściowo spowodowane jest to czynnikami demograficznymi, ale – jak zaznaczają specjaliści – takie zmiany są także bardzo charakterystyczne dla okresu przemian. Nikt nie jest w stanie wyliczyć, ile dokładnie par żyje w Polsce bez ślubu. Dla Głównego Urzędu Statystycznego ludzie żyjący w wolnym związku, mający wspólne gospodarstwo domowe i dzieci, to związek równy małżeństwu. GUS interesuje się relacjami rodzinnymi, a nie formą związku. Można próbować oszacować tę liczbę pośrednio, za pomocą różnego rodzaju badań czy ankiet. W latach 90. XX w. około 15 proc. dzieci rocznie rodziło się w związkach nieformalnych. Jednakże nie można na tej podstawie stwierdzić jednoznacznie, iż w konkubinacie pozostaje 15 proc. par, gdyż niektóre decydowały się na ślub już po urodzeniu dziecka. Ponadto istnieje na pewno duża grupa osób, szczególnie młodych, żyjących bez ślubu i nie posiadająca dzieci. Dlatego też szacunki demografów są dość rozbieżne. Mówi się, że w naszym kraju w konkubinacie żyje od 4 do 16 proc. osób. – Liczba par żyjących bez ślubu nie jest u nas jeszcze tak duża jak w krajach zachodnich. Wynika to przede wszystkim z olbrzymiego wpływu Kościoła na życie społeczne. Młodzi ludzie są zmuszani do małżeństwa przez swoich rodziców, szczególnie wtedy, gdy pojawia się nie zaplanowana ciąża. I, niestety, wiele takich małżeństw zawartych albo w zbyt młodym wieku, albo tylko z powodu dziecka – wkrótce się rozpada. To są małżeństwa największego ryzyka – mówi dr Dominika Szydłowska, psycholog rodzinny. – Jednakże coraz więcej ludzi młodych nie spieszy się ani z formalizowaniem związków, ani z zakładaniem rodziny. Nawet jeśli o tym myślą, to tę decyzję odkładają na później. Najpierw chcą zdobyć wykształcenie i zająć się swoją karierą.



Sala, w której rodziny ofiar będą obserwowały egzekucję Tima McVeigha

Timothy McVeigh chciał, by jego egzekucję obejrzał na żywo cały świat. Sąd orzekł: kto nie ma do tego prawa, nie zobaczy śmierci skazanego. Czy to decyzja wykonalna?

Cieżarówka marki Ryder stała w centrum Oklahoma City. Był 1995 rok, 19 kwietnia, około południa. Kiedy wybuchła, z powierzchni ziemi znikła lokalna siedziba władz federalnych. Zginęło 168 osób – dzieci, kobiety w ciąży, niepełnosprawni, spacerowicze. Niewinni ludzie. Trzy razy tyle zostało rannych. – To były nieuniknione straty uboczne – mówił cynicznie sprawca o dzieciach, które zginęły.

Tim McVeigh: 33 lata, twarz i postura żołnierza. Skrajny prawicowiec z militarną przeszłością, członek jednej z amerykańskich „milicji obywatelskich”. Stał się terrorystą, bo pałał nienawiścią do rządu federalnego, oskarżając go o nieudolność i ograniczanie praw jednostki. „Nie mamy już żadnej herbaty do wyrzucenia” – napi-

sał w liście do lokalnej gazety, nawiązując do bostońskich wydarzeń sprzed dwóch wieków. „Czy naprawdę trzeba rozlewu krwi, by zreformować system?”

Tim, jesteś w TV!

McVeigh został złapany. Przyznał się do winy. Nie okazał żadnej skruchy; wprost przeciwnie – nakazał swym obrońcom, by nie korzystali z prawa apelacji. Wierzył, że po werdykcie stanie się bożyszczem przeciwników rządu, takim pravicowym Ché Guevarą. Wyrok był prosty, jasny i oczekiwany: kara śmierci orzeczona przez sąd krajowy pierwszy raz od 38 lat. Kiedy okazało się, że z powodu nieudolności federalnej biurokracji egzekucję przełożono z 16 maja na 12 czerwca, terrorysta był rozgoryczony. – Czekalem na



śmierć – mówił – a teraz muszę przejść całą drogę od nowa.

Prawo do udziału w egzekucji mają rodziny ofiar i pokrzywdzeni. Jak zmieścić trzysta osób w salce przygotowanej dla pięćdziesięciu? Uprawnieni obejrzą wykonanie wyroku w... telewizji. W kablówce chronionej specjalnymi kodami szyfrującymi i w obiegu zamkniętym. Usiądą przed telewizorami i z pilotem w ręku zobaczą agonię wielokrotnego mordercy. Transmisja jest tak zabezpieczona, że nic, żadne zdjęcia, stamtąd nie „przecieknie”.

Timothy McVeigh stał się dla mediów wdziewiczym tematem. Z jednej strony obrzydliwy morderca, bezczelny, hardy, cyniczny. Zabijał, kierując się ideologią. Przy tym wszystkim: wzorowa rodzina, inteligentny, kariera w armii, zaprzyjaź-

niiony z pisarzem Gore'em Vidalem. Przed pierwszym terminem na miejsce egzekucji zjechały tysiące dziennikarzy. Codziennie kilka telefonicznych wywiadów dla prasy. Telewizja i radio. Na żywo spod celi śmierci.

Ale – powstało zaraz pytanie – dlaczego zatrzymać się w tym miejscu? Dlaczego parę setek ma to zobaczyć, a inni tylko o tym przeczytają lub usłyszą z ust telewizyjnego sprawozdawcy? Niech karę Tima McVeigha zobaczą wszyscy – on sam zresztą tego pragnął. Cały świat, w tym samym czasie. Jak? W Internecie.

Krwawy Big Brother

Transmisje internetowe to nic nowego. W sieci można obejrzeć praktycznie wszystko. Również ludzi na tyle odważnych, by umieścić w swoich domach kamery pracujące całą dobę. Ale co innego wschody słońca, miejski gwar czy niezmienna nuda w sypialni przeciętniaka, a co innego czyjaś śmierć. Na żywo, naprawdę i w kolorze.

Przedsiębiorstwo Entertainment Network nie jest Polakom znane. Ot, typowy amerykański „dotcom” istniejący jedynie w Internecie, z niego żyjący. Zajmuje się pornografią. Zarząd firmy był już jednak męczony konkurencją na rynku wirtual-

nej erotyki. Szukając zapewne nietuzinkowej reklamy i szybkiego rozgłosu, postanowił więc działać. Z pomocą przyszedł Tim McVeigh.

Entertainment Network postanowiło połączyć swoje doświadczenie w transmisjach sieciowych z gorącym wydarzeniem – egzekucją terrorysty. Pomysł prosty: wy, widzowie, siedzicie w wygodnych domach. Patrzenie w monitor komputera. Na ekranie sala śmierci, nieszczęsny Timothy przypięty pasami do łoża śmierci. Zabójcze substancje sączą się do krwiobiegu. Skazany przestaje czuć nadchodzący ból. Potem zanika oddech. Chlorek potasu dopełnia dzieła. Serce, pracujące bez przerwy przez 33 lata, zatrzymuje się. Tim nie żyje. Wy, internauci, mogliście to wszystko zobaczyć wyłącznie dzięki Entertainment Network, Inc. – bez cenzury, bez reklam. Za jednego dolara i dziewięćdziesiąt pięć centów, płatne bezstresowo wazszą Visa, MasterCard czy American Express. Cały dochód przeznaczony dla fundacji pomocy ofiarom McVeigha. – Nie chodzi nam o zysk – mówił David Marshall, szef EN – ale o to, w co wierzymy. Wierzymy w Pierwszą Poprawkę.

Zemsta i sprawiedliwość

Batalia o prawa do transmisji była zacięta. Entertainment Network już na samym początku powołał się na Pierwszą Poprawkę, dla potomków Lincolna świętą, bo mówiącą o wolności wypowiedzi. Mamy prawo – twierdzili przedstawiciele firmy w imieniu społeczeństwa – zobaczyć egzekucję. Wniosek został błyskawicznie odrzucony przez Amerykańskie Biuro Więziennictwa. Powód: nadmierna sensacja zagraża bezpieczeństwu więzień, porządkowi społecznemu i godzi w prywatność skazanego; to jest ważniejsze niż wolność wypowiedzi. – Jaka prywatność? – oburzył się zarząd EN. – Transmisja była życzeniem McVeigha.

Sąd podtrzymał argumenty Biura Więziennictwa. Zakazał transmisji ze względu na „interes penitencjarny”, czyli bezpieczeństwo, i dodał: – Widzowie oglądaliby egzekucję jak rozgrywki baseballowe. To by ich odczłowieczało, śmierć stałaby się zwyczajną i codzienną.

– Sprawa jest prosta – odparowywał Derek Newman, prawnik przedsiębiorstwa. – Ludzie, którzy są za karą śmierci, marzą, by zabijając myślące istoty, ale hipokryzja każe im robić to w ciszy, za zamkniętymi drzwiami. A telewizja jest

bezsronnym medium, tylko pokazuje rzeczywistość.

Entertainment Network mówiło też o bezpieczeństwie dzieci: nikt niepowołany nie obejrzy drastycznych scen, bo żadne dziecko nie ma karty kredytowej. Twierdziło, że nie chodzi tu o zemstę czy średniowieczne rytuały publicznych egzekucji, ale o sprawiedliwość oraz wolność. Wolność jednostki, wolność wyboru, wolność słowa.

Prawne akrobacje erotycznej kompanii nie dały efektu. Wniosek, jak dziesiątki podobnych wcześniej, składanych przez stacje telewizyjne, został odrzucony. Sąd zdecydował: egzekucję obejrzą tylko pokrzywdzeni, reszta o sprawie przeczyta w gazetach. Sąd orzekł: kto nie ma do tego prawa, nie zobaczy śmierci Tima McVeigha. Sąd oznajmił: nie zdeprawujemy naszych dzieci, nie pozwolimy na sieciowe seanse nienawiści, nie damy przyjemności dewiantom. Zatem nikt – poza uprawnioną grupą – nie obejrzy egzekucji?

Podejrzec wszystko

Na zdjęciu Chińczyk. Zjada coś, co wygląda jak smażony płód. Inna fotografia: zwęglone zwłoki człowieka. Dalej potwornie i celowo okaleczone ludzkie genitalia. Kolejny obraz: Filipięńczyk, pokryty od stóp do głów ropiejącymi wrzodami. Spuchnięte, purpurowe ciało w rozkładzie. Ohydna pornograficzna propaganda hitlerowska. Koprofagia. Filmy: ludzie miażdżeni w wypadkach, chińskie egzekucje, ofiara rozdzierana na strzępy przez pędzący pociąg, biegnący w stronę kamery płonący jak pochodnia człowiek. Wszystko perwersyjnie, obrzydliwie prawdziwe. Drastyczne? Przykłady pochodzą z jednej tylko – legalnej i bezpłatnej – strony internetowej, którą odwiedza dwieście tysięcy osób dziennie!

Czy zakaz transmitowania egzekucji uchroni kogokolwiek przed czymkolwiek? Sieć jest poza kontrolą. Takie brutalne rzeczy może zobaczyć każdy – dziecko, dewiant albo normalny człowiek. Tak czy inaczej, śmierć Tima McVeigha wylądowała w Internecie, potem zaś w innych mediach. Jeśli nie dokonają tego, włamując się do sieci kablowej, hakerzy, zrobią to sami świadkowie. Czy znajdzie się ktoś, kogo nie skusi kilkaset tysięcy dolarów oferowane przez stację telewizyjną za taśmę z zarejestrowaną agonią? I to agonią znienawidzonego przez pół Ameryki mordercy?

ROMAN POLESEK

Krótki metraż zdaje się pozostawać na terytorium najmniej zagrożonym przez wolnorynkowy przemysł, toteż Krakowski Festiwal Filmowy jest największą uczta kina artystycznego, jaką w Polsce mamy.



Złote Nożyczki – nagroda „Przekroju” dla najzabawniejszego filmu festiwalu

NOŻYCZKI DLA SMOKÓW

Zasiadając do stołu, należy życzyć smacznego, nie zniesmaczać zaś, ale w mowach powitalnych nie można było przemilczeć tegorocznej nieobecności TVP wśród mecenasów imprezy.

Jury konkursu ogólnopolskiego mogło się poczuć stremowane, kiedy Andrzej Wajda upierał się na scenie, że wręcza za całokształt twórczości Janowi Švankmajerovi nie Smoka Smoków, a Złotego Lajkonika. Bo tak wyznaczonemu pułapowi w tym roku żaden film sprostać nie mógł. Jury zrobiło więc, co mogło: nagrodiło film najbardziej wyrazisty.

Przełamać stereotyp

Filmowi „Jestem zły” Grzegorza Packa – tryumfatora festiwalu – nie dałem się przekonać, choć zwykle cenię sobie w sztuce filmowej gesty radykalne. A Pacek uczynił gest skrajny – na rzecz autentyczności przekazał oddać kamerę w ręce wybranych bohaterów. Dzieci ulicy z niesławnej Pragi-Północ same więc sobie zadają pytania w ich mniemaniu najistotniejsze, same decydują o tym, jakie obrazy z ich życia są warte kadru. I niestety, są to obrazy przewidywalne. Z filmu nie dowiadujemy się o praskiej dzieciarni niczego ponad

stereotyp. A przecież rolą dokumentu, zwłaszcza zaś tego zaangażowanego społecznie, jest stereotypy przełamywać. Bohaterowie Packa kradną, dręczą zwierzęta, biją obcych, mają zaplącanych rodziców i wszystko to pokazują jako portret własnej codzienności – dobrze, ale takie właśnie wyobrażenia mamy o dzieciństwie spędzonym na zakazanych podwórkach. Pacek, żeby móc się podpisać pod filmem, na koniec jednak przejmuje kontrolę nad kamerą i stara się wyciągnąć od dzieciaków jakiś materiał na pentę z morałem – pyta ich o plany na przyszłość, o to, czy nie chcą czegoś zmienić (jeśli nie w życiu, to choćby na podwórku). Otrzymuje kilka banalnych odpowiedzi na od czepnego, cierpliwość dzieci wyraźnie się kończy, zabawa w film wcale się nie okazała ciekawsza od „krojenia michy” koleśiom z Targówka.

Na nic wysiłki wszystkich Packów świata – zdaje się mówić swym nowym krótkim filmem Małgorzata Szumowska. Świadomość, czy choćby przecucie pracującej kamery bezwzględnie odbiera ludziom naturalność. Szumowska chciała tylko spreparować filmowy brulion „Złoty myśli”, jak w latach dziewięćdziesiątych, prosząc o „wpis” swoich przyjaciół. Po-

wstał zaś mądry utwór, pytający o sens pracy dokumentalisty. Kamera wyzwała nieznośną egzaltację, uruchamia procesy autokreacji, słowem: nie z tego, jak się człowiek prezentuje, a dzięki szczelinom między jego twarzą a maską możemy się otrzeć o prawdę.

Pacek niejako „przewertował” wnętrza mieszkań swoich postaci; na krakowskim festiwalu był zupełnie przeoczony film brytyjskiego studenta łódzkiej Filmówki, który się w takim wnętrzu zatrzymał. „Na wulkanie” dowodzi, że Paul Handley zna świetnie filmy swoich rodaków Loacha i Leigh'a, ale to, co u nich było fabułą opartą na wnikliwych obserwacjach nizin społecznych, tu jest poruszającym zapisem piekła domowego w zwykłej polskiej rodzinie. Niestety, nieco podreżyserowaną, co czasem jest nazbyt widoczne. Ale, jak dowiodła Szumowska, i tak mamy do czynienia wyłącznie z grą, lepiej więc, że twórca pilnuje, by postaci „grały siebie”, skoro „być sobą” potrafią tylko poza kadrem.

Wydaje się, że naczelny moralista polskiego dokumentu – Marcel Łoziński – dopiął swego: Ewa Borzęcka ma złą prasę, nagród już nie dostaje, a jej filmami nie wypada się zachwycać. Bo rzekomo krzywdzi swoich bohaterów. Owóż będą

niemodny: „Damsko-męskie sprawy” to kino dużego formatu. Borzęcka ma odwagę kierować obiektyw tam, skąd chciałyby się wzrok odwracać. Nikt jeszcze w kinie tak przygnębiająco nie opowiedział o starości: tej, która się rwie do tańca mimo zestawu żyłaków, która unika luster, która ośmiela się wypowiadać o Tych Sprawach przed kamerą.

Złoto dla „Złotego mostu”

Efektowny (jak dla mnie za bardzo) jest „Złoty most”, za sprawą którego w tym roku Złoty Smok odleciał pocztą dyplomatyczną do Peru. Barwna impresja o rytualnej rekonstrukcji wiszącego mostu dokonywanej przez andyjskich Indian jest jednak dziełem typowo konkursowym. Pięknym, budującym i – a jakże – bezdyskusyjnym. Cieszy, że całkiem nie przepały dokumenty, o których dyskutować można, jak błyskotliwy formalnie film Norweżki o kobietach-surrealistkach (wzór nowoczesnej teledukacji) czy też rosyjska „Poczekalnia” – prawie półgodzinny ukłon w stronę „Snu” Andy’ego Warhola (o paradoksie: nie zauważyłem, by ktoś na nim zasnął).

Przepadł za to intrygujący, autotematyczny krótki metraż „Sama” Litwina Audriusa Stonysa – piękna opowieść o chwilach bezradności dokumentalisty wkomponowana w historię smutnej dziewczynki odwiedzającej matkę w więzieniu.

Po arcydzieła dokumentu trzeba jednak było wędrować na ulicę Lea, gdzie w „Mikro”skopijnej, przez co karygodnie dusznej sali, wyświetlano perły wszech czasów w rodzaju „Grey Gardens” braci Mayselsów, czy „Nocy i mgły” Alana Resnais. Tam też gościła retrospektywa Jana Švankmajera, bezwzględnie największe wydarzenie artystyczne festiwalu, które mu „Przekrój” już osobne kolumny poświęcił. Konkursowe animacje pozostawiały w bezpiecznej odległości od surrealnych arcydziełek czeskiego majstra. Nawet poetycka abstrakcja profesora Kuci ujmuje przede wszystkim genialnym montażem dźwięku, choć faktycznie w swej kategorii jest wypowiedzią pełniejszą od „Zbrodni i kary” Piotra Dumay. Ten drugi film sprawia wrażenie skończonego pospiesznie, przedwcześnie; Dumala ongiś zapowiadał pełnometrażowe opus magnum, szkoda, że nie starczyło cierpliwości (pieniędzy?).

Wśród krotchowilnych etiudek rysunkowych zwracał uwagę film Kanadyjczyka Paula Driessena o chłopcu, który widział górę lodową (Srebrny Smok) – rozegrany równocześnie w planie realnym i imaginacyjnym (ekran podzielony na

dwa, z lewej widzimy to, co rzeczywiste, z prawej to, co sobie bohater wyobraża – najuczciwiej jest wtedy, kiedy się rzeczywistość z wyobraźnią biorą za bary). „Telling lies” Paula Ellisa jest zaś pyszną etiudką na tytułowy temat wygraną wyłącznie za pomocą głosu i napisów. Studentom krakowskiego filmoznawstwa spodobała się antyklerykalna dykteryjka o owieczkach autorstwa Jonasa Raebera – film, by tak rzec, raczej „coolerski” niż dowcipny (podobnie jest co roku z uzasadnieniem studenckich nagród).

Więcej cięć

Krótką fabułą w polskim wydaniu praktycznie nie istnieje (poza konsekwentnie wygłupiającym się Markiem Piwowskim, którego kolejne utwory potwierdzają smutną prawdę, że pozostaje reżyserem jednego dzieła). Przyjechała też do „Kijowa” Iga C. ze swoim pamiętnikiem, który był złożony niemal wyłącznie z fragmentów starych filmów jej męża. Nie bardzo wiedząc, co z tym fantem począć, chcąc zaś ugościć jedyną gwiazdę kina „głównonurtowego”, która festiwal zaszczyliła obecnością, wręczono pani Cembrzyńskiej laur za niezależną działalność producencką.

Za to jury międzynarodowe miało w czym wybierać, tym bardziej boli gafa, jaką popełniono, nagradzając odpychające „Afta” Węgra Mundruczo. Jakby pełne przemocy, bezmyślne życie „dzieciaków do odstrzału” nie było tematem do bólu ogrymym przez efekciarskie, naturalistyczne kino spod znaku Generacji X. O ileż smaczniejszym utworem jest „Requiem znad sufitu” Jeremiego Allena (nazwisko zobowiązuje?), czarna komedia o upartym wiolonczeliście i niedoszłym samobójcy, którzy prowadzą brzemienne w skutkach dialog muzyczny przez sufit/podłogę. Z okropnie fałszywych dźwięków w końcu wyłania się wspaniałe dzieło; tak i film, początkowo błahy, z czasem dojrzewa i zapada w pamięć...

„Przekrój” przyznał w tym roku Złote Nożyczki prostej i zabawnej opowiastce „A Zen Tale” Magdaleny Solé ze Stanów Zjednoczonych, a Jacek Petrycki, juror główny, przyznał, że i zwyczajne nożyczki by się przydały większości twórców. Nie ma przecież nic gorszego niż za długi film krótki...

Tymczasem, zamiast filmów, skrócono nam festiwal. Bo ze sponsorem bywa odwrotnie niż w porzekadle: gdy mowa o pieniądzach, to nie wiadomo, o co chodzi...

WOJCIECH KUCZOK



Złotego Smoka, przyznanego w konkursie międzynarodowym Peruwiarzykowi Jorge Carmon del Solar, odebrał honorowy konsul Peru. Poniżej: Grzegorz Pacek, zdobywca Złotego Lajkonika w konkursie krajowym.



FOT. JUSTYNA MIENKIEWICZ (2)

NAGRODY 41. KRAKOWSKIEGO FESTIWALU FILMOWEGO

Konkurs międzynarodowy:

Złoty Smok – „Złoty most”, reż. Jorge Carmon del Solar (Peru); również nagroda FIPRESCI

Srebrny Smok za najlepszy film dokumentalny – „Sviedok”, reż. Dusan Hudec (Słowacja)

Srebrny Smok za najlepszy film animowany – „The Boy Who Saw The Iceberg”, reż. Paul Driessen (Kanada)

Srebrny Smok za najlepszy film fabularny – „Afta (Day after Day)”, reż. Kornel Mundruczo (Węgry)

Konkurs krajowy

Złoty Lajkonik – „Jestem zły”, reż. Grzegorz Pacek

Srebrny Lajkonik – „Strojenie instrumentów”, reż. Jerzy Kucia

Brązowy Lajkonik – „Świat moich wujków”, reż. Krzysztof Magowski

Złote Nożyczki – nagroda tygodnika „Przekrój” dla najzabawniejszego filmu festiwalu – „A Zen Tale”, reż. Magdalena Solé (USA).



Oryginalność produktu gwarantuje hologram. O prawdziwej zawartości płyty dowiadujemy się dopiero po przesłuchaniu jej w domu. Piosenki popularnych zespołów wykonują anonimowi chałturnicy.

Płyty przeważnie leżą na stoiskach w supermarketach, na stacjach benzynowych czy na bazarach. Cena atrakcyjna, prawie cztery razy niższa niż w markowym sklepie muzycznym – od 10 do 16 zł. Za takie pieniądze można nabyć m.in. Enrique Iglesiasa, Madonnę, Spice Girls, Kayah, Myslovitz oraz Budkę Suflera.

Na okładkach znajduje się hologram ze znakiem Związku Autorów i Kompozytorów Sceniczných oraz Związku Producentów Audio Video, na którym widnieje napis: „produkt oryginalny”. Wszystko wskazuje, że trzymamy w ręku właśnie taki produkt. Gdy przyjrzymy się uważnie, zauważymy, że mężczyzna na okładce to nie Enrique Iglesias, lecz nieostre zdjęcie kogoś podobnego do niego. Spozrzedzemy również niewielki napis: „SoundMakers wykonuje utwory z repertuaru...”. Czasem dla lepszego kamuflażu informacja ta podana jest po angielsku.

„Performed by...”

Takie płyty to „covery”, czyli przeboje modnych wykonawców nagrane ponownie przez innego artystę. Płyty z coverami nagrywają zespoły nikomu nie znane, jak SoundMakers, Studio 69, Armando Pizarro, Olivados lub Careles Whisper. Z okładki oraz wkładki do płyt niczego więcej się o zespole nie dowiemy.

– SoundMakers jako zespół nie jest wart, żeby się nad nim rozwodzić. Jest to mało istotne – tłumaczy Krzysztof Gurgul z firmy Snake’s Music, która jest producentem coverów.

Dla producentów takich płyt najważniejszą informacją jest nazwisko lub nazwa oryginalnego wykonawcy, które zwrócą uwagę klienta. Ukrywa się natomiast napis informujący, że utwory te wykonywane są przez inny zespół. Wielkość i kolor czcionki są tak skomponowane z innymi informacjami na okładce, by nie rzucały się w oczy. Dobrze dla klienta, jeśli napis ten jest w języku polskim. Często jednak zamiast: „utwory w wykonaniu” znajdujemy napis: „performed by”. Informacji takiej nie rozumieją osoby nie znające języka angielskiego, a zamieszczenie jej w nie prze-

FOT. KUBA DĄBROWSKI

Zagadkowo tanie płyty znanych wykonawców można kupić w całej Polsce. Producenci wykorzystują nieznajomość angielskiego i pośpiech klientów. Oszukani nabywcy są bezsilni.

TOMASZ WOLSKI

Kaja tonie Kayah

tłumaczonej formie nie jest zgodne z ustawą o ochronie języka polskiego.

Inny wprowadzający w błąd element okładki to wykorzystanie graficznych motywów kojarzących się z oryginalnym wykonawcą, którego covery są wykonywane. Na okładce płyty z utworami zespołów Kapela, Brathanki oraz Golec uOrkiestra są m. in. góralskie kapelusze, czerwone korale oraz puzon. Madonna w ostatnim czasie występuje w kowbojskim stroju – na okładce płyty z coverami jej piosenek są kowboje, konie i jeansy. Wspólną cechą oryginalnej płyty Kayah i Bregovicia oraz coverów jest ramka ze zdjęciem w sepii. Ktoś, kto nie zna oryginalnej okładki, może dać się łatwo oszukać.

„Cover” czy plagiat

Utwory na tych płytach właściwie niczym nie różnią się od aranżacji oryginalnych. Na płycie z coverami Georga Michaela piosenka „Don't let the sun go down on me” w wykonaniu Carles Whisper zarejestrowana została tak jak oryginalna – z „koncertu”.

W niektórych coverach Brathanków wykorzystano oryginalne ścieżki nagrane przez zespół (w bardziej skomplikowanych technicznie partiach utworów).

– Na płycie z coverami piosenek Myslovitz, m.in. w utworze „Zwykły dzień”, są ścieżki nagrane przez zespół na ich płycie – zauważa menażer zespołu Marcin Pilarczyk.

Muzyka została tak zarejestrowana, by posiadacz płyty utwierdził się w przekonaniu, że kupił tanio oryginalne nagrania. Dlatego też menażerowie polskich artystów, których płyty z coverami ukazały się w sprzedaży, nie chcą nazywać tych utworów coverami. Według nich są to plagiaty.

Czy jednak na pewno klient wie, dla kogo są te płyty? Czy zdaje sobie sprawę, że produkt, który trzyma w ręku, nie jest płytą Madonny?

Z mojego sondażu wynika, że nikt nie kupuje takich płyt świadomie. Osoby, z którymi rozmawiałem, uważają, że zostały oszukane. – Kiedy puściłam w domu płytę z rzekomą Celine Dion, myślałam, że się zepsuł odtwarzacz – wspomina jedna z nabywczyń coveru. Tymczasem główny menażer Sna-

ke's Music mówi, że ma znajomych, którzy takie płyty kupują świadomie. Podobno nie przeszkadza im, że słuchają „coverów”, które są gorsze od oryginału. Gorsze, ale tylko niewiele, gdyż różnica, według Krzysztofa Gurgula, jest subtelna.

Klient nie myśli?

Producenci coverów uważają, że ktoś, kto kupuje płytę za 16–17 zł, musi zdawać sobie sprawę, że nie jest to produkt oryginalnego wykonawcy. Uważają, że klient powinien dokładnie obejrzeć płytę przed kupnem. Ma ona kilka elementów, które świadczą, że są to covery.

– Nie możemy odpowiadać za ludzi, którzy kupują w ciemno – wyjaśnia Krzysztof Gurgul.

Te elementy to np. naklejka informująca, że w środku są wykonania artystyczne, a wszystkie utwory w nowych wersjach. Jednak czy przeciętny klient wie, co to znaczy „wykonanie artystyczne”? Informacja o nowych wersjach może również oznaczać ponowne nagranie własnych (starych) utworów przez oryginalnego wykonawcę.

Idąc na zakupy do supermarketu, zwracamy szczególną uwagę na przecepy. Niektóre ceny produktów obniżone są nawet kilka razy. Covery często leżą obok płyt z oryginalnymi nagraniami, do których wygasły prawa autorskie, oraz płytami przecenionymi, które można kupić w sklepie muzycznym za 50 zł.

Mylący może być także duży napis na okładce – „the best of” lub „greatest hits”, gdyż oryginalni wykonawcy często wydają płyty ze składankami swoich najlepszych piosenek.

– Klient w supermarkecie nie myśli, on się przeważnie spieszy. Skąd ma więc wiedzieć, czy przypadkiem prawa autorskie do tych utworów, podobnie jak do tych obok z koszyka, nie wygasły i dlatego cena jest taka niska? – zastanawia się dr Ewa Nowińska z Instytutu Wynałazczości i Ochrony Własności Intelektualnej i odpowiada: – Nie zdaje sobie z tego sprawy. W przypadku takich płyt powinna obowiązywać zasada uczciwości podawania informacji. Co prawda, nie ma norm, które regulują wielkość czcionki w przypadku informacji na okładkach płyt, ale

czcionka użyta na tych coverach mogłaby zostać uznana przez sąd za wprowadzającą klienta w błąd.

Wokalista się wysila

Producenci coverów nie mają sobie nic do zarzucenia. – Naszym celem nie jest wprowadzanie w błąd. Klienci zdają sobie sprawę, ile kosztują oryginały, a my robimy wszystko, aby ich usatysfakcjonować – powiedziano mi w Wydawnictwie Fonograficznym TicTac, które rozprowadza płyty z coverami. – My płacimy tantiemy autorom słów i muzyki – mówi Krzysztof Gurgul.

Autorzy muzyki i słów nie są jednak zadowoleni z tego, że otrzymują tantiemy za takie wykorzystanie ich dorobku. – Argument, że ludzie są biedni i nie stać ich na oryginały, jest śmieszny. To skandal, że w środku Europy, w XXI w. uprawia się taki proceder. Ewidentne złodziejstwo, wyłudzenie pieniędzy – oburza się Tomasz Zaliszewski, członek zespołu Budka Suflera. Według niego wydawanie płyt z coverami to świadome oszustwo. – Pamiętam, że zetknąłem się z płytą z coverami, które wykonywał zespół o nazwie Greatest Hits.

Bieganie za tantiemami

Najbardziej zastanawia to, że pod taką działalnością producentów podpisuje się ZAiKS. Na każdej płycie, oprócz hologramu, jest również znak BIEM-ZAiKS.

Za każde publiczne wykonanie coveru (nawet na weselu przez zespół bie-

siadny) trzeba zapłacić tantiemy autorowi słów oraz muzyki. ZAiKS jako zbiorowa organizacja zarządzania prawami autorskimi inkasuje te tantiemy oraz m. in. zajmuje się ochroną utworów oraz wydawaniem licencji. Producenci coverów bez problemu je otrzymują.

Menażerowie polskich wykonawców mają zastrzeżenia do działalności ZAiKS-u. Marcin Pilarczyk nie rozumie, czemu w pracownikach organizacji nie wzbudziła wątpliwości prośba producentów o udzielenie licencji na 18 utworów jednego wykonawcy, i to w dodatku samych hitów. Marcin Perzyna, menażer Brathanków, uważa, że czym innym jest udzielanie licencji na utwory sprzed 20 lat, a czym innym na utwory niedawno wydane, grane często w radiu. Udzielanie takich licencji według niego jest nie w porządku. – Takie jest prawo rynku i powszechny stan – kwituje Hanna Kuberska, zastępca kierownika Wydziału Nagrań Mechanicznych w ZAiKS-ie.

ZAiKS zdaje sobie sprawę, że producenci coverów wprowadzają klientów w błąd. W 1996 oraz 1999 r. wysłał pisma do producentów takich płyt. „Na egzemplarzach takich nagrań powinny być umieszczone nazwiska artystów i/lub nazwy zespołów faktycznie wykonujących utwory, a nie jak to się zdarzyło, nazwiska i nazwy utworów wykonujących te utwory wcześniej” – pisza w piśmie przedstawiciele ZAiKS-u oraz ZPAV-u. Minęły dwa lata. Niektórzy producenci na pozór postąpili według zaleceń ZAiKS-u, ale nadal dezorientują klientów. W liście nie było

bowiem wzmianki o wizerunku, kompozycji okładki oraz wielkości czcionki.

– ZAiKS udziela licencji bez konsultacji z autorem i zasłania się postanowieniami wewnętrznymi – mówi Marcin Perzyna, menażer Brathanków. Podobne zdanie ma menażer Maanamu, Mateusz Labuda. – Winę za problem z coverami ponosi ZAiKS. Rozdziela licencje bez zapytania autora o zgodę. Tak jest sformułowana umowa.

– Trudno, żebyśmy za każdym razem, gdy producent zgłosił się po licencję, prosili o zgodę autorów. Prośba o licencję jest dużo, około tysiąca umów jednorazowych w roku – tłumaczy Hanna Kuberska. – Musiałby powstać sztab ludzi, którzy tylko tym by się zajmowali. Wówczas zbiorowy zarząd nie miałby sensu bytu. Jeśli artysta nie chce nam powierzyć utworów pod ochroną, może je sam chronić. Nikt autorów na siłę nie przyciąga do ZAiKS-u, jeśli chcą, sami mogą biegać za tantiemami...

Jaka ja Kaja

Marcin Pilarczyk w styczniu tego roku wystosował pismo do ZAiKS-u, w którym zespół Myslovitz m. in. nie wyraził zgody na udzielanie licencji na swoje utwory. W odpowiedzi ZAiKS napisał, że zarządza prawami do setek tysięcy utworów, udzielając rocznie wielu tysięcy licencji, w związku z czym nie jest w stanie uwzględnić indywidualnych żądań poszczególnych autorów.

Menażerowie m. in. Myslovitz, Maanamu i Brathanków, zdając sobie sprawę, że pojedynczo niczego nie działają, powoła-

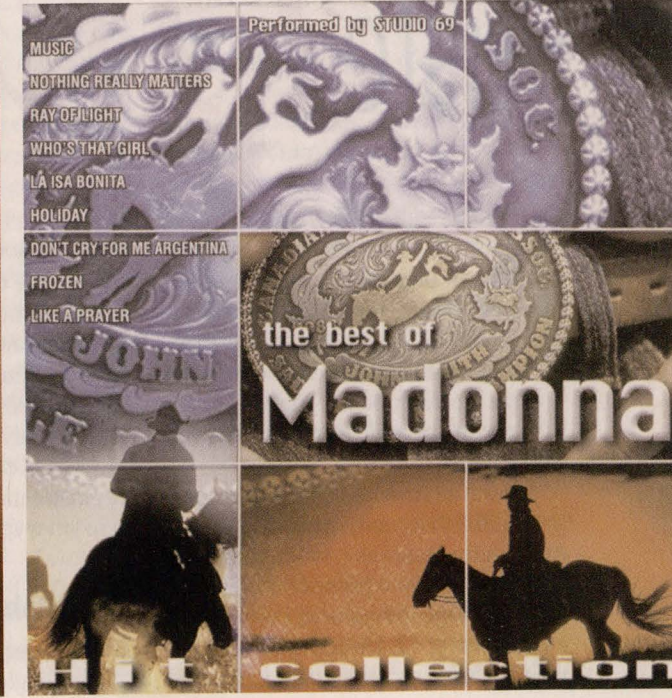
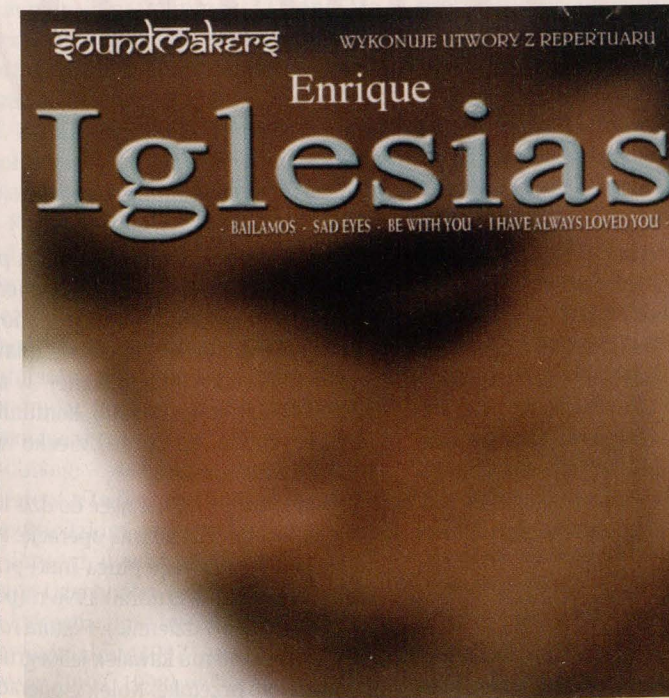
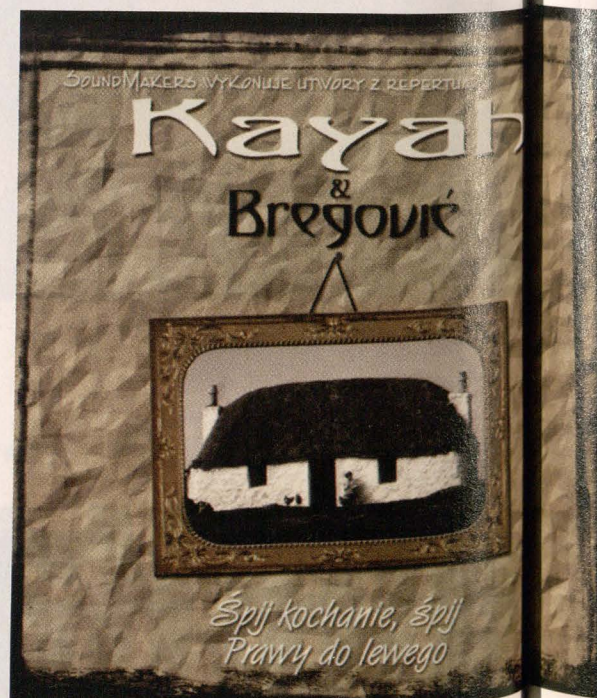
li do życia „Stowarzyszenie Menażerów” (jest w trakcie rejestracji). Chcą w ten sposób wyrzucić nacisk na ZAiKS i ZPAV, aby instytucje te m. in. kontrolowały wydawanie licencji na covery oraz zwracały większą uwagę na oznaczenia na okładkach takich płyt.

O tym, że producenci coverów nie mogą czuć się pewnie, może świadczyć przykład firmy GM Records, która wyprodukowała płytę z coverami Kayah pt. „Nie Jaka Kaja” (tytuł oryginalnej płyty – „JakaJaKayah”).

– Wystąpiliśmy z wnioskiem o wykluczenie firmy z ZPAV-u – mówi Tomek Grewiński, menażer Kayah. – Firma GM Records wycofała nakład płyty i zamieściła przeprosiny w prasie. Przyznaje też, że wprowadzenie do obrotu albumu fonograficznego pt. „Nie Jaka Kaja” w opakowaniu podobnym do opakowania albumu „JakaJaKayah” mogło wprowadzić nabywców w błąd co do osoby wykonawcy i zawartości nabywanego albumu.

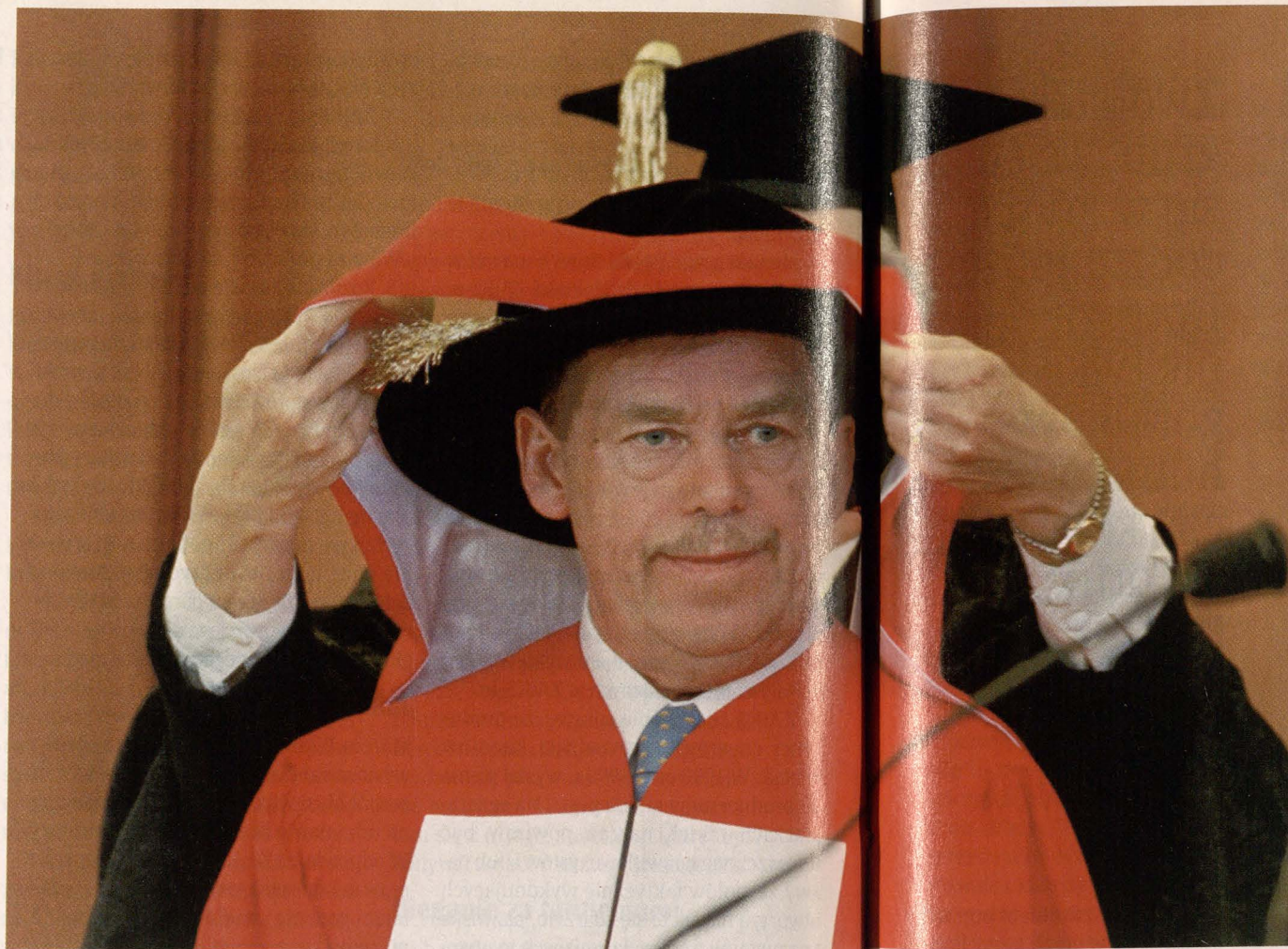
Czynem nieuczciwej konkurencji jest według prawa m. in. działanie sprzeczne z dobrymi obyczajami, jeżeli zagraża lub narusza interes innego przedsiębiorcy lub klienta. W szczególności dotyczy to wprowadzania w błąd przy pomocy oznaczenia towarów oraz naśladownictwa innych produktów. Czynem nieuczciwej konkurencji jest również oznaczenie towarów albo jego brak, mogące wprowadzić klientów w błąd co do pochodzenia, ilości, jakości lub innych istotnych cech towarów.

TOMASZ WOLSKI



Okładki najczęściej podrabianych albumów. Gdy przyjrzymy się uważnie, zauważymy, że mężczyzna na okładce to nie Enrique Iglesias, lecz nieostre zdjęcie kogoś podobnego do niego. Spostrzemy również niewielki napis: „SoundMakers wykonuje utwory z repertuaru...”. Czasem dla lepszego kamuflażu informacja ta podana jest po angielsku.

Rewolucja A.D. 1989, zwana romantycznie „jesienią ludów” przygotowuje się do zjedzenia ostatniego dziecka, które przed 12 laty wyniosła na prezydencki stolec. Ofiarą ma być lokator Hradczan, 65-letni Vaclav Havel. Kto po nim wprowadzi się do olbrzymiego zamku nad Wełtawą?



Puste Hradczany

Jest 29 grudnia 1989 r. Za chwilę w świat pójdzie informacja, że nowym prezydentem Czechosłowacji został Vaclav Havel, a w Czechach i na Słowacji rozkołyszą się – po raz pierwszy od pół wieku – obwiązane dotąd szmatami serca kościelnych dzwonów.

Mówią, że Havel wjechał na Hradczany na plecach legendy „praskiej wiosny” Aleksandra Dubczeka, który zrezygnował z rywalizacji o prezydenturę na korzyść znanego dramaturga i współzałożyciela Karty 77. Dubczek już nie potwierdzi ani nie zaprzeczy: zmarł przed

ośmiu laty w wyniku obrażeń doznanych w nie wyjaśnionym do końca wypadku samochodowym na trasie Praga-Bratysława. Vaclav Havel żyje, chlubnie świadcząc o możliwościach współczesnej medycyny i własnej żelaznej woli. Żyje i cały świat trzyma za niego kciuki. Tylko – czy ustawiczne choroby rzeczywiście nie przeszkadzają mu we właściwym wypełnianiu obowiązku głowy państwa?

W szpitalnym łóżku

Od ostatniego, drugiego w tym roku prezydenckiego zwolnienia lekarskiego mi-

nęło kilka tygodni, a prasa czeska pełna jest skrupulatnych wyliznień. Pierwszy raz po objęciu najwyższego stanowiska w państwie Havel poddał się „planowanej interwencji chirurgicznej” w maju 1993 r. Co mu operowano, komunikat nie precyzował, ale każde dziecko wiedziało, że hemoroidy.

Potem zaczęły się trwające do dziś kłopoty z płucami. Najcięższą operację: wycięcie połowy prawego płuca (rak) przeszedł prezydent w grudniu 1996 r. (pałił po 40 papierosów dziennie). Półtora roku później usunięto mu kawałek jelita grubego, założono przetokę. Kolejne operacje,

kolejne stany krytyczne, pobyty w szpitalu, przerywane wizyty zagraniczne.

W sumie od pierwszej poważniejszej choroby do marca 2001 r. prezydent „szedł na zwolnienie” 30 razy, będąc nieobecny w pracy przez 321 dni. Ma chroniczny bronchit, zmniejszoną odporność na wszelkie infekcje, odczuwa coraz częściej skutki poprzednich operacji. Brak natomiast – jak twierdzi jego osobisty lekarz Ilja Kotik – jakichkolwiek objawów nawrotu raka płuc.

Prezydent nawet w szpitalu czuwa nad sprawami państwa, podpisuje dokumenty, przyjmuje wizyty zagranicznych mężów stanu, prowadzi konsultacje z politykami czeskimi (z wyjątkiem komunistów, z którymi, jak oświadczył, obejmując urząd, nigdy na żaden temat rozmawiał nie będzie), pisze – zawsze osobiście – wszystkie przemówienia. Niestety, z twórczości literackiej, wbrew zapowiedziom, zrezygnował całkowicie.

Przeżył: dwukrotny wybór na prezydenta Czechosłowacji, rozpad państwa, za którego całość był konstytucyjnie odpowiedzialny (1992), abdykację, dwukrotny (1993, 1998) wybór na prezyden-

ta Czech, zdemaskowanie wieloletniej osobistej sekretarki jako agentki Służby Bezpieczeństwa, śmierć ukochanej żony Olgi, powtórne małżeństwo, dziką nagonkę prasy na nową żonę Dagmarę, awantury i procesy rodzinne (głównie o majątek, m.in. o wytwórnię filmową na Barrandovie).

Po Havlu dama

Jego kadencja kończy się w 2003 r. Chyba że odwoła go wcześniej Zgromadzenie Narodowe (ono też wybiera prezydenta) albo zrezygnuje sam.

Jeszcze do niedawna obie możliwości były mało prawdopodobne. Teraz możliwe jest wszystko. W wypowiedziach oficjalnych członkowie najbliższego otoczenia prezydenta zachęcają do dyskusji: „kto po Havlu”, ale w kontekście roku 2003. Do podobnej debaty nawołuje sam prezydent:

– Brak dyskusji na temat: „kto po mnie” – jest dowodem braku odpowiedzialności politycznej. Ja sam nie będę nikogo proponował, historia już udowodniła, że lansowanie następcy nie jest krokiem najszcześniejszym.

Ale przecież kandydatury zgłaszał – nie wiadomo do końca, pół żartem czy pół serio? Już przed trzema laty z prezydenckich ust padło nazwisko księdza i publicysty katolickiego Tomasza Halika – może po to, by trochę podrażnić współrodaków, uczulonych na wszelkie próby włączania Kościoła do polityki.

Drugą dość szokującą kandydaturą była amerykańska sekretarz stanu, pani Madeleine Albright, urodzona w Czechach. Propozycję przeprowadzki na Hradczany złożył Havel w czasie jej pobytu w Pradze, o czym wygadał się do dziennikarzy były doradca prezydencki, Jirzi Pehe. Prezydent – jak sam kiedyś oświadczył – chętnie widziałby „ewentualnie” na swym miejscu wiceprzewodniczącą Izby Niższej parlamentu panią Petřę Buzkovą – co Czesi tłumaczą wyłącznie jako kolejny dowód Havlowej słabości do pięknych kobiet: pani Petra w 2003 r. nie osiągnie wymaganej przez konstytucję czterdziestki.

Prezydencki szacunek dla ludzi sztuki, głównie teatru i filmu, objawił się w wymienieniu – jako ewentualnego następcy – nazwiska aktora i scenarzysty Zdenka Svěráka. Ale tak naprawdę do opróżnionego przez Havla stolca starto-

wać będą głównie ludzie z pierwszego garnituru władzy.

Klaus, Zeman, Pithard

Okrutny apetyt na najwyższą funkcję w państwie ma być premier, dziś przewodniczący Izby Niższej – Vaclav Klaus, którego Havel serdecznie nie cierpi. Z przegranej Klaus specjalnie nie zmartwiliby się i Polacy: nie byliśmy i nie jesteśmy dla lidera Obywatelskiej Partii Demokratycznej kimś, do kogo żywi o szczególną sympatię.

Więc może obecny premier Milosz Zeman? Wprawdzie zapowiada on rychłe pożegnanie z polityką, wprawdzie słynie z niekonwencjonalnych zachowań i wypowiedzi (premiera Słowacji poinformował np. że ich piwo, sławny „Złoty bażant”, nadaje się wyłącznie do płukania protez zębowych), ale prezydent wybierany jest w wyborach pośrednich, decyduje nie całe społeczeństwo, lecz posłowie i senatorzy. A układ sił parlamentarnych jest taki, że wielu moich czeskich znajomych gotowych jest postawić wszystkie pieniądze właśnie na Zemana.

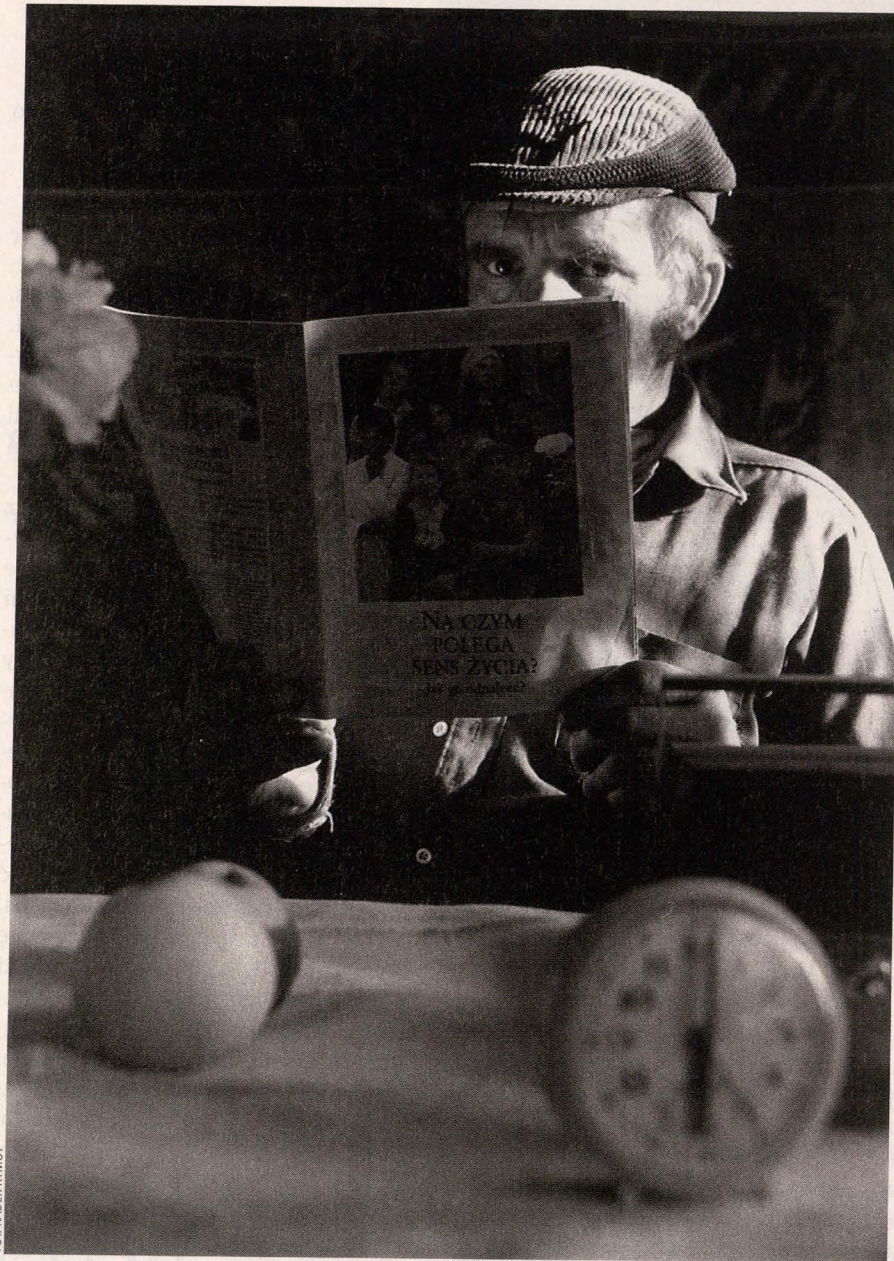
Mnie najbardziej realna wydaje się kandydatura byłego premiera Republiki Czeskiej (wchodzącej w skład śp. Czechosłowacji), obecnego przewodniczącego senatu, 60-letniego Petra Pitharda. Były sygnatariusz Karty 77, blisko zaprzyjaźniony z Havlem, jedna z czołowych postaci „aksamitnej rewolucji”. Jego niedawny sukces na Kubie, gdzie wyciągnął Fidelowi Castro z gardła dwu czeskich posadzonych o kontakty z opozycją parlamentarzystów, potraktowano w Pradze jako „udany start prezydenckiej kampanii wyborczej”.

Nie potwierdził ani nie zaprzeczył, zwrócił tylko uwagę, że na Hradczanach nadal urzęduje Havel, że na pewno wróci do pełni sił i że on, Pithard, nigdy nie zrobi czegoś, co sprawiłoby przykrość obecnemu prezydentowi. I chyba tak będzie, bo chociaż w polityce nie ma miejsca na sentymenty, to były premier jest, zdaniem jego współrodaków, uczciwym człowiekiem.

LESZEK MAZAN

PS Określenie „mieszkanie na Hradczanach” należy traktować symbolicznie: żaden prezydent Czechosłowacji (później Czech) nie kochał tu mieszkać.

FOT. REUTERS/FORUM



FOT. RADEK RYMUT

PIOTR LEGUTKO

Odprawa pracowników polskich

Zwolnienia grupowe stają się w Polsce codziennością. Dotyczą nie tylko górników, hutników czy kolejarzy. Na bruk idą także dziennikarze, lekarze i bankowcy.

Nie wszyscy zwolnieni potrafią odnaleźć się w nowej sytuacji, ale też i nie wszyscy pracodawcy starają się im w tym pomagać. Jak wygląda przeciętna odprawa robotników polskich?

Najpoważniejsze zwolnienia dotyczą przemysłu ciężkiego. Rewolucji w kraju z tego powodu nie ma, choć co jakiś czas kolejne branże urządzają marsz na Warszawę. Spokojniej niż się obawiano, zachowują się górnicy i hutnicy. To efekt wysokich odpraw, wcześniejszych emerytur, kontraktów szkoleniowych. I odpowiednio dawkowanych redukcji. Rozwiązania stosowane w Polsce są podobne jak w krajach zachodnich. Ale na tych samych instrumentach można grać bardzo różną muzykę.

Bierz forszę i w nogi

Najwięcej emocji budzą jednorazowe odprawy w wysokości kilkudziesięciu tysięcy złotych. Idea była taka: pieniądze mają być przeznaczone na rozkręcenie własnego interesu, założenie firmy, wkład w jakieś wspólne przedsięwzięcie.

Tymczasem (według oficjalnych danych Głównego Instytutu Górnictwa w Katowicach) tylko co piąty górnik właśnie w ten sposób wykorzystał swoją odprawę. Bliższe połowa (43 proc.) wszystko przejadła, w najlepszym razie inwestując we własne mieszkanie. Pozostali wpłacili gotówkę na konto, zainwestowali w akcje lub lokaty terminowe.

I trudno się ludziom dziwić, skoro odprawy traktowano otwarcie jako łapówkę za dobrowolne odejście. Obowiązywała zasada: ty bierzesz forszę, my mamy problem z głowy. Tylko kopalnia „Piaś” wpadła na prosty pomysł, by odchodzącym wręczać oprócz pieniędzy kasetę z instrukcją, jak zarejestrować działalność gospodarczą.

Kto zdecydował się na wzięcie odprawy? Przede wszystkim „gorole” i „werbusy”, czyli ludzie, którzy kiedyś na Śląsk przyjechali do pracy. Teraz biorą kasę, sprzedają mieszkania i wracają w swoje rodzinne strony. Emigrację widać szczególnie w „młodych” miastach, jak Jastrzębie. Druga co do wielkości grupa biorących odprawy to dwuzawodowcy, chłopcy-robotnicy dojeżdżający do pracy z setek wsi rozsianych po Śląsku i Małopolsce.

Lepsze deko pracy niż kilo odprawy

Nie jest jednak tak, że na Śląsku wszyscy górnicy biją się o odprawy. Ci zakorzenieni cenią sobie stałą, choć ciężką pracę i unikają ryzyka.

Los pierwszych naiwnych, którzy kilka lat temu dali się uwieść możliwości odmiany życia z dnia na dzień (samochód, podróże, komputer), a dziś nie mogą związać końca z końcem, stanowi lepsze memento niż apele związków zawodowych.

Na dzień przed ostatnią w 2000 r. likwidacją w kopalni „Jadwiga” pracowało 476 górników. Tylko 40 zgłosiło się po jednorazowe odprawy, a 80 skorzystało z górniczego urlopu. Reszta wynegocjowała pracę: 120 przy likwidacji zakładu, pozostali w sześciu innych kopalniach. Mimo dużo gorszych warunków zatrudnienia.

Podobne zjawisko widać w krakowskiej Hucie Sendzimira, choć mniejsza liczba jednorazowych odpraw wynika tu także z innej polityki firmy. Nowy zarząd dwa lata temu wprowadził zasadę, że nie każdy, kto się zgłosi, dostaje odprawę. HTS wcale nie chce się pozbywać dobrych fachowców, w dodatku z posagiem dla innej firmy. Tej huty nie czeka likwidacja, lecz (oby) prywatyzacja.

W Hiszpanii też wypłacano zwalnianym wysokie odprawy i na korzystnych warunkach wysyłano na wcześniejsze emerytury.

- Dziś powszechnie się tego żałuje. Odprawy były za wysokie i zbyt łatwe do uzyskania. Hiszpanie mają całą armię 50-latków, którzy nie chcą lub nie muszą nigdzie pracować - mówi Andrzej Martynuska, dyrektor małopolskiego Urzędu Pracy.

Dopiero po latach widać skutki społecznej polityki „wykupowania” przez państwo miejsc pracy. Nie chodzi tylko o samych ekszgórników czy hutników, lecz o ich otoczenie, rodziny, dzieci, na które bezczynność ojców działa demoralizująco.

- Hiszpanie uważają, że zrobili tym ludziom krzywdę. Dla nich zwolnieni to już pokolenie stracone, państwo skupia teraz całą wysiłek na młodzieży, na kształceniu w szkołach przedsiębiorczości i aktywności - opowiada dyrektor Martynuska.

Sentyment do pieca

Najlepszą formą wydawania pieniędzy na restrukturyzację są kontrakty szkoleniowe. To rzecz sprawdzona z dobrym skutkiem w wielu krajach. Zwalniany pracownik dostaje przez rok pensję, nie świadcząc pracy, lecz ucząc się. Zdobywa inne kwalifikacje i szuka roboty. Jeśli ją szybko znajdzie, kontrakt nie tylko mu nie przepada, ale jeszcze dostaje do ręki całą kwotę za nie wykorzystany czas. W świecie to się sprawdziło, w Polsce jakoś nie może.

Zaraz po wprowadzeniu kontraktów w Hucie Sendzimira wolę

Odprawy górnicze otwarcie traktowano jako łapówkę za dobrowolne odejście. Obowiązywała zasada: ty bierzesz forszę, my mamy problem z głowy.



skorzystania z tej formy wyraziło zaledwie 150 osób, a i ci hutnicy stali się obiektem niewybrednych dowcipów. Wokół szkoleń nie ma dobrej atmosfery w hucie i w związkach, są one deprecjonowane i obśmiewane. Dlatego kursy przekwalifikujące traktuje się jak dopust boży, a ich wybór jest przypadkowy jak losowanie numerów totka.

Według danych Polskiej Fundacji Promocji i Rozwoju Małych i Średnich Przedsiębiorstw, która administruje unijnymi pieniędzmi na szkolenia, najczęściej hutnicy wybierają kurs palacza c.o. Może wynika to z sentymentu do pieca, a na pewno z tego, że palenie jest dość popularną formą dorabiania. Ale trudno je uznać za pomysł na życie.

W państwowych firmach ludzie dowiadują się o zwolnieniu w ostatniej chwili. „Kwity” wręcza im na korytarzu szlochająca sekretarka.

Tymczasem dzięki kontraktom można zdobyć inne kwalifikacje naprawdę przydatne na rynku pracy: sprzedawcy z umiejętnością obsługi kas fiskalnych, magazyniera z umiejętnością obsługi komputera i wózków widłowych oraz podstawy księgowości. Zdarzają się nawet kursy masażu leczniczego czy operatora kamery telewizyjnej.

Ludzka twarz kapitalisty

Zwolnienia grupowe to rzecz normalna, na tym polega kapitalizm. Dzięki zwolnieniom firma stanie na nogi, będzie konkurencyjna. W porządek – dba się jeszcze, by nikt nie odszedł z pustymi rękami, a pozostałe miejsca pracy udało się utrzymać w dłuższej perspektywie. Jak powinien wyglądać proces restrukturyzacji, pokazują działające na polskim rynku duże, międzynarodowe koncerny.

Po pierwsze zwolnień dokonuje się tam według starannie

przygotowanego planu. Bezpośrednio zainteresowani dowiadują się o nich z dużym wyprzedzeniem, mają czas, by inaczej sobie ułożyć życie.

Po drugie zwalniani są tylko ci, których firma faktycznie nie potrzebuje (np. na skutek automatyzacji jakiejś fazy produkcji).

Po trzecie nikt nie jest zostawiony samemu sobie. Każdy zwalniany uzgadnia z profesjonalnym doradcą indywidualny plan przekwalifikowania.

Po czwarte wreszcie scenariusz realizuje się konsekwentnie, bez względu na okoliczności.

Tak na przykład wyglądało w 1999 r. zwolnienie 300 pracowników krakowskiej firmy Philip Morris, według tego sche-

matu zwalnia się dziś ludzi w fabryce na Żeraniu.

matu zwalnia się dziś ludzi w fabryce na Żeraniu. W Daewoo-FSO każdy zwolniony otrzymał co najmniej dwie propozycje zatrudnienia, a spółka wynajęła firmę, która zajmuje się szukaniem ofert pracy.

Zwolnieniom nie będą podlegać jedyni żywicieli rodzin oraz osoby o ponad 30-letnim stażu. Ponadto odchodzący otrzymają odprawy, średnio w wysokości 15-miesięcznych zarobków – mówi Krystyna Danilczyk, rzecznik Daewoo-FSO.

Ucieczkę „do przodu” proponuje się w podobnych zakładach w Nysie. – To program dla ludzi, którzy zdecydowali się odejść z firmy z własnej woli – mówi Krzysztof Dorożyński, dyrektor ds. finansowych w Nysa Motor. – Otrzymaliby takie same rekompensaty finansowe jak zwolnieni z przyczyn ekonomicznych. To ma być zachęta. Ktoś odchodzący od nas z własnej woli po 30

Na kogo padnie, na tego być

A jak sytuacja wygląda w przedsiębiorstwach państwowych?

Tu odprawa robotników polskich to jedna wielka intryga. Ludzie dowiadują się o zwolnieniu w ostatniej chwili, miejsce na czarnej liście do końca jest przedmiotem niejasnych przetargów, często trafiają na nie dobrzy fachowcy, tylko dlatego, że nie należą do odpowiedniego związku. „Kwity” wręczone są na korytarzu przez szlochającą sekretarkę (lub uzbrojonego strażnika),

Sposób na związkowca

Kolejną komisję zakładową ostatnio powołał pracownicy transportu. (Nie inaczej dzieje się np. w Hucie Katowice, gdzie związków jest 13.)

Ale sposób „na związkowca” nie jest jedynym, który gwarantuje obronę etatu. Telewizja zawsze była wrażliwa na najróżniejsze naciski, toteż od lutego do końca marca lista zwolnień grupowych kilkakrotnie zmieniała swą zawartość, doprowadzając do całkowitego skłócenia pracowników oraz politycznych interwencji. Co najciekawsze, w TVP walka wcale nie toczyła się o pracę, lecz o ZUS, bo praktycznie wszyscy zwolnieni nadal będą wykonywać te same czynności na tych samych stanowiskach, tyle że już jako współpracownicy, za honoraria.

Podobieństwo między Hutą Katowice a TVP polega też na tym, że w sprawie zwolnień w obu firmach trwa od dwóch lat nieustająca akcja protestacyjna.

Zgółła inne podejście do „zbiorówek” mają bankowcy. Fuzja BPH i PBK oznacza dla krakowskiego banku ok. 500 etatów mniej. Wśród związkowców z BPH panuje przekonanie, że nie ma o co kruszyć kopii z zarządkiem, ponieważ i tak nie uda się uratować miejsc pracy. Jedyne, co można wytargować, to godziwe odprawy dla zwalnianych pracowników. A bank ma

– Niestety, nie zwolniony wszystkich, którzy powinni odejść z telewizji. Uniemożliwia to prawo, które chroni funkcyjnych związkowców – narzeka dyrektor Andrzej Jeziorek. Takich osób jest ok. 50.

Na skutek źle napisanego prawa w państwowych firmach (i nie tylko tam) związki zawodowe mnożą się jak króliki. Trzeba przyznać, że dzieje się to w interesie pracowników. Jeśli grupa zagrożonych zarejestruje swój związek i obsadzi siebie na funkcyjnych stanowiskach, może spać spokojnie. Z tego powodu w krakowskiej telewizji działa już dziewięć związków zawodowych, w tym cztery dziennikarskie.

Sposób na związkowca

Kolejną komisję zakładową ostatnio powołał pracownicy transportu. (Nie inaczej dzieje się np. w Hucie Katowice, gdzie związków jest 13.)

Ale sposób „na związkowca” nie jest jedynym, który gwarantuje obronę etatu. Telewizja zawsze była wrażliwa na najróżniejsze naciski, toteż od lutego do końca marca lista zwolnień grupowych kilkakrotnie zmieniała swą zawartość, doprowadzając do całkowitego skłócenia pracowników oraz politycznych interwencji. Co najciekawsze, w TVP walka wcale nie toczyła się o pracę, lecz o ZUS, bo praktycznie wszyscy zwolnieni nadal będą wykonywać te same czynności na tych samych stanowiskach, tyle że już jako współpracownicy, za honoraria.

Podobieństwo między Hutą Katowice a TVP polega też na tym, że w sprawie zwolnień w obu firmach trwa od dwóch lat nieustająca akcja protestacyjna.

Zgółła inne podejście do „zbiorówek” mają bankowcy. Fuzja BPH i PBK oznacza dla krakowskiego banku ok. 500 etatów mniej. Wśród związkowców z BPH panuje przekonanie, że nie ma o co kruszyć kopii z zarządkiem, ponieważ i tak nie uda się uratować miejsc pracy. Jedyne, co można wytargować, to godziwe odprawy dla zwalnianych pracowników. A bank ma

z czego płacić – tylko w zeszłym roku zarobił netto aż 250 mln zł. Dlatego związkowcy nie biorą pod uwagę ogłoszenia akcji protestacyjnej czy strajku.

Na układy nie ma rady

W efekcie reformy oświaty w przyszłym roku szkolnym nie będzie naboru uczniów do klas pierwszych liceów ogólnokształcących i zawodowych (w podstawówkach nie ma już ósmych klas, a w gimnazjach nie ma jeszcze klas trzecich). Za parę tygodni gotowe będą imienne listy nauczycieli, którzy z tego powodu stracą pracę. W skali kraju będzie to kilkanaście tysięcy osób.

Listy jeszcze nie powstały, ale już budzą kontrowersje, bo los zwalnianych zależy wyłącznie od łaski dyrektora szkoły.

– Ponieważ Karta chroni niedouczonych nauczycieli, niedouczeni nauczyciele wybierają dyrektora, a dyrektor ma w ręku kompetencje kadrowe, zaczął się bardzo groźny proces przyspieszonej negatywnej selekcji w oświacie. Przy całkowitej bierności rządu i bezradności samorządu, który nic na to poradzić nie może – mówi polonista zagrożony zwolnieniem.

– Strach nauczycieli jest uzasadniony. Jeżeli dyrektor jest z lewicy, stara się dobrać nauczycieli o podobnych poglądach, bo oni będą go chronić na stanowisku. Ten sam mechanizm działa w przypadku ludzi prawicy. Na to nie poradzi nikt. Układy są na reformę odporne – potwierdza kierujący nauczycielską „Solidarnością” Stefan Kubowicz.

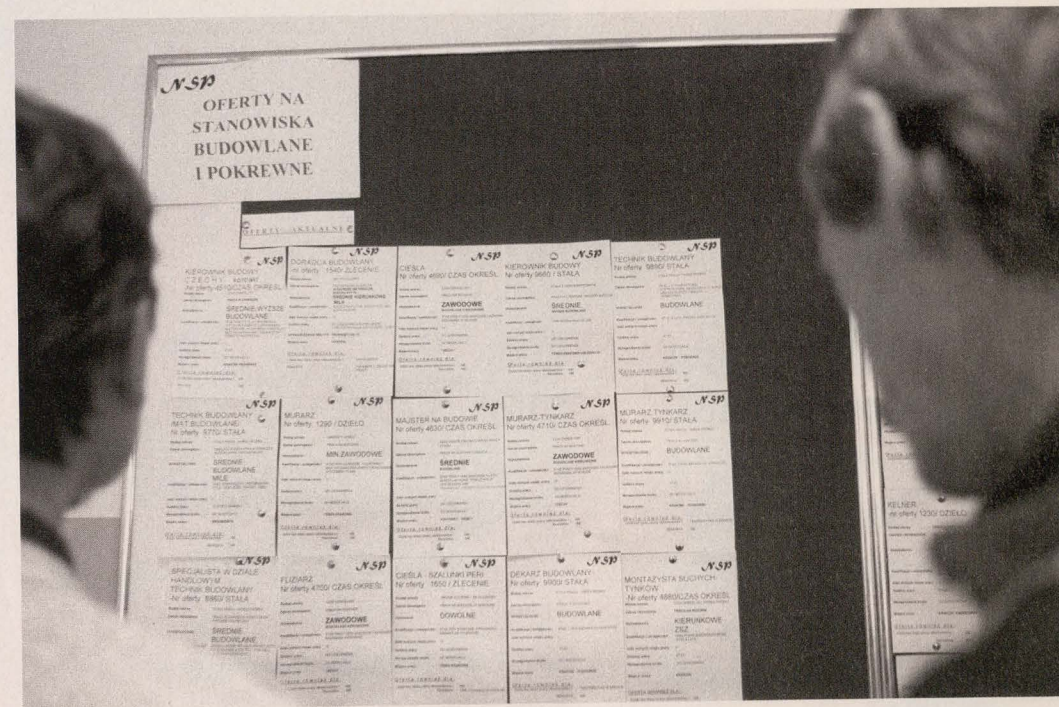
– Szkoda, że w Karcie nie udało się przeforsować zapisu, w myśl którego nie wolno zwalniać nauczyciela z pełnym przygotowaniem, jeśli w szkole są nauczyciele bez kwalifikacji – mówi Jerzy Lackowski, małopolski kurator oświaty.

Największy prezent

Sytuacja ekstremalna, jaką jest groźba utraty pracy, może wyzwać po obu stronach bardzo różne reakcje.

Arcybiskup metropolita katolicki Damian Zimoń alarmował

Ludzie zmuszeni do zmiany pracy odkrywają w sobie często pokłady aktywności, z jakich nie zdawali sobie sprawy.



w swoim liście o bezrobociu z 19 marca: „Pracownicy szantażowani groźbą zwolnienia zmuszani bywają do akceptacji niegodziwych warunków pracy, wyrażają zgodę na niesprawiedliwe wynagrodzenie, brak zabezpieczeń socjalnych, fałszowanie danych dotyczących zarobków, by obniżyć koszty ubezpieczeń socjalnych”. Tak bywa często, ale jest i druga strona medalu. Ludzie zmuszeni przez sytuację do zmiany środowiska i miejsca pracy odkrywają w sobie pokłady aktywności, z jakich nie zdawali sobie dotąd sprawy.

– Często od osób objętych programem zwolnień słyszę: – Do tej pory nie myślałem, że jeszcze takie rzeczy będę mógł w życiu robić, tak naprawdę pracodawca, zwalniając mnie, dał mi największy prezent, jaki mógł dać – mówi Dorota Rygielska z firmy Nicholson International.

PIOTR LEGUTKO

ZWOLNIENIE GRUPOWE

Ze zwolnieniem grupowym mamy do czynienia, gdy zachodzą naraz dwa warunki:

- w zakładzie pracy dochodzi do znacznego zmniejszenia zatrudnienia albo jednorazowo, albo w okresie do 3 miesięcy (minimum 10 proc. pracowników w zakładzie zatrudniającym do 1000 pracowników lub 100 pracowników w zakładzie zatrudniającym ponad 1000 pracowników)
- zmniejszenie zatrudnienia następuje z przyczyn dotyczących wyłącznie zakładu pracy, a więc niezależnych od pracownika.

Ponadto przepisy o zwolnieniach grupowych stosuje się do zakładów pracy, które ogłosiły swoją likwidację lub upadłość. Pracownikowi zwolnionemu z pracy w trybie zwolnień grupowych przysługuje odprawa, której wysokość wynosi od jedno- do trzymiesięcznego wynagrodzenia i zależy od ogólnego stażu pracy zwolnionego pracownika. Jednak nie może ona przekroczyć 15-krotnego najniższego wynagrodzenia w gospodarce.

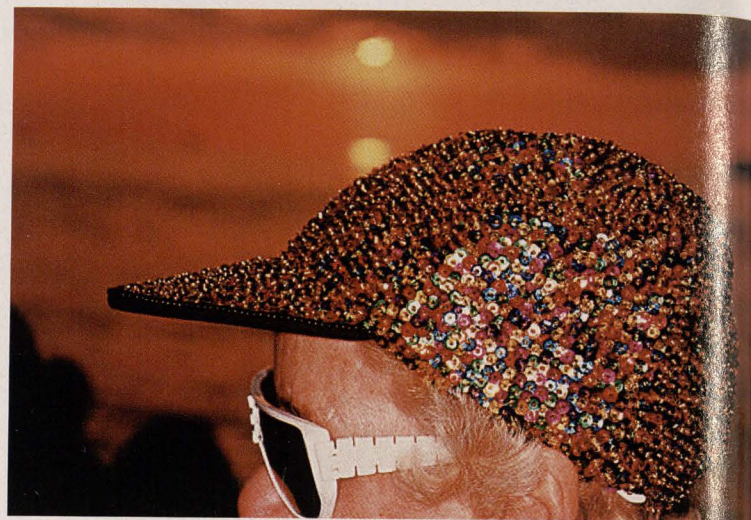
Obowiązek stosowania procedury zwolnień grupowych ciąży na wszystkich zakładach pracy niezależnie od ich formy organizacyjno-prawnej lub struktury właścicielskiej. Istnieją odrębne regulacje dla niektórych grup zawodowych, takich jak np. nauczyciele i pracownicy samorządowi.

TEKST: MARTA SOBOLSKA
ZDJĘCIA: MARTIN PARR/MAGNUM/EK PICTURES

Zdjęcia Martina Parra, jednego z najlepszych fotografików brytyjskich ostatnich 30 lat, sprawiają wrażenie, że zrobił je wariat nie mający pojęcia o kompozycji i głębi ostrości. Lekceważy wszystko, co osiągnięto w fotografii artystycznej.

KOLORY POP- -KULTURY

Może z fotografiami Martina Parra jest tak: jestem na wycieczce za granicą, na przykład w Anglii. Idzie punk z egzotycznie nastroszonymi włosami, kolczymi w uszach, nosie i brwiach. Zrobię mu zdjęcie i pokażę rodzicom, jak wygląda ulica za granicą. Już, już naciskam migawkę, ale zaraz... Co to tam z tyłu, takie czerwone? To prawdziwa angielska budka telefoniczna! Pstryk. Nie wiem, ale mam chyba i punka, i budkę.



To, co przykuwa wzrok u Parra, to kolory. Najbardziej kiczowate zestawienia, ostre i kontrastowe, wściekły róż i czerwień. Poza tym faktura - pory skóry, cekiny, gładkie polakierowane paznokcie, włosy i futra. Wybór fotografowanego detalu zastępuje narrację, a równocześnie kompozycja zdjęcia od razu ją rozbija. Parr to maniak - nie może oprzeć się kolorom do tego stopnia, że „obcina” głowy, zostawiając tylko podbródek, i to szacownej osobie księdza. Cóż, kiedy zestawienie bieli koloratki i czerni sutanny z kiczowatym błękitem nieba wydaje mu się bardziej interesujące od osoby.



Czasem zbliżenia Parra są tak duże, że nie wiadomo, jakiego przedmiotu fragment widzimy – obwarzanek, który wygląda jak neon, albo różowe ciastko, kręte jak orientalna budowla.

Cykl „Home and Abroad” to fotografie z lat 80. i początku 90. Tytuł nawiązuje do edwardiańskich albumów rodzinnych z podróży. Osoby są w nim jednak bardziej interesujące od miejsc. Mimo absurdu kadrowania, poobcinanych twarzy i nosów to prawdziwy album antropologa kultury. Na obrazku pozostaje to, co najważniejsze – ślad współczesnej kultury, ale jej odmiany popularnej.

Na przykład okulary – „soczewki w oprawie, służące do korekcji wad wzroku” (Encyklopedia PWN). Trochę zapomnieliśmy o tej podstawowej funkcji – wzrok korygują niewidoczne szkła kontaktowe, a okulary są barierą lustrzanych bądź czarnych szybek, za którą można się schować. To rodzaj biżuterii kolorowej, wymyślnej, markowej, podrabianej. Są formą snobizmu. W końcu mają też sugerować, że ich właściciel jest osobą inteligentną i czytanną, tak jakby nie można było osłabić sobie wzroku, oglądając telewizję i grając na komputerze. Nawet pudel w okularach przeciwsłonecznych zyskuje

„ludzki wygląd”, bo czujemy dystans, widząc jego poważną minę.

Zaskakujące jest zdjęcie kobiety rozmawiającej przez telefon. Najpierw zauważamy kolory – pomalowana pstrokatostwa słuchawka, czerwone szpony, niebieski daszek czapeczki. Wszystko to współgra z błękitem makijażu i wzorkiem na słuchawce, ale rozmowa jest poważna, kobieta ma lekko opuszczone powieki i zmartwione spojrzenie. Coś tu jednak nie gra, jedno oko trochę za bardzo poza twarzą i te oczy są jakieś płaskie. Doskonała mistyfikacja? Dlaczego zasłaniamy własne oczy jakimiś hologramami? Nawet psu nie można już spojrzeć w oczy.

Ulubione „studia fotograficzne” Parra to hipermarkety, lunaparki, kurorty, bary, miejsca masowej konsumpcji wszelkiego rodzaju dóbr – od rozrywki do hamburgerów. Jego obiektyw jest bezlitosny, flesz aparatu obnaża kicz, brak gustu i prowincjonalność modeli bez względu na to, czy bohaterem zdjęcia jest człowiek, czapka, pies czy ciastko. Fotograf nie dystansuje się jednak od tego świata. Przeciwnie – odnajduje w nim swoje miejsce.

**Wystawa fotografii Martina Parra,
Centrum Łowicka, ul. Łowicka,
Warszawa, czynna do 10 czerwca.**



Starszy brat Zachęty

Krakowskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych jest starsze od warszawskiej Zachęty, ale rangą artystyczną i sposobem zarządzania daleko mu do młodszej siostry.

Pałac Sztuki przy placu Szczepańskim 11 maja obchodził 100-lecie istnienia. Uroczystości przypominały o dawnej świetności najstarszego w tej części Europy Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych.

Uroczystość rozpoczęła się ponownym otwarciem Pałacu. Gości powitała fanfarami Jazz Band Orchestra. Otwarto pięć nowych wystaw: „Portrety i autoportrety artystów ze zbiorów TPSP w Krakowie” z obrazami Jacka Malczewskiego, Stasysa Eidrigevičiusa, Teodora Axentowicza, Stanisława Wyspiańskie-

go, retrospektywę grafiki Franciszka Bunscha, historię powstania Pałacu Sztuki TPSP, malarstwo i rysunek twórcy PS, architekta Franciszka Mączyńskiego oraz wystawę odnowionego obrazu „Wyjazd rodziny E.”.

To pierwsza część obchodów stulecia. Druga rozpocznie się w październiku w Filharmonii Krakowskiej. Planowany jest koncert i losowanie dzieł sztuki.

Na początku działalności Towarzystwo promowało sztukę Młodej Polski, wówczas odważną i awangardową. Potem też nie brakowało

li Pałac Sztuki, dworek Jana Matejki w Krzesławicach oraz willa prof. Karola Estreichera były finansowane przez Urząd. To fakt, stosunki prezesa Witka i Wydziału Kultury UMK układały się źle.

Pieniądże

W lutym 1999 r. prezes złożył wniosek o dofinansowanie. Nie prosił bynajmniej o pieniądze na odnowienie wspomnianych budynków, które gmina wedle uchwały rady miasta może, ale nie musi wspierać. Liczono na pokrycie kosztu katalogu wystawy „Szancenbachowie: Jan, Maria, Krystyna”, rozpoczynającej się miesiąc później.

Zgodnie z obowiązującym wówczas Gminnym Programem Dofinansowań prośba powinna wpłynąć do Wydziału Kultury pół roku wcześniej - 15 sierpnia 1998 był terminem zamykającym przyjmowanie wniosków o dofinansowanie przedsięwzięć wysokobudżetowych.

Projekt TPSP przewidywał koszt 110 tys. zł. Oczekiwane 40 tys. nie zostały przyznane, zaoferowano wsparcie w wysokości 2 tys., którego Zarząd nie przyjął. Umowę podpisano więc jednostronnie (UMK).

Nikt nie czuł się usatysfakcjonowany, a urażony prezes postanowił dopieć władzom miasta, co zobaczy każdy, kto znajdzie się w okolicach placu Szczepańskiego. Niedawno TPSP poprosiło o pieniądze na płytę CD wydawaną z okazji 100-lecia TPSP i 40-lecia Jazz Band Orchestra. Komisje zaopiniowały wniosek pozytywnie. Czy to skłoni prezesa do zdjęcia informacji? Chyba nie, skoro pieniądze znowu otrzyma na inny cel.

O nieprzychylności oskarżono też „Gazetę Wyborczą”. Personalnie napiętnowano Katarzynę Bik.

– W grudniu 1998 r. napisałam krytyczny artykuł o władzach Pałacu, na bieżąco informowałam o jakości tamtejszych wystaw. Kiedyś było to żywe miejsce, pięć lat temu to się skończyło. Prezes na ogół wynajmuje sale artystom, bierze za to niemałe pieniądze, a je-

śli sam robi wystawy, są one nierzetelne i niechlujnie przygotowane. Wedle statutu Towarzystwo ma promować sztukę i artystów. A promuje to, co przynosi dochody.

Chcesz się pokazać?

Podobnego zdania jest Łukasz Konieczko, artysta malarz, pracownik ASP. Uważa, że choć ekonomicznie obecny prezes radzi sobie lepiej niż poprzednicy, jego inne działania, jak wspomniane pobieranie opłat za wystawy, obniżyły jakość promowanej przez Towarzystwo sztuki.

Zbigniew K. Witek pokazuje, że gdy w 1996 r. zaangażował się w działalność Towarzystwa, Pałac Sztuki podupadał. Budynek wymagał remontu, ginęły cenne zbiory. Postanowił to zmienić.

Pod jego okiem w krótkim czasie odrestaurowano wnętrze budynku i piwnice. Chciano przywrócić miejscu świetność sprzed lat. Ogrom pracy może imponować, choć przywrócenie murom świetności nie idzie w parze z duchem miejsca, bo Pałac nie przeżywa renesansu działalności.

– Moim zdaniem nie jest to najlepszy czas dla TPSP. W jego działalności programowej trudno dopatrzeć się konsekwencji – mówi Jarosław Suchan, dyrektor sąsiedniej galerii Bunkier Sztuki.

Andrzej Starmach, właściciel znanej krakowskiej galerii, nie chciał o TPSP mówić źle, więc wolał się nie wypowiadać.

Jan Michalski, historyk sztuki, również uważa, że Towarzystwo mogłoby działać dużo lepiej: – Nie ma ono stylu ani programu, który mogłoby zaprezentować.

Duszny jubileusz

Towarzystwo ma długą tradycję, zostało założone w 1854 r. i w naszej części Europy jest jedną z najstarszych organizacji – mecenasów sztuki, działającą dłużej niż warszawska Zachęta. Pałac może poszczycić się dużą kolekcją własną. W zbiorach są m.in. prace Grottgera i Malczewskiego, a także „Wyjazd rodziny E.” au-

torstwa Josse De Mompera Młodszego (pejzaż) i – jak odkryto niedawno, Jana Breughla Starszego (sztafaż). Pałac Sztuki to jedno z najpiękniejszych miejsc wystawowych Krakowa.

Z okazji rocznicy nie zabrakło przemówień, ale atmosferę w budynku podgrzewały jednak głównie promienie słoneczne, wpadające przez oszklony dach. Wykonano utwór Jana Kantego Pawłuskiewicza, skomponowany specjalnie na tę okazję. Odtąd będzie on stałym sygnałem otwierającym wystawy w Pałacu. Wzniesiono też toast szampanem, a okolicznościowe kieliszki zalecono zabrać gościom na pamiątkę. Z bankietu zrezygnowano, bo jak powiedział prezes, Towarzystwo woli przeznaczyć fundusze na rozwój sztuki.

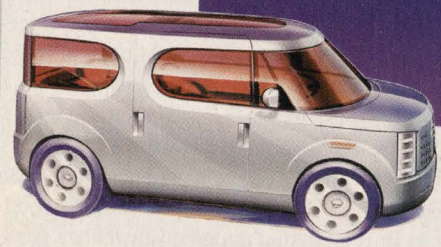
Być może sytuacja zmieni się po obchodach rocznicy lub pojawi się kolejny transparent, „zdobiący” jego boczną fasadę.

KAMILA PAWLIK

PS Ostatnio zniknął – prawdopodobnie zdjęty przez ludzi z Pałacu Sztuki – jeden z trzech transparentów dotyczący „Gazety Wyborczej” i „wrogiej działalności” Katarzyny Bik.



Prezes TPSP Zbigniew K. Witek



SALON NA KÓIKACH

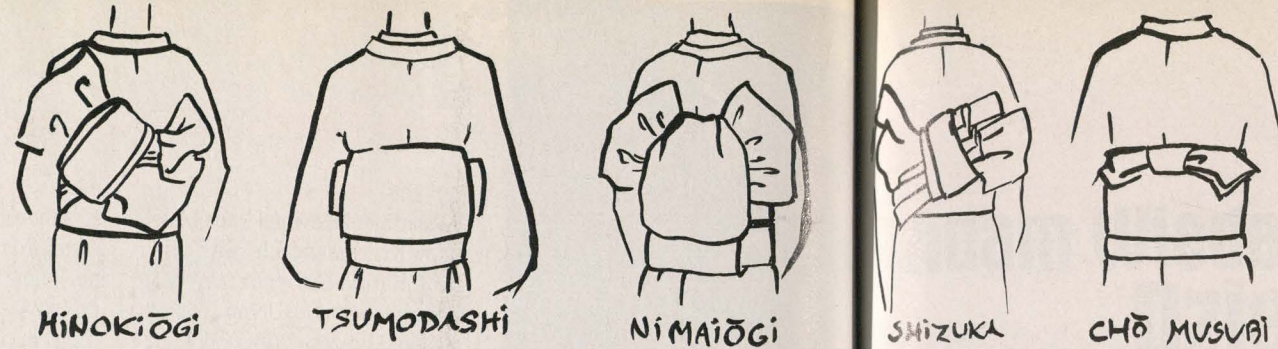
Wyobraź sobie samochód, do którego możesz zaprosić znajomych, napić się wina, porozmawiać i obejrzeć film. Samochód jest wtedy nie tylko środkiem lokomocji, ale ruchomym miejscem pracy wyposażonym we wszystko, czego potrzeba we współczesnym biurze. Takie założenia przyjęli konstruktorzy i projektanci trzech japońskich prototypów: nissana chappo, hondy model X i mazdy o tajemniczej nazwie „The Secret Hideout”. Wnętrza aut zaprojektowano tak, aby uzyskać maksimum funkcjonalności. Kanapy i fotele można ustawiać dowolnie, tworząc salę konferencyjną, biuro lub przytulny salon. Na sufitach zamontowano płaskie ekrany komputerowe mogące służyć do pracy, a w wolnych chwilach jako kino DVD. (SR)

CIENKI REKORDZISTA



Nowy iBook Macintosha pobił rekord cienkości. Laptop gruby na jedyne 33 milimetry waży 2,2 kg i jest niewiele większy od kartki papieru formatu A4. Nowością jest także podwyższona rozdzielczość ekranu, wynosząca 1024 na 768 pikseli. Komputer wyposażono

w procesor G3 z zegarem 500 Mhz, 64 MB pamięci RAM (opcjonalnie 128). Dane można przechowywać na dysku o pojemności 10 lub 20 GB. Cena w najtańszej wersji to około 1200 dol. Na razie nie wiadomo, ile nowy iBook będzie kosztował w Polsce. (AS)



Jak zawiązać pas obi?

Przyszło lato, czas na wyciągnięcie z garderoby i odprasowanie dawno nie używanych kimon.

W czerwcu należy przygotować się do sezonu letniego i wyciągnąć z dna szafy letnie kimono: hitoe na czerwiec, yukatę na lipiec i sierpień, a schować ciepłe, dwuwarstwowe kimono awase. Kimono ma zawsze taki sam kształt. Szyte jest z materiału szerokiego na 36 cm i długiego na ok. 11 metrów. Jest krojone niemal wyłącznie po linii prostej. Ubiera się je jak szlafrok, zakładając lewą połą na prawą. Zarówno męskie, jak i damskie kimono przygotowuje się z dużym zapasem długości, aby można je specjalnie układać. Podobnie z szerokością – obwód w pasie zmienia się nie tylko u Europejczyków.

Od koshimaki do zori

Tak jak yofuku, czyli europejskie ubrania, kimono różnią się nie tylko tym, o jakiej porze roku się je nosi. Inne są kimono oficjalne, a inne codzienne. Panny noszą furisode – bardzo wzorzyste kimono z rękawami sięgającymi ziemi.

Mężatki mają większy wybór: tomesode – czarne kimono z wzorem wzdłuż dolnego brzegu oraz herbami rodowymi na rękawach i plecach, lub homongi – z wzorem zachodzącym na rękaw i kołnierzu.

Niezależnie od pory roku i stanu cywilnego pod kimonem kobiety noszą przepaskę biodrową, zwaną koshimaki. Na to przychodzi ciasno wiązana w pasie koszulka. Aby kimono lepiej się układało, Japonki stosują od setek lat metodę niedawno opatentowaną w bielizniarstwie jako push-up – przywiązują do ciała tasiemkami niewielkie poduszeczki. Oczywiście wszystko to bielizna i żaden z elementów nie jest widoczny (szczególnie poduszeczki!). Następna szata jest dopasowana kolorem i haftem do kimono. Czasem widać ją pomiędzy jego połami. Do tego białe skarpetki tabi z jednym palcem i kłapeczki zori.

Teraz czas na kimono. Proszę pamiętać – lewa poła na prawą. Za nami dopiero połowa kitsuke, bo tak nazywa się ubieranie kimono. Najbardziej skomplikowaną czynnością jest wiązanie pasa obi. W porównaniu z wiązaniem obi składanie skomplikowanego origami jest jak zwijanie drutu. Obi ma ponad 4 metry długości i ok. 70 cm szerokości. Szyty jest z haftowanego jedwabiu. Zawiązanie go zajmuje kilkanaście minut i wymaga pomocy drugiej

osoby. Dwa razy owija się go wokół talii, z przodu pomiędzy warstwy materiału wsuwa się usztywniającą wkładkę, dzięki której tkanina leży gładko. Do zawiązania na plecach ozdobnego węzła używa się mnóstwa haftek, spinek i bawełnianych troczków przechowywanych w furi – kieszeniach w rękawach.

Pani profesor zakłada kimono

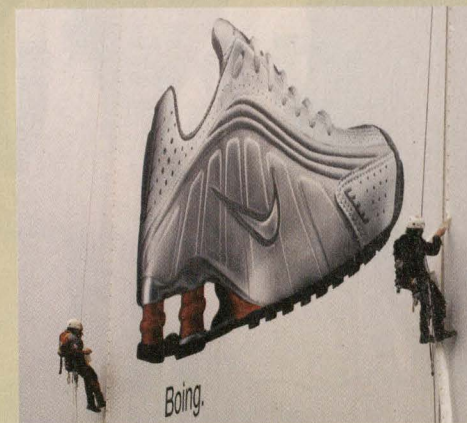
Sposób wiązania przekazuje się z pokolenia na pokolenie. W czasie wojny noszenie sztywnego i krępującego ruchu stroju było zabronione jako niebezpieczne. Po wojnie mało kto mógł sobie pozwolić na tak drogie ubranie (cena waha się od 60 tys. do 3 mln jenów). Sztuka wiązania obi poszła niemal w zapomnienie.

Centrum Sztuki Japońskiej Manggha w Krakowie zaprosiło profesor Asako Shibatani z Osaki, specjalistkę w zakładaniu kimono. Pani Shibatani i jej dziesięć asystentek prezentowały tradycyjne stroje japońskie i wiązanie pasa obi w różnych stylach. Ciekawostką pokazu było kimono żałobne i strój nowożeńców. Panna młoda, oprócz ozdobnych grzebieni i spinek we włosach, nosi na głowie wiązaną białą jedwabną szarfę, która ma zakrywać rogi. Po ślubie rogów pokazywać nie wypada.

(MS)

Pęd Nike

W 1994 r. firma Nike postanowiła używać logo bez nazwy firmy. Decyzja zapadła po badaniach rynkowych w USA, Europie i Azji. Rozpoznawalność znaku Nike została oceniona na 94 proc.



Firmę założył w 1957 r. średniodystansowiec Phil Knight i jego trener Bill Bowerman. Pięć lat później, ukończywszy studia, Knight wyruszył w podróż po świecie. W Japonii nawiązał kontakty handlowe, skąd od 1965 r. importował buty sportowe. W 1971 r. rozpoczął produkcję własnego obuwia. Gdy podjął tę decyzję, poprosił Jeffa Johnsona, pierwszego zatrudnionego pracownika firmy, o zasugerowanie nazwy. W noc poprzedzającą ostateczny termin przekazania propozycji przysniła się Johnsonowi grecka bogini zwycięstwa. W tym samym roku za 35 dol. logo wymyśliła Carolyn Davidson, 25-letnia studentka projektowania graficznego. Jedyne wskazówką, jaką dał jej Knight, było to, by znak naszyty na butach wyrażał ruch.

Z dziesięciu możliwości wybrał tę, która przypominała niedbale mażnięcie pędzlem, nazwane później „swoosh”. Nazwa ta ma związek z koncepcją założyciela i właściciela Nike’a, aby logo firmy symbolizowało autentyczność w dziedzinie sportu, indywidualne zaangażowanie osób współtworzących firmę i pasję sukcesu. Dodatkowo logo miało mieć nowoczesny kształt oraz symbolizować dynamikę działania i przyszłego rozwoju firmy. Knight tak skomentował znak: „Nie jestem nim zachwycony, ale wierzę, że z czasem się przekonam”. „Swoosh” jest wyrazem dźwiękonaśladowczym wyrażającym szum czy świst wydawany np. przez szybko przejeżdżający pojazd lub lecącą piłkę. Nike stał się jedną z największych firm produkujących

sprzęt sportowy. Kontraktami reklamowymi związały się z nią największe gwiazdy sportu: Michael Jordan, Andre Agassi, Michael Schumacher, Ronaldo i jeden z najlepszych golfistów Tiger Woods. Miarą popularności Nike’a i jego logo jest bizuteria, jak np. sygnety ze „swooshem”, z których produkcją firma nie ma nic wspólnego. Logo poddawano różnym modyfikacjom w latach: 1978, 1985 i 1996. Davidson jeszcze przez jakiś czas opracowywała różne projekty dla Nike’a. W 1983 r., gdy od lat nie była już związana z firmą, dostała zaproszenie na lunch. Otrzymała od firmy złoty pierścionek z brylantem w kształcie „swoosha” i pakiet akcji, których liczba jest objęta tajemnicą.

ŁUKASZ DZIATKIEWICZ

FOT. EAST NEWS

JAK PACHNIE...

...SYBERIA. Każdy podróżnik powie, że Syberia pachnie mroźnym powietrzem. Po chwili zastanowienia wymieni aromat żywicy unoszący się w ciepłe miesiące nad tajgą i woń ropy emanującej z pól naftowych i nieszczęlnych rurociągów. Przez wieki jednak Syberia kojarzyła się z zapachem skór, jakimi wykładano sianie, podstawowy środek lokomocji w krainie, w której zima trwa nawet dziewięć miesięcy. Właśnie ta woń, a nie aromaty rosyjskich ziół, kwiatów czy drzew, urosła niemal do symbolu carskiego imperium i romantycznej rosyjskiej duszy. I to wcale nie dlatego, że za Ural zsyłano najwybitniejszych artystów z Dostojewskim na czele, lecz za sprawą wymiany handlowej z Zachodem. W XIX w. jednym z towarów importowanych z Rosji były skóry – jasne, cieliące, a co najważniejsze impregnowane sokiem brzo-

wym, który dawał im niepowtarzalny aromat. Perfumiarzom udało się uzyskać substancję imitującą ową woń. Nazwali ją „rosyjska skóra”. Jej kariera w perfumiarstwie nabrała tempa, kiedy po 1917 r. odkryli ją rosyjscy emigranci, u których wywoływała wspomnienia wielkich syberyjskich przestrzeni i podróży przez syberyjskie lasy. Nic więc dziwnego, że szybko stała się ważnym składnikiem wielu perfum, a uciekinier z Moskwy Ernest Beaux wykreował nawet dla Chanel pachnidło o nazwie cuir de russie (rosyjska skóra). Dzisiaj zapach dawnej Syberii można poczuć choćby w perfumach Givenchy Gentleman, lecz zapewne niewielu osobom będzie kojarzył się z azjatycką częścią Rosji. Chyba lepiej zadziałałaby na wyobraźnię woń znoszonej kufajki.

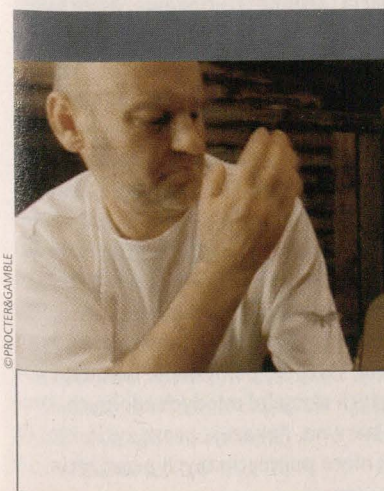
AGATA WASILENKO

REKLAMA(CJE)

ĆMY ATAKUJĄ! Wieczór, drewniana chata gdzieś na odludziu. Łagodna muzyka. Ćmy kłębią się wokół lampy naftowej. Mężczyzna w białym podkoszulku wychodzi na werandę. Nagle owady rzucają się na niego, oblepiają go. Przerazony, ucieka do domu, wymachując rękami. To nie zwiastun thrillera, gdzie mordercze zwierzęta atakują ludzi. „Zawinił” proszek Vizir, dzięki któremu: „Bielsze nie będzie”. Atmosfera telewizyjnej reklamówki jest raczej ponura. Nareszcie proszki do prania reklamują się inaczej. Chyba wszyscy mają już dość ochów i achów nad ich

niezwykłą skutecznością, zwłaszcza w walce z plamami, systemem ochrony kolorów, no i kieszeni, której tani, ale dobry proszek nie wypierze. Innowacyjnych reklamówek środków czystości pojawiło się już kilka. Jeśli tak dalej pójdzie, nie będę musiał sięgać nerwowo po pilota, by uwolnić się od zachwyconych gospodyń domowych. Choć został jeszcze nieśmiertelny pan Orlik i jego koledzy – specjaliści od naprawy pralek, którzy z rozbrajającą szczerością przyznają, że to dobrze, iż nie wszyscy używają Calgonu, bo straciłoby pracę.

(ŁDZ)



©PROCTER&GAMBLE

Nic

Polska stolica mody jest piękna i straszna. Łódź z szalenie oryginalną ulicą Piotrkowską – najdłuższym deptakiem w Polsce i z wszystkim naj. Puby, kawiarenki, ogródki piwne i restauracje na środku ulicy. I tajemnicze odrapane podwórka wciągające w głąb, które mogłyby się zamienić w szczyt stylu i nastroju, gdyby ktoś wpakował w nie niesłychane pieniądze. A potem jeszcze publika, która by je tam zostawiała. Miasto – wyrzut sumienia dawnego okrutnego kapitalizmu i spalonych nadziei nowego kapitalizmu, straszy zamkniętymi fabrykami i wybitymi oknami. Przy każdym dorwaniu się do mikrofonu osoby oficjalnej słyszymy o nadziei, żeby nam zakwitł przemysł w Łodzi, ale dobrze wiemy, jak jest i jak będzie.

Dalej dzielnie kształcimy w Łodzi fachowców, mamy tam silne środowisko projektanckie, produkcyjne, włókiennicze i wszelkie pobliskie zawody. I co z tego? Niewiele. Może przesadzam, ale potencjał jest, energia jest, zapał jest, talenty są. Zalani konfekcją zagraniczną, raczej z trudem możemy się spod tych zwalów wydostać.

Miało być o konkursach. Pierwszy i bardzo ważny, który elektryzuje środowisko młodych projektantów, to „Złota Nitka” organizowana przez Międzynarodowe Targi Łódzkie. W tym roku Nitkę dostała Vaida Januskaite (w kategorii Prêt-à-porter, konfekcja użytkowa) za elegancką, modną i spokojną kolekcję z tweedów, a wyróżnienie – Magdalena Płonka za kolekcję łączącą džins ze skórą (a może skajem?). W kategorii Premier Vision (kreatywność, fantazja) Złotą Nitkę otrzymała Beata J. Kuklińska za kolekcję inspirowaną rzeźbami Henry’ego Moore’a – jasno- i ciemnoszare suknie o bardzo ciekawych minimalistycznych formach plus świetne drewniane sandaalki. Wyróżnienie otrzymała też Magdalena Buchałow (kolekcja „Oshine”) – ciekawe, białe i obłe formy przemysłnie pikowane, aplikowane, przesywane (na zdjęciu).

Oprócz Vaidy Januskaite, która jest z Wilna (konkurs zaczyna być międzynarodowy), wszystkie pozostałe laureatki są absolwentkami ASP im. Strzebińskiego w Łodzi.

Zaraz potem odbył się drugi konkurs, trudny i żmudny – „Projektant Roku 2000” – dla profesjonalnych projektantów mody przemysłowej. Pierwszą nagrodę otrzymała Żaneta Górską-Biernat (łódzka ASP) z firmy „Cora New”, za bardzo życiową, ale zarazem modną kolekcję.

Każdy z tych konkursów jest zupełnie inny. Pierwszy to nitka rzeczywiście złota, skrzy się pomysłami, fantazją i jest przeglądem rozwiniętych skrzydeł młodych zdolnych. Drugi to nitka już mniej barwna. Pokazuje prozę życia i to, co zostało ze skrzydełek nieco poprzycinanych przez życie.

Adam Wiedemann
Dziennik „duszy” (15)

24.04.01

Idziemy metrem, Tadzio opowiada o swoich przygodach w metrze. Przykładowa przygoda: wsiada pani, wyciąga z reklamówki świeżo kupioną książkę i natychmiast, z zapartym tchem zaczyna ją czytać. Na następnym przystanku chłopak, też wsiada i też wyciąga i też czyta, ale ciężko wzdychając i z oznakami wyraźnej niechęci. I teraz, mówi Tadzio, zgadnij, co czytała pani, a co ten chłopak.

25.04.01

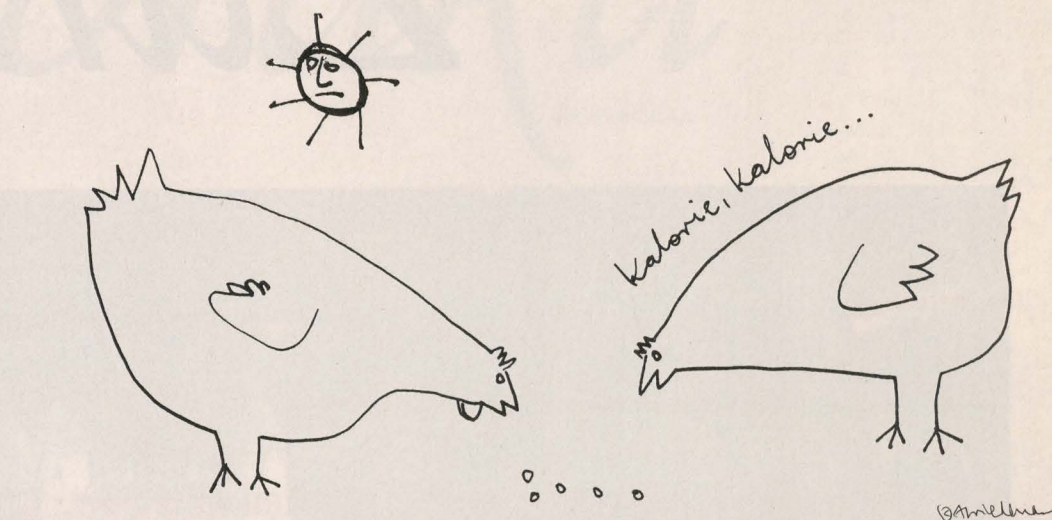
Przyjechał Mariusz Grzebalski na swój wieczorek w Domu Norymberskim, opowiada o innym, zbiorowym wieczorku, który odbył się niedawno w Poznaniu. Poeci czytali i wszystko szło normalnym trybem aż do momentu, w którym zaczął czytać Maciek Melecki. Gdy bowiem Maciek zaczął czytać, z widowni podniósł się pies, wielki pies owczarek, podniósł się, podszedł do Maćka i przez cały czas czytania siedział wpatrzony w niego i uważnie słuchał. Mariusz podkreśla kilkakrotnie, że pies był bardzo wielki.

26.04.01

Jestem chory i wszyscy mają do mnie o to pretensje, chcieliby, żebym do nich przyjechał, przyszedł, zadzwonił, a ja nie, wołę jak ta myszka w kąciuku i z wyłączoną komórką posiedzieć i swoje odcierpieć. Pani czytała „Labirynt nad morzem”, a chłopak „Barbarzyńcę w ogrodzie”.

29.04.01

W antykwariacie natrafiam na „Dziennik duszy” Jana XXIII; nigdy przedtem nie miałem tego dzieła w ręku, trudno się zatem dziwić, że poddałem je natychmiast łapczywemu kartkowaniu. Pobieźna lektura



podniosła mnie trochę na duchu: dziennik papieża jest prawie tak samo nudny jak mój i też występują tam liczni jego znajomi, o których mało kto dziś pamięta.

30.04.01

Wieczorem specjalnie przejechałem pół Krakowa, żeby z Olą i Baranami obejrzeć nowy program telewizyjny, pomyślany jako polska odpowiedź na słynny niemiecki „Kwartet literacki”. Już sam tytuł programu („Dobre książki”) zdaje się być polickim wymierzonym temu brzydalowi Raniczkiemu (ty sobie gadaj, co chcesz, a polskie książki są i będą dobre), co jednak za dyskusja może wynikać między osobami zgadzającymi się co do tego, że omawiane przez nich książki dobre są i basta?, zastanawiam się, i nie bez kozery, bo zgromadzone w dziwacznej scenografii trzy osoby udają tylko, przed nami i przed sobą, że fajnie im się rozmawia o tych książkach, a tak naprawdę to wygłaszają przygotowane w domu referaty, które już nawet ich samych przyprawiają o stłumione ziewnięcia. Ciekawa rzecz, że ten wiecznie warcholący się naród polski nie jest w stanie wyłonić z siebie trzech osób zdolnych pokłócić się o taką czy inną książkę. Takie kończą-

ce się natychmiastową kłapą programy kulturalne to już w naszej telewizji normalka, tylko czekać, aż „Dobre książki” zostaną zdjęte i zastąpione przez „Książki najlepsze”, a te z kolei przez „Arcydzieła tygodnia” itd.; Baran niby to się wyśmiewa, a tak naprawdę włosy sobie z głowy rwie, bo on wierzy w programy kulturalne i tylko podejrzewa wszędzie jakieś spiski albo sabotaże; mnie się wydaje, że program kulturalny w kształcie, w jakim go znamy i rozpoznajemy, to już niestety gruby anachronizm, z którego pora nareszcie całkiem zrezygnować (albo zacząć korzystać z doświadczeń programów niekulturalnych i kazać np. naturszczykom odgrywać fragmenty omawianych książek jak w policyjnym „997”, być może widz się nie zorientuje i chwilę poogląda). Zresztą telewizja zawsze nienawidziła literatury, bo przecież książka odciąga człowieka od telewizora.

2.05.01

Jadę pociągiem i czytam w maszynopisie nową książkę Adasia Pluszki, Adaś się niesamowicie wyrobił, jest jak na razie jedynym ze startujących w tym stuleciu poetów, który pisze wyłącznie własne wiersze. W Katowicach dosiada się do mojego prze-

działu kobieta w sile wieku, przystojna, wyciąga z reklamówki świeżo kupioną książkę i zaczyna łapczywie czytać. Po kilkudziesięciu minutach jazdy zwraca się do mnie:

– To jak to, panie, z tym Mickiewiczem tak naprawdę było? Bo jak tu piszą, że nie Żyd, to chyba Żyd, prawda?

– A nie pamięta pani, w którą stronę był wars? – pytam, żeby zmienić temat.



ADAM WIEDEMANN
Rocznik 1967. Poeta i prozaik, krytyk literacki i muzyczny, kompozytor i malarz. Autor książek poetyckich i prozatorskich. Laureat Nagrody Kościelskich, dwukrotnie nominowany do nagrody NIKE. Ostatnio często jeździ na stypendia.

Zamek na bruku

BOGNA BALICKA



OCHRONA DÓBR KULTURY

„Od 1 stycznia 1999 r. ochronę dóbr kultury sprawują: minister ds. kultury, generalny konserwator zabytków oraz wojewodowie przy pomocy wojewódzkich konserwatorów zabytków (Dz. U. nr 106, w związku z reformą ustrojową państwa).

„Bez zezwolenia wojewódzkiego konserwatora zabytków nie wolno przerabiać, odnawiać, rekonstruować, konserwować, zabudowywać, odbudowywać, zdobić, uzupełniać, rozkopywać ani dokonywać żadnych innych zmian, przemieszczać zabytków nieruchomych z naruszeniem skomponowanego lub ustalonego tradycją układu terenowego” (art. 27.1 i 2 ustawy o kulturze).

Podobno zamek Książ koło Wałbrzycha mógłby się sam utrzymać. Tymczasem, gdy mówi się o tej wspaniałej budowli, słychać słowa „afery”, „oszustwo”, „korupcja”.

Telewizja pokazała 8 maja niepełnie ubraną starszą panią, która przyglądała się, jak policja pakowała jej rzeczy i eksmitowała ją na bruk. Tak z zamku w Książu wyrzuciono Jennifer Pejcinović, obywatelkę Wielkiej Brytanii i jej współpracownika, który z nią mieszkał, Grzegorza Kowalczyka.

Pejcinović mieszkała w zamku trzy lata. Był jej mieszkaniem i zarazem siedzibą firmy Heritage. Marek Szeles z Urzędu Miejskiego w Wałbrzychu mówi, że nie miała prawa tam mieszkać i zameldowano ją pomyłkowo. To dość humorystyczne tłumaczenie, zwłaszcza że w Wałbrzychu opowiada się, kto z urzędników wziął w łapę od Pejcinović.

Umowa z jej firmą miała być dla Wałbrzycha „kontraktem stulecia”, który przyniesie miastu kokosy. Pejcinović obiecywała nie tylko zadbać o stronę muzealną, ale przygotować 200 luksusowych apartamentów hotelowych. Nie zrobiła nic. Obiekt ulegał dewastacji, na ogół wszystko było „nieczynne” lub „wstęp zabroniony”. Do zwiedzania tylko jedna

komnata z oryginalnym historycznym wyposażeniem. Wejście do lochów wybudowanych dla Hitlera, które było jedną z atrakcji turystycznych w stylu Wołoszańskiego, zostało zamknięte na amen.

Na koniec zeszłego roku pani Pejcinović wypowiedziano umowę, ale ona nie zamierzała obiektu opuścić. Po pięciu miesiącach utarczek słownych i pogroźek została wyrzucona.

Feralna umowa

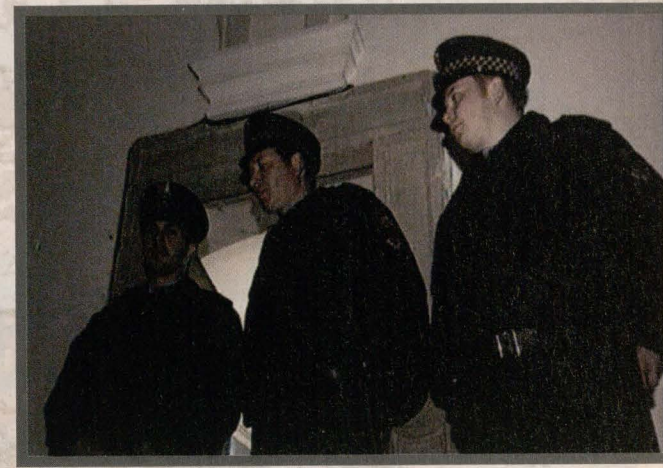
Kim jest pani Pejcinović, nie wiadomo. Wiadomo tylko, że reprezentuje w Polsce małą firmę turystyczną Heritage, a ta z kolei reprezentuje inną mało znaną szkocką firmę Castle Książ Title Limited.

Jak to się stało, że nieznanie fachowcom firmy za niewielkie pieniądze przejęły jeden z najpiękniejszych zabytków w Polsce?

To pozostanie tajemnicą władz Wałbrzycha, które umowy z Pejcinović et consortes podpisywały. Prezydent i wiceprezydenci, którzy w maju przed trzema laty dokonali tego „dzieła”, otrzymali nagrody ministerialne. Jeszcze na koniec zeszłego



Eksmisja Grzegorza Kowalczyka i Jennifer Pejcinović z zamku w Książu



roku roczne nagrody przyznali im radni. Tymczasem pół roku po podpisaniu umowy zainteresował się nią UOP i prokuratura wrocławska.

Nikogo nie ukarano

W zeszłym roku do Urzędu Miasta Wałbrzycha wkroczyła NIK. Wnioski pokontrolne, jak dowiedzieliśmy się nieoficjalnie, są druzgocące. Władze miasta zostały zmienione. Z początkiem roku odszedł wiceprezydent Włodzimierz Gawroński, który podobno był lokomotywą napędową związku Książa z Brytyjczykami. Nie zraziło go to, co widział w czasie wizyty w Wielkiej Brytanii – jak opowiada jeden z członków tamtej delegacji. A widział pałac pani Pejcinović w ruinie. Musiał wiedzieć o tym, co niedawno ujawnili prokuratorzy.

W sprawie umowy zwrócili się oni do brytyjskich kolegów-prawników. Ci odpowiedzieli, że spora część umowy spisana jest zgodnie z prawem wyspy Man. Ta wyspa znana jest nie tylko z rasy bezogonowych kotów, ale także tzw. rajy podatkowej,

który skupia liczne aferalne spółki z całego świata.

O umowie dzierżawy dyskutowano mało, bo mało o niej wiedzano. Oryginał widziało tylko kilka osób, a potem gdzieś zniknął. „Kontrakt stulecia” oddawał Brytyjczykom Książ na 30 lat za 60 mln zł. Do czasu eksmisji Pejcinović przekazała Wałbrzychowi niecałe pół tysiąca. W tym czasie nie tylko nie zaczęła w zamku prac, ale nawet nie zwróciła się do konserwatorów o stosowne zezwolenia.

Za tak sporządzoną umowę urzędnicy nie ponieśli konsekwencji, ale miasto straciło nie tylko czas, lecz i pieniądze. W dokumencie nie przewidziano odszkodowania dla Wałbrzycha za niewywiązanie się z obietnic ze strony brytyjskiej. Nie ma zapisów o sankcjach finansowych, o karnych odsetkach, nie można prawnie zmusić firmy do zwrotu utraconych korzyści.

Natomiast pani Pejcinović może się domagać odszkodowania i z pewnością będzie o nie walczyć. Zamek, jako przedmiot sporu sądowego, nie może w tym czasie

poddać się nowej dzierżawie poważniejszych osób. A takie osoby i firmy już pojawiły się na horyzoncie: szkocki bankier i znana światowa sieć hoteli.

Zakusy na rozbięcie

– Nie chcielibyśmy, aby zamek zmienił właściciela – mówi konserwator z Wałbrzycha, Ewa Kieres. – Wciąż dopuszczamy tylko formę dzierżawy. Nie chcemy też zmiany jego funkcji na inną niż turystyczna, z muzeum, wystawami i hotelami. Z utrzymaniem zamku mamy nie tylko problem finansowy, ale i administracyjny. Własność gminna to zamek i teren w jego pobliżu. Zabytkowy park to własność nadleśnictwa. I właśnie nadleśnictwo próbowało niedawno z kompleksu parkowo-pałacowego wydzielić dwie działki, gdzie mieszkają pracownicy leśni.

O postępującym rozbięciu kompleksu mówi też Barbara Nowak-Obelinda z Wojewódzkiego Oddziału Służby Ochrony Zabytków we Wrocławiu (delegatura w Wałbrzychu).

– Nadleśnictwo wywiera na nas presję, aby sprzedać im budynki bramne i kordegardy, które znajdują się na skraju parku w Świebodzicach. Nigdy się na to nie zgodzimy. Trudno nam też przyjąć do wiadomości, że zwiększa się liczba spółek, które chcą w zamku prowadzić hotele i restauracje. Przy zwiększającej się liczbie udziałowców, zmniejsza się odpowiedzialność.

Garnuszek mały, apartamenty duże

Konserwatorzy zabytków ubolewają, że choć mają do dyspozycji poważny oręż prawny, to jeśli sprawy związane z dewastacją lub sprzedażą zabytków trafią do sądu, skończą się wyrokami na niekorzyść zabytków: „mała szkodliwość czynu”.

Jak się ma do tego ustawa o ochronie dóbr kultury? Każda decyzja związana z zabytkiem musi być uzgodniona z wojewódzkim konserwatorem zabytków. Mowa tu nie tylko o rzeczach kardynalnych, jak sprzedaż (którą uzgadnia się nawet z Ministerstwem Kultury) czy pełnione funkcje (wystawiennicza, muzealna, hotelowa, biurowa, mieszkalna), ale także np. usunięciu wiatrołomów.

Problem Książa, jak wielu podobnych dużych zabytków, polega też na finansach. Samorządy nie zdołają utrzymać takich kolosów. Skarb państwa – gdyby wziął je wszystkie na własny garnuszek – też by tego nie wytrzymał.

– Wysyłamy systematycznie kosztorysy, komisja przy konserwatorze generalnym je ocenia i przyznaje (lub nie) finansę – mówi Barbara Nowak-Obelinda. – Na prace remontowe w zeszłym roku otrzymaliśmy pieniądze z rządowych środków interwencyjnych. Urząd Rady Ministrów ze środków powodziowych pomaga nam

remontować zamkowy mur oporowy od strony zwierzyńca. W tym roku z tych samych środków chcemy otrzymać pomoc na uszczelnienie tarasów. Remont murów oporowych jest niezwykle ważny. One trzymają konstrukcję skarpy z zamkiem. Osłabienie konstrukcji spowoduje pęknięcie murów i to będzie większy problem niż aferalne umowy. Inna sprawa to kamieniarka: rzeźby i portal. Na remont portalu otrzymaliśmy 25 tys. zł. Ta suma obrazuje koszty utrzymania najmniejszej nawet części zabytku.

Zbigniew Wojcieszak, prezes spółki miejskiej „Zamek Książ”, patrzy w przyszłość bardziej optymistycznie.

– Zamek mógłby się sam utrzymać – mówi. – Stałoby się tak, gdybyśmy usunęli dwie przeszkody. Pierwsza – to wykonanie podstawowych zabezpieczeń konserwatorskich. Druga – to polepszenie ilości i jakości bazy turystycznej. Szukamy bogatego dzierżawcy. Chciałbym zachęcić turystów do odwiedzania zamku. Każdy kupiony bilet pomaga nam wychodzić z kłopotów. W normalnym sezonie, a nie jest to szczyt moich marzeń, na biletach, imprezach i wynajmie sal zarabiamy 800–900 tys. zł. Moglibyśmy zarobić znacznie więcej, bo mamy dobre zaplecze kuchenne, nawet na kilkutygodniowe imprezy. Problem jest z miejscami noclegowymi. Miała je zapewnić pani Pejcinović.

– 200 apartamentów, które przyrzekła udostępnić turystom, miało się znajdować na trzecim, czwartym i piątym piętrze zamku – mówi Wojcieszak. – Hotel to świetny pomysł na te piętra, ale media (i to w marnym stanie) podłączone są tylko do trzeciego piętra. Wyżej nie ma prądu, wody i kanalizacji. Nie ma nawet parkietów, a każde piętro liczy 1500 mkw.

Wojcieszak próbuje też pomagać konserwatorom. Jego pracownicy porządkują budynki bramne i strażnice. Przed nimi gigantyczna robota na dziedzińcu honorowym, gdzie zapada się ziemia. Niemcy, kiedy rękami więźniów budowali w Książu kwatery dla Hitlera, wykopali na dziedzińcu szyb windy o głębokości 51 m i średnicy 18 m. Teraz ziemia połączona z odpadkami zaczyna się osuwać. – Trzeba to wszystko odkopać do skały, jakieś 15 m w dół, zrobić betonowe fundamenty i trwale zabezpieczyć.

Właściciel do ustalenia

Los zabytkowych kolosów jak Książ spoczywa również w rękach posłów z sejmowej komisji kultury. Przy rozbieżności opinii, nie jest to los wesoły.

Aleksandra Jakubowska z SLD uważa, że obiektami stanowiącymi chlubę naszego narodu powinno opiekować się ministerstwo albo służyć znaczącej pomocą finansową.

– Myślimy o ulgach podatkowych dla mecenasów, podobnych jak w innych europejskich krajach – dodaje.

Tomasz Wełnicki (AWS) mówi zaś, że zabytki są związane z lokalną historią i powinny je utrzymywać samorządy i społeczności lokalne. Najlepszym opiekunem, według niego, byłby właściciel prywatny.

BOGNA BALICKA

ZAMEK W PIGUŁCE

Książański zamek powstał w średniowieczu, jako element fortyfikacji wojennych. W XV w. stał się własnością braci Schellendorf, rabujących przejezdnych kupców i miejscowych mieszczan. Od 1509 r. zamieszkała tu niemiecka rodzina pochodząca z Miśni, Hochbergowie von Pless. Nadali sobie

W XIX w. powstały słynne stajnie i stadnina. Przed II wojną światową Hochbergowie, zdecydowani antyfaszyści, musieli wyemigrować do Anglii. Zamek skonfiskowało SS i urządzono tu jedną z kwater sztabowych Hitlera. Specjalne tajne roboty nadzorowała zbrodnicza organizacja Todt. Wykonywali je więźniowie z obozów koncentracyjnych.

Książ to trzeci co do wielkości zamek w Polsce. Otacza go piękny angielski park, część Książańskiego Parku Krajobrazowego (z labiryntami tarasowymi). Obiekt ma kubaturę około 180 tys. m sześć. Z 400 komnat turystom udostępniano do niedawna tylko kilkadziesiąt: m.in. Salon Zielony, Salon Białe, Salon Błękitny i Chiński. Przede wszystkim zaś barokową, dwukondygnacyjną salę Maksymiliana. Dziś i one bywają zamknięte.



FOT. PIOTR HAWALEC

tytuł Wolnych Panów na Książu. Dbali o zamek, zwłaszcza w okresie baroku. Na widocznym z zamku szczycie zbudowali malowniczą ruinę.



Podobnej afery jeszcze w polskiej piłce nie było. Pod koniec każdego sezonu zdarzały się na boiskach cuda, ale nie aż takie.

JERZY CIERPIATKA, WIESŁAW KRAJ

Futbolowa Liga Oszustów

Główny pretendent do mistrzowskiego tytułu, krakowska Wisła, próbowała kupić remis od piłkarzy Amiki z Wronek. Bomba wybuchła kilkadziesiąt godzin po meczu, kiedy swe rewelacje opublikował na łamach „Przeglądu Sportowego” i „Tempa” (to w gruncie rzeczy jedna gazeta...) Janusz Atlas. Napisał, że we Wronkach piłkarze Wisły poszli do piłkarzy Amiki, oferując ćwierć miliona złotych za zgodę na wynik remisowy, który krakowianom zagwarantuje mistrzostwo na dwie kolejki przed finałem ligi. Bramkarz Wisły, Maciej Szczęsny, przed kamerami Canal+ rewelacje Atlas podsumował mniej więcej tak:

– Pomysł o proponowanym układzie we Wronkach mógł urodzić się w głowie dziennikarza, który ma głowę jak globus. I kumpłował się z bandytą, z którym tylko śmierć go rozłączyła.

W poniedziałek, 28 maja, kierownictwo Amiki w oficjalnym piśmie do PZPN kategorycznie zaprzeczyło próbie przekupstwa. Prezes Listkiewicz ocenił, że jak zwykle z dużej chmury spadł mały deszcz. Równocześnie zapowiedział drastyczne kary w każdym przypadku, w którym znajdują się dowody przestępstwa. Dzień później wiceprezes PZPN, Zbigniew Boniek, w przeciwieństwie do Listkiewicza, opowiedział się za kara-

niem na podstawie nie dowodów, a podejrzeń. – Dlaczego więc związek nie zastosował środków represji? – padło pytanie. – Nie jestem w Związku sam, przecież mamy demokrację – wygodnie zasłonił się prominent, jakże elegancko wskazując palcem na innych związkowych bonzów.

Wcześniej minister sprawiedliwości, Lech Kaczyński, obiecał, że medialnymi doniesieniami o sprzedawaniu meczów w ekstraklasie zajmą się prokuratorzy.

Przeegrali, czyli sprzedali

Środa 23 maja w ogóle była dniem cudów. W lidze padły wyniki, które zdumiały nawet prezesa Polskiego Związku Piłki Nożnej Michała Listkiewicza. Jeszcze przed meczem z Legią jeden z piłkarzy płockiego Orłenu był absolutnie pewien, że kandydat do mistrzowskiego tytułu zostanie w Płocku zastopowany. I rzeczywiście. Jasnowidz się nie pomylił i na domiar wszystkiego zdobył jedyną bramkę meczu. W Wodzisławiu zupełnie pozbawieni motywacji piłkarze (choć i przed, i po spotkaniu z Odrą wciąż mogący zostać mistrzami kraju...) szczecińskiej Pogoni przespacerowali mecz, ponosząc klęskę 0:4. Może dlatego, że los wodzisławian w lidze może zależeć od liczby bramek?

Parę meczów odbyło się normalnie, bo musiało. Na przykład

pojedynek Śląska z Ruchem Radzionków. Obie drużyny zagrożone spadkiem nie miały co liczyć na cuda. Z tego samego powodu gra olsztyńskiego Stomilu z łódzkim Widzewem sprawiała wrażenie normalnej. W innych meczach zabrakło stawki.

Zawodową przenikliwością popisali się natomiast warszawscy bukmacherzy. Przekonani o zмовie Polonii z Górnikiem (zabrzenie przegrywają z warszawiakami w finale Pucharu Polski, a Polonia rewanżuje się tym samym w I lidze, bo Górnikowi grozi spadek) odmówili przyjmowania zakładów na mecze tych drużyn. I mieli rację!

Ciuciubabka zaczęła się jednak wcześniej. W kwietniowym meczu Górnika Zabrze z Ruchem Radzionków było jak w starym dowcipie z kabaretu „Pod Egidą” Jana Pietrzaka. Zabranie nosili majtki Górnika, a dla Ruchu grali... Potem w Krakowie był remis Wisły ze Śląskiem Wrocław, a jeszcze potem przegrana ze słabiutkim Orlenem Płock. Media zrobiły się podejrzliwe, a publika zaczęła puszczać perskie oko. Niektórzy podejrzewali, że trener wrocławian, Janusz Wójcik, dogadał się z kolegami z Krakowa, a gracze z Płocka oddali Wiślakom swą dwustutysięczną premię. Mecz Śląska w Lubinie z Zagłębiem też był przedziwny. Do przerwy pro-

wadzili gospodarze po to, aby w drugiej połowie stracić 3 gole. Zawieszono trzech piłkarzy, jednego zwolniono, do dymisji podał się trener.

Żalną kolejkę spuentowała postawa piłkarzy Wisły na boisku we Wronkach, niezależnie od posądzeń o próbę przekupstwa. Swoją drogą, byłaby to przedziwna logika. Najpierw Wiślaczy sprzedawali mecze, by kupować remis? Ale w końcu milion dolarów premii za tytuł mistrzowski musiał pobudzić ich wyobraźnię – uważają dociekliwi. Ten milion to jedna z niezliczonych kwot podanych do publicznej wiadomości w ligowym światku. Reszta jest milczeniem. Tajemnicą pozostają np. wysokości kontraktów niemal wszystkich graczy ekstraklasowych. Ciekawe, że pod tym względem jakoś nikt nie ma ochoty równania do Europy. Tam sprawy finansowe od dawna są odtajnione, a mimo to futbolowy świat wcale się nie zawałił.

Pokażcie dowody

Tylko naiwni sądzą, że diabeł miesza w piłce dopiero za demokracji. Starsi kibice o sercach w biało-czerwone pasy wciąż pamiętają jesień 1959 r., kiedy szczecińska Pogoń wygrała 4:0 w Warszawie z Legią, a spadła... Cracovia. Dziewięć lat później, dzięki... Pogoni, która pograżyła

w Łodzi pewny swego ŁKS, cudem uratowała się Wisła. I wreszcie rok 1993. Legia deklaruje w Krakowie Wisłę 6:0, a ŁKS pod własnym murem rozstrzeliwuje drugoligową już Olimpię Poznań 7:1. Jak w tej sytuacji działa PZPN? Zamiast – jak to zrobiono we Francji z Olympique Marsylia i we Włoszech z AC Milan – natychmiast wyrzucić szemrane towarzystwo, przyznaje mistrzowski tytuł Lechowi (jakby poznaniacy też nie kupowali meczów). „Pokażcie dowody!” – dramatycznie żąda nieugięty orędownik przestrzegania reguł fair play i walki z dopingiem wśród piłkarzy, ówczesny trener Legii, Janusz Wójcik. „Gdzie my żyjemy, w stalinowskiej Rosji? Nam nie potrzeba prokuratora Wyszyńskiego!” – grzmiała „Piłka Nożna”, której sekundował „Przeгляд Sportowy”.

Rok później cała Polska oglądała jawną hecę na stadionie przy Łazienkowskiej. Arbiter, Sławomir Redziński, wyrzucił z boiska trzech graczy Górnika. Legia z ósemką z Zabrza zremisowała 1:1 w decydującym meczu spługawionego do cna sezonu. Związek wydał spóźniony komunikat, który na decyzjach Redzińskiego przybił urzędową pieczęć. Sędzia zaś niezwłocz-

nie zakończył karierę. Koniec, kropka.

Mylą się rzadko

Prezes Michał Listkiewicz uważa, że sędziowie polscy mylą się rzadko... Ale jak się pomyła, to kibic zaraz wie, co jest grane i za ile. Ostatnio sześciu sędziów dostało przymusowe urlopy. Powinni wypocząć, bo się zmęczyli ciężką robotą, którą inni nazywają przekrętami; towarzyszy im pięciu obserwatorów z ramienia związku. Jeden z sędziów, pan Nowak z Katowic, nie podyktował trzech oczywistych karnych w meczu Pogoni z Groclinem. Teraz musi zdać egzamin komisyjny. Nawet Ryszard Wójcik, arbiter międzynarodowy, miał kłopoty ze wzrokiem i został najpierw urlopowany na dłużej, ale niespodzianie skrócono mu wypoczynek.

Co na to trenerzy? Pierwszego maja lista zwolnionych z pracy w klubach trenerów osiągnęła magiczną liczbę 21. Pokażcie drugi kraj na świecie, gdzie szkoleniowców zmienia się jak rękawiczki. W Legii nie miał pojęcia o robocie Franciszek Smuda. Spekuluje się, że może wróci do Wisły, bo raz się już w niej sprawdził. A przecież pod Wawelem jeszcze nie rozwikłano zagadki, czy Orest Lenczyk jest kompetentnym szkoleniowcem, czy frajerem, na dodatek gburowatym.

Pogoń szczyła się tureckim dobrodziejem Sabri Bekdasem i Edwardem Lorensem na trenerkiej ławce. Owocem tej współpracy miał być prymat Szczecina w krajowej piłce. Z Amiki Wronki pogoniono Stefana Majewskiego, choć jego pensja (ponoć 50 tys. zł miesięcznie) raczej wskazywała na docenienie warsztatu tego szkoleniowca. W Orleniu Płock po kilku miesiącach „przewrócił się” Dariusz Wdowczyk, który w ubiegłym sezonie ze stołeczną Polonią zdobył mistrzostwo.

Zabrze okazało się miejscem porażki takiego trenera jak Antoni Piechniczek. Podobno miał skrajnie odmienny od prezesa Płaskonia pogląd na bardzo podejrzaną moralnie porażkę Górnika z Ruchem Radzionków.

Fair play i bon ton

Poprzedniemu prezesowi związku, Marianowi Dziurówowi, zarzucano przekręty, lewe umowy z firmami produkującymi sprzęt sportowy itp. Odszedł w atmosferze skandalu, przy dużej pomocy ministra sportu, nieżyjącego już Jacka Dębskiego. Teraz wiemy, że walka o sukcesję w PZPN miała drugie dno. Ale spuścimy na to zasłonę milczenia...

Nowe władze PZPN obiecywały odnowę, fair play, bon ton i in-

ne takie. Skutek? Mając statutowy obowiązek propagowania sportu, sprzedały prawa do transmisji meczów piłkarskich telewizyjnej stacji kodowanej. W telewizji publicznej nie można było zobaczyć nawet sekundowych wstawek z meczów ligowych. Poprawiło się od 20 maja – TVP pokazuje teraz kibicom, choć dopiero w niedzielny wieczór, gole z ligowych boisk. Prezes Listkiewicz obiecuje reformę ligi, systemu rozgrywek, walkę z korupcją. Dotychczasowe efekty nie wróżą dobrze tym planom, a ligowa piłka toczy się donikąd.

„Biała Gwiazda” – tracąc honor i zaufanie – zachowa skórę. Co niekoniecznie musi się wiązać z zachowaniem niektórych posad. W strefie spadkowej liczyć się będą nie tyle umiejętności, ile kasa plus koneksje. W najtrudniejszym położeniu są Orlen Płock i Ruch Radzionków; Górnik Zabrze ma barażową szansę (z trzecią drużyną drugiej ligi). Jeśli jednak zadziała metoda podwójnej przebitki, należy liczyć się z innym epilogiem rozgrywek. A wtedy Orlen ma szansę...

Miejmy nadzieję, że po zakończeniu sezonu za gruntownym oczyszczeniem stajni Augiasza opowie się cała futbolowa Polska.

JERZY CIERPIATKA,
WIESŁAW KRAJ



Przedwzrostowy mecz Zagłębia ze Śląskiem



Przychodzi „wiślak” do „amkarza” – sprzedaj pan remis



W Płocku jasnowidz... strzelił bramkę

Rzeczywistość w telewizji

Telewizji nie obchodzi rzeczywistość. Woli reality show i nowele dokumentalne.

Dziewczynka idzie wzdłuż muru getta, budowanego dla potrzeb filmu Polańskiego „Pianista”. Głos zza kadru: „Patrząc na ten mur, myślała, że wojna to straszna rzecz”.

Dziewczynka wchodzi do kamienicy. Odpadający tynk, stara poręcz, kapliczka na oknie klatki schodowej. Dziewczyna wchodzi do mieszkania.

Pokój z meblami i bezgłośnie grającym telewizorem. W pokoju kobieta i mężczyzna – rodzice dziewczynki.

Ojciec: – Pokaż dzienniczek.

Rodzice oglądają oceny córki.

Matka: – Poprawiłaś się.

Ojciec: – Ale jeszcze z matematyką...

Córka: – No, wiesz.

Ojciec: – Wiesz, że musisz się uczyć. To ważne dla twojej przyszłości.

Matka: – Twoi rodzice mają zawody piękne, ale teraz mało płatne. Tata być może straci pracę.

Córka: – Nic nie mówię.

Ojciec: – Jeszcze nie wiadomo, ale są redukcje.

Matka (łamiącym się ze wzruszenia głosem): – Wiesz, że pielęgniarki strajkowały. Mój zawód jest piękny, ale mało płatny.

Ojciec: – Musisz się uczyć, bo my już nie możemy ci pomóc.

Tak rozmawiają ze sobą ludzie w tzw. rzeczywistości wg polskiej publicznej telewizji.

Inna dziewczyna, córka znanej aktorki, prowadzi samochód, w którym jadą jej młodszy braciśzek i matka – przygotowuje się w ten sposób do egzaminu na prawo jazdy. Mam wrażenie, że w rzeczywistości to zdarzenie jest nieprawdopodobne. Ale pewnie się mylę.

Dwie inne panienki odwiedzają szefową stewardes na Okęciu i pytają o wymagania, jakie stawia się personelowi latającemu. Gdy usłyszały, że potrzebna jest znajomość języka angielskiego i wzrost 160–170, zmartwiły się, bo jedna ma 175 i do samolotu się nie zmieści, a druga zna niemiecki. Ta pierwsza jest przegrana, druga może jeszcze przez rok nauczyć się angielskiego – komentuje głos zza kadru.

Te i inne dziewczyny, brzydkie i ładne, z bogatych i biednych domów, łączy jedna pasja – rozciąganie ciała, bo to, jak mówiły wszystkie zgodnie, jest najtrudniejsze. Dziewczęta występują w zespole czirliderek, po angielsku cheerleaders. Ich zadanie polega na rozbawianiu publiczności na zawodach sportowych tańcem, gimnastycznymi podskokami i wymachiwaniem pomponami. To nowy styl życia młodych niewiast w Polsce.

O takich rzeczywistych zdarzeniach i realnych bohaterach opowiada nowela dokumentalna „Czirliderek”, emitowana przez program pierwszy polskiej telewizji w niedzielę, po filmie fabularnym, czyli

w doskonałym czasie nadawania. Sądzę, że „Czirliderek” powstały z inspiracji guru polskiej psychologii pana Jacka Santorskiego, który przyszłość telewizji upatruje w reality show i nowelach dokumentalnych. Widzowie, zdaniem Santorskiego, uwielbiają podglądać życie innych zwykłych ludzi. Nie potrzebują fabuły, inscenizacji, gry aktorskiej. Sensów, konstrukcji dramaturgicznej, pointy. Niestety, twórcy „Czirliderek” nie do końca zawieźli Santorskiemu. Asekurancko zainscenizowali zdarzenia, dopisali dialogi. Jednym słowem, poprawili życie. Nie ma podglądactwa. Można tylko umrzeć z nudów. Można skonać ze śmiechu. Można utracić wiarę i nadzieję. Można oczywiście



wyłączyć telewizor. Namawiam twórców „Czirliderek”

do bardziej odważnych działań. Idźcie śmiało w stronę telewizji przyszłości. Proponuję zainstalować kamery w gabinetach dyrektorów publicznej telewizji i przez trzydzieści minut w niedzielę po filmie nadawać skrót z wydarzeń pt. „Dyrektorzy”. Byłoby to zgrabne nawiązanie do historii polskiej telewizji (serial z lat 70., który cieszył się ogromnym powodzeniem). Telenowela dokumentalna o telewizji to jest to. Takie dzieło można emitować do czasu, aż telewizor w gabinecie prezesa zgaśnie, bo ludzie przestaną płacić abonament. Tak jak telewizor z opowieści Hanki Bielickiej, która reklamuje konkurs dla abonentów i twierdzi, że jej telewizor zgasł, bo nie zapłaciła za abonament.

A może pani nie zapłaciła za prąd, pani Hanko? Ale kogo obchodzi rzeczywistość w telewizji?!

WŁAJERKA

UCHEM

BOGUSŁAW WOŁOSZAŃSKI od połowy lutego realizuje swój program „Sensacje XX wieku” w Radiu Zet. Jednocześnie wahają się jego losy w TVP.

Mam dosyć głupoty

Co skłoniło pana do realizacji „Sensacji XX wieku” w radiu?

Radio dało mi możliwość podjęcia tematów, których w telewizji nie można realizować. Przykład – w 1975 roku uprowadzono przez Czerwonych Khmerów statek Mayaguez. Do tego tematu nie ma żadnych zdjęć filmowych, a więc

dla telewizji tego programu zrobić nie można. Rekonstrukcja z przyzwoitych źródeł jest także niemożliwa. Niektóre filmy archiwalne są dostępne, ale ceny nie pozwalają na ich zakup. Minuta takiego dokumentu kosztuje około 3 tys. złotych. Po drugie, radio to inna forma wyrazu, która mnie

bardzo pociąga – operowanie tylko słowem.

Dlaczego Radio Zet?

To była propozycja prezesa Kozyry, a ponieważ myślałem o tym od dawna, więc z radością ją przyjąłem.

Dla którego medium realizacja jest trudniejsza?

Bez wątpienia dla telewizji. Nasz zespół radiowy liczy wraz ze mną cztery osoby plus aktorów. Natomiast cała ekipa telewizyjna to czasem 30 osób. Nagranie radiowe trwa około półtorej godziny, a realizacja 30-minutowego programu telewizyjnego to 3, 4 dni, niekiedy dłużej, a przygotowania trwają do trzech miesięcy.

Dlaczego rezygnuje pan z realizacją programów dla telewizji publicznej?

Z Redakcją Edukacyjną TVP mam problemy od lat. Teraz doszło już do tego, że musiałem zrezygnować z realizacji następnych programów. Stało się tak na skutek odrzucenia projektów pod absurdalnym pretekstem. Chodziło m.in. o programy na temat radzieckiej bomby wodorowej. Tego nigdy nikt nie poruszał, gdyż sprawa zaczyna wychodzić na jaw dopiero w ciągu ostatnich dwóch lat. Uży-

skaniem dostęp do miasteczka Sarow, które było utajnione i wówczas nazywało się Arzamas-16. Projekt odrzucono, argumentując, że w ciągu siedmiu lat było już 12 programów na ten temat. Pod każdym względem jest to absurd. Ponieważ nie był to pierwszy przypadek, musiałem powiedzieć dość. Mam dosyć odpisywania na głupie pisma, nie brak mi ważniejszych i ciekawszych spraw niż walka z urzędnikami.

Czy w związku z tym nie myślał pan o realizacji swojego programu w telewizji prywatnej?

Nie. Zrezygnowałem z programów, protestując wobec głupoty, i walka wciąż trwa. Jeżeli przeniósłbym się do innej telewizji, to oznaczałoby, że głupocie udało się mnie wygnać z TVP, a to byłby dyshonor.

Czy ma pan zamiar wykorzystać inne medium, np. Internet?

Dotychczas realizował pan dla telewizji i radia, wydał kilka książek i jeden multimedialny program komputerowy.

Program komputerowy był niestety niezbyt udany. Niemniej „Sensacje XX wieku” są w jakimś sensie programem multimedialnym.

Oprócz radia, telewizji i książek, w Internecie działa „Klub sensacji XX wieku”. Są tam także dostępne programy radiowe. Ukazuje się również pismo pod tytułem „Stulecie tajemnic” jako dodatek do miesięcznika „Sukces”.

Jakie nowe tematy chce pan podjąć?

To dwa kierunki. Pierwszy – nazwijmy go „międzynarodowy” – dopiero teraz daje możliwość opisanie niektórych wydarzeń za sprawą dostępu do pewnych informacji i miejsc dotąd utajnionych. Są to fascynujące tematy, np. o „bitwie” o Berlin w latach 1959–61, która skończyła się budową muru. Notabene ten temat w TVP też został odrzucony. Drugi kierunek to nasza historia, która wymaga rekonstrukcji. Brak materiałów filmowych, miejsc i przedmiotów autentycznych – bo historia była dla nas okrutna, można więc tylko o niej mówić lub ją rekonstruować. Ja wybrałem tę drugą możliwość i bardzo chciałbym zrobić temat, który mi uniemożliwiono w ubiegłym roku, a mianowicie wojnę polsko-bolszewicką ze szczególnym uwzględnieniem bitwy warszawskiej.

Jak dociera pan do materiałów? Przecież niejednokrotnie są to materiały sensacyjne.

Są to rezultaty 20 lat poszukiwań i zbierania. Ponadto korzystam z muzeów, archiwów, np. Archiwum Instytutu Sikorskiego w Londynie czy Instytutu Piłsudskiego oraz spotkań z ludźmi. Współpracuję z korespondentami w wielu krajach, słowem – źródła są różne.

Odkąd oglądam pana programy, nurtuje mnie pytanie o stosunek zawodowych historyków do pana?

Nigdy nie spotkałem się z poważniejszym zarzutem, a środowisko jest wyjątkowo wyczulone. Gdyby cokolwiek znaleźli, na pewno zostałyby to nagłośnione.

**Rozmawiał
ŁUKASZ DZIATKIEWICZ**

„Sensacje XX wieku” były nadawane w TVP od września 1983 r. Z ostatnich informacji wynika, że program pozostanie jednak na telewizyjnej antenie, zyska większą autonomię i nie będzie już podlegał Redakcji Edukacyjnej, tylko bezpośrednio dyrektorowi TVP 1.



PILOT

PRZEJĘCIE WIRTUALNEJ

Telekomunikacja Polska inwestuje w Internet. Poprzez objęcie nowej emisji oraz nabycie wyemitowanych już papierów wartościowych zamierza uzyskać większościowy udział w portalu Wirtualna Polska (50 proc. kapitału zakładowego + jedna akcja). TP SA zamierza także uzyskać kontrolę nad zarządem i radą nadzorczą portalu. Do końca roku Telekomunikacja wyda na inwestycje w sektorze internetowym (usługi i transmisja danych) 2 miliardy złotych. (SR)



WEJŚCIE SMOKA

Telewizja Puls wkrótce będzie odbierana w całej Europie drogą satelitarną. Umożliwiła to umowa Telewizji Familijnej SA – właściciela Pulsu – z francuskim operatorem największego systemu satelitarnego ASTRA. Dyrektor programowy Telewizji Puls Andrzej Horubała skomentował to wydarzenie w następujący sposób: „To będzie wejście smoka. Na rynku telewizyjnym jest już gęsto, dlatego chcemy być ekstrawagancy”. (LDZ)

POLSKA PIŁKA W TVP

Skróty meczów piłkarskich I i II Ligi Polskiej oraz Pucharu Ligi Polskiej będzie transmitować TVP na podstawie umowy z Canal +, wyłącznego właściciela praw do telewizyjnych relacji z tych imprez. Relacje z ekstraklasy można będzie zobaczyć w niedzielnych magazynie „Gol” w TVP 2, a II ligę we wspólnym paśmie stacji regionalnych TVP 3. Skrótę ze spotkań ligowych pokazywać będzie także TV Polonia. Umowa obejmuje również retransmisje żużlowych zawodów Grand Prix w br. (LDZ)

„EGZORCYSTA” PRZED SĄDEM

Reżyser „Egzorcysty” William Friedkin i autor scenariusza William Blatty pozwali do sądu Warner Bros, Turner Network Television i Turner Broadcasting System. Twierdzą, że koncerny nie zapłaciły należnych im pieniędzy za telewizyjną reedycję nowej wersji „Egzorcysty”. Uważają, że Warner oddał za darmo prawa do transmisji kablowej stacjom TNT i TBS. Tymczasem reedycja dreszczowca przyniosła olbrzymie zyski. Tylko w USA zarobiła prawie 40 mln dolarów, a na świecie ponad 110. Warner tłumaczy, że gdyby nie oddał praw za darmo, to Turner i tak wyemitowałby film w starszej wersji. Prace nad nową wersją trwały kilka miesięcy. Blatty i Friedkin przemontowali film, dodali kilka scen, udźwiękowili na nowo i pomogli w jego promocji. Za pracę spodziewali się udziału w zyskach z emisji. Zgodnie z umową Blatty miał dostać 39 proc., a Friedkin 10 proc. zysków. (SR)



REKOMENDACJE

TV

■ „Czarny serial”, TVP, Program 1.

Emisja cykliczna, od 11 grudnia 2000 r. na antenie, odcinek pod koniec miesiąca, około godz. 23. Cykl dokumentalny, bez epatowania sensacją przedstawia największe katastrofy w powojennej historii Polski, głównie PRL-u. Dotychczas opowiedziano m.in. o katastrofie samolotów LOT-u

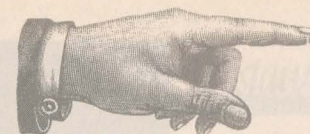
„Kopernik” i „Kościuszko”, promu „Heweliusz”, o wybuchu w warszawskiej Rotundzie PKO. Przedstawiono też sprawy mniej głośnie, jak eksplozja w rafinerii w Czechowicach-Dziedzicach czy pożar słynnej szczecińskiej restauracji „Kaskada”. Ostatni odcinek przed przerwą wakacyjną – 7 czerwca – o pożarze w dziesięciopiętrowym bloku w Gdańsku, w dniu 17 kwietnia 1995 r., gdzie zginęły 22 osoby. Losy cyklu dokumentalnego po wakacjach nie są jeszcze znane.

FOT. W. KULINSKI/FORUM

FOT. M. NOWORYTASE

FOT. GĘSIK/FORUM

FOT. REUTERS/FORUM



● SŁABE ●● PRZECIĘTNE ●●● ZACNE ●●●● ZNAKOMITE ●●●●● WYBITNE



Jacques Dutronc w filmie „Van Gogh” (1991)

FILMY O ARTYSTACH MALARZACH I ICH CZASACH

- „Paryż 1900”, reż. Nicole Vedrès, 1947
- „Tajemnica Picassa”, real. Henri-Georges Clouzot, 1956
- „Montparnasse 1919”, reż. Jacques Becker, 1958
- „Udręka i ekstaza”, reż. Carol Reed, 1965 (rzecz o Michale Aniele)
- „Przygody Picassa”, reż. Tage Danielsson, 1978
- „Lautrec”, reż. Roger Planchon, 1998

NAJSŁYNNIEJSZY FILMOWY CYTAT MALARSKI

- „Viridiana”, reż. Luis Buñuel, 1961 – nawiązanie do „Ostatniej Wieczery” Leonarda da Vinci



José Ferrer jako Toulouse-Lautrec w filmie „Moulin Rouge” (1952)

Kino – sztuka ruchomych obrazów – interesuje się także malarzami.

PĘDZLE przed kamera

Sięganie czy wręcz żerowanie na biografiiach wielkich artystów to dla kina nie lada gratka. Cóż może być bardziej spektakularnego od ukazania postaci człowieka niebanalnego, który dość często pokretnie i efektownie się prowadzi? Wśród postaci najbardziej malowniczych dominują muzycy, pisarze oraz malarze i szeroko pojęci plastycy. Ci ostatni interesują nas teraz najbardziej.

Jedną z najgłębszych wypraw w otchłań malarza oraz istoty malarstwa był „Andriej Rublow” Andrieja Tarkowskiego (1966). Reżyser dzięki opowieści o XV-wiecznym mnichu-malarzu starał się powiedzieć nie tylko o nim samym, lecz także o sensie sztuki i historii narodowej. Całkowicie odmienną, bo narcystyczną i egocentryczną wizję życia malarza ukazał z kolei Derek Jarman w swoim „Caravaggiu”

(1986). Jarmana musiała zaintrygować postać kolorysty-awanturnika o niebanalnym i silnie rozwichrzonym życiu płciowym. Natrętnie podkreślane anachronizmy tym mocniej uwypuklały dystans reżysera wobec opowieści i jednocześnie jego identyfikację z postacią malarza przekłętą. Oprócz tego nurtem niewątpliwie dominującym są biografie „przezroczyście” – ich celem staje się maksymalne rzetelna rekonstruk-

cja postaci artysty z epoką w tle. Ulubieńcem filmowców jest Vincent van Gogh, którego życiorys – z podkreśleniem epizodów psychotycznych – wydaje się niemal gotowym scenariuszem. Godne uwzględnienia są hollywoodzkie próby poradzenia sobie z fenomenem twórcy „Słoneczników”, jak „Pasia życia” (1956) Vincente Minellego z rudawym Kirkiem Douglasem, który udalnie portretuje zdziżalonego samotnika. W 1991 r. solenny i skupiony obraz życia malarza dał Maurice Pialat w swoim „Van Goghu”. Zwrotem ku temu samemu arty-

stwie zaskoczył także Robert Altman, realizując we Francji film „Vincent & Theo” (1990), w którym podkreślał rolę fizjologii w rozwoju duchowości artysty. Dziełem skupiającym się na pasji tworzenia prowadzącej aż do zaburzeń umysłowych zajął się Bruno Nuytten w „Camille Claudel” (1998). Bohaterka – rzeźbiarka, kochanka Auguste’a Rodina – stała się wymarzoną surowcem dla wstrząsającej kreacji Isabelle Adjani. Równie dramatyczne są losy bohatera utopionego w naszej sko-

mercjalizowanej rzeczywistości – Jean-Michele’a Basquiata – prymitywa-samouka, który zaczął i skończył na manhattańskim bruku. Jego portret w filmie „Basquiat – taniec ze śmiercią” (1996) w reżyserii Julienu Schnabla (rzeźbiarza) cechuje także zabawny fakt, że w rolę promotora Basquiata – Andy’ego Warhola – wcielił się David Bowie. Z kolei James Ivory w filmie „Picasso – twórca i niszczyciel” (1996) nieco dworuje sobie z bohatera – boskiego Pablo. Skupia się na jego życiu prywatnym i dziwacznych wyborach politycznych, co podkreśla zdystansowane aktorstwo Anthony’ego Hopkinsa.

Zwrotem w stronę biografii zaskoczył także w pewnym momencie Carlos Saura. Po filmie o mistyku Janie od Krzyża („Noc ciemna”) Saura zdecydował się na film „Goya” (1999), który zajmuje się końcem życia głuchnącego już wtedy geniusza malującego na ścianach swojego domu. A nasi malarze krajowi? Oprócz aluzji i nawiązań inscenizacyjnych wobec ich obrazów (zwłaszcza u niedosłego malarza Andrzeja Wajdy, który cytował dzieła choćby Wróblewskiego i Malczewskiego) ciągle muszą czekać na swojego reżysera.

JACEK ZIEMEK



POLLOCK

Jackson Pollock wielkim malarzem był. Poświęcony mu film Eda Harrisa, reżysera i odtwórcy roli tytułowej, nie jest – szczęśliwie – ani apologią artysty, ani próbą odbrazowania jego postaci. „Pollock” Harrisa nie traktuje o nadwrażliwym twórcy, ofierze filisterskiego społeczeństwa i artystycznych koterii, ani o genialnym potworze niszczącym siebie i wszystkich wokół. Z życia malarza dałoby się z pewnością wybrać epizody doskonale pasujące do obu standardowych wersji biografii artysty, tym większa więc radość, że twórcy filmu poszli innym tropem. Otrzymałmy dzieło z jednej strony unikające sugerowania jakichkolwiek łatwych rozwiązań „zagadki Pollocka”, nastawione raczej na beznamiętną relację, z drugiej, dzięki wspaniałej kreacji Harrisa – przejmujące i chwilami wprost hipnotyczne. Odnieść można jednak wrażenie, że choć Harris-aktor wznosił się na wyżyny, Harris-reżyser nie wykorzystał szansy. Jego film, rozpatrywany jako całość, jest solidny, ociera się o wybitność, ale zabrakło mu chyba odrobiny formalnego szaleństwa, by stworzyć arcydzieło. Przykro też patrzeć na kilka isticzy fragmentów (np. obrazki, z których dałoby się zmontować uliczny teledysk pt. „Jackson Pollock obcuje z przyrodą”), czy nie wykorzystane interesujące wątki (np. rywalizacja z de Koonigiem). Mimo tych zastrzeżeń nie mam wątpliwości, że to obraz, który koniecznie trzeba zobaczyć. (MS)

Reż. Ed Harris, USA 2000



FOT. GUTEK FILM

SUZHOU. Niebanalna, wysmakowana opowieść o samotności, zagubieniu i obsesyjnej potrzebie miłości w wielkim mieście. Pocucie pustki i gorycz alienacji potęgują nerwowe drgania kamery, ukazujące pośpiech i brzydotę wielkiej aglomeracji. Zamiast nowoczesnych, strzelających w niebo budynków widzimy świat rozpadających się ruder i rzecznych barek; zamiast do sterylnych centrów handlowych wchodzimy do tanich, zadymionych barów i zagraconych pomieszczeń. W tej szczególnej dekoracji, która na swój sposób urzeka, rozgrywa się dramat młodego mężczyzny próbującego odnaleźć swój jedyny skarb – kobietę, którą kiedyś kochał. Świadkiem zaś jego poszukiwań jest – tchnąca spokojem w chaotycznym, rozedrganym świecie – tytułowa nie zmieniająca się rzeka. Trzymająca w napięciu opowieść rozgrywa się w Szanghaju, lecz mogłaby z powodzeniem toczyć się w każdym większym mieście. Jej atutem jest uniwersalizm oraz to, że sprawia wrażenie autentycznej. Co ciekawe, film młodego chińskiego reżysera (rocznik 1965) ma również specyficzny wątek polski. (ACK)

Reż. Lou Ye, Chiny/Niemcy 2000



FOT. WARNER BROS

MROCZNA DZIELNICA

Żal źle pisać o rodaku na obczyźnie, lecz tym razem innej możliwości nie ma. Ileż to razy oglądaliśmy już w kinie gliniarza kopiującego sylwetkę Brudnego Harry’ego. Taki, gdy ujrzy zło, nie zerka do regulaminu, jeno z siłą batalionu komandosów spada na drwiącego sobie z prawa łotrzyka. Film Dona Siegla miał jednak klasę, a Eastwood charyzmę. Tu nie ma nic ponad tubu-du, bęc i bum. Historia „ostatniego sprawiedliwego”, walczącego z „ośmiornicą”, która załęgła się w policyjnych szeregach, to jedynie pretekst do epatowania brutalnością. Słychać trzask łamanych kości, tryskają gejzery krwi, eksploduje połowa miasta, do tego kasuje się półroczną produkcję fabryki Forda (ale rzecz dzieje się w Detroit, to mieli blisko). Akcję co rusz podprowadza się tak, aby nasz zuch mógł potwierdzić pełnię swych zdolności do objawiania innym facjaty. Przebieg intrygi przewidywalny jak wschód słońca. Aktorzy pieskocy (dość powiedzieć, że Seagal chyba najlepszy – co tłumaczy wszystko). Dialogi prymitywne i płaskie, utkane z chwackich odzywek tak zwanych mocnych ludzi. Reżyseria schematyczna, a zarazem nieporadna. Sprawność w preparowaniu pościgów samochodowych to, jak widać, wystarczający powód, by zrobić film. Niewystarczający jednak, by chcieć go oglądać. (TP)

Reż. Andrzej Bartkowiak, USA 2001

Trajlowanie widowni

Czarna owca z mojej rodziny ima się niecnego zajęcia kupowania diwisków (skoro Państwo nie wiedzą, co zacz, to nie powiem, bo nie będę propagował). Rzecz w tym, że gdy już je ma, to czyni z nimi tak jak dawni niecierpliwi polykacze beletrystyki: hyc z pierwszej strony na dwunastą, potem na setną, jeszcze parę skoków, finał fabuły, no i zaliczone, egzemplarz na półkę.

Ale może to kinomaniacki odruch Pawłowa? W kinach od dawna przecież serwowane są zapowiedzi nowego towaru nie tylko dla takich pośpiesznych, ale dla każdego uczestnika seansu (czasem okazywało się co prawda, że nie dla każdego, bo dziecię, co przybyło na bajkę o krasnoludkach i Śnieżce, chłonęło wpięraw atrakcje z wersji tej bajki dla dorosłych, zatytułowanej „Nagi instykt”, no i były skargi do dyrekcji OPRF). Dziś dwa słowa właśnie o ewolucji owego kartkowania filmu – zwiastuna, albo (jak mówią nowoczesni multipleksiarze) trajlera. Całkiem starzy kiniarze mó-

wili jeszcze inaczej: forszpan. Wszystko zgodnie z biegnącą wielkoświatową modą językową. Tak czy owak, chodzi o zachęcające urywki pośpieszne. Otóż zachęcać, to one zachęcają, ale coraz bardziej łąż. Ostatnio parę już razy zdarzyło mi się zobaczyć wyraźnie co innego, niż obiecano – ale na korzyść gotowego filmu! Niby zwiastuny są nadal skondensowanym zbiorem przednich momentów – atoli wyraźnie robi się je teraz pod półgółków. Inteligentni się domyślą? Ba, właśnie się nie domyślają, tylko zniechęcają. Przykładem służy „Doktor T i kobiety”. Rzekomo komedia o ginekologu. Brr... Zwiastun wypelniają jakieś szamotaniny, typu „Szpital na peryferiach”, z nawałą mętnych min Richarda Gere. Oj, czy warto na to iść? No i w kinach pusto. A tu tymczasem stary Robert Altman, wzięwszy scenariusz pani Rapp, popisowo dla się wyreżyserował mądry i dowcipny traktacik o tym, kto rządzi naszym światem. Ludzie, nie dajcie się trajlować specem od promocji! Patrzenie, kto podpisał film.

ADAM GARBICZ

KINO XXI WIEKU

JUŻ STAROŻYJNI RZYMIANIE

SMUTA

We Wrocławiu smuta, czyli zamęt. Miłoścy nam panujący od lat 11 prezydent Bogdan Zdrojewski ogłosił abdykację. Pan prezydent obronił miasto przed powodzią z odwagą Klaudii Kwinty.

Ta piękna Rzymianka, choć cnotliwa, nie miała w swoim mieście dobrej opinii. Kiedy jednak w roku 204 przed Chrystusem przywożono na statku ze Wschodu Wielką Boginię Matkę, Klaudia znalazła się w honorowym pocztynie powitalnym matron. Pech chciał, że statek zaraz po wypłynięciu z morza na nurty Tybru osiadł na mieliźnie. Najwybitniejsi senatorowie i najsilniejsi mężowie na próżno ciągnęli grube liny – ani drgnął. Wtedy z procesji wystąpiła Klaudia, zacerpnięta z rzeki wody w dłoń, trzykrotnie skropiła głowę i trzykrotnie wzniosła ręce do góry, a potem uklękła i wbiła wzrok w posąg Bogini Matki, czyli w olbrzymi czarny kamień. Gdy wszyscy byli pewni, że zwirowała, Klaudia wstrząsnęła rozpuszczonymi włosami i zawołała: „Płodna Matko Bogów. Mówią, że jestem nieczysta. Jeżeli i ty mnie potępiasz, przyznam się do wszystkiego. Ale

jeśli jestem bez winy i czysta jak ty, dowiedz mojej niewinności i ustąp”. Po czym chwyciła linę i lekko pociągnęła, a statek spłynął z mielizny. Zachwyceni obywatele natychmiast napisali o całym zdarzeniu sztukę teatralną i odtąd wystawiano ją co roku podczas uroczystych obchodów święta Wielkiej Matki.

Już starożytni Rzymianie rozumieli potęgę spektakularnych gestów. Podczas powodzi prezydent Zdrojewski niczym Klaudia nad Tybrem pochylał się nad Odrą z telefonem komórkowym w dłoni. Teraz rezygnuje z urzędu, bo wstąpił na Platformę i chce zostać posłem. Odtąd będzie czuł nad miastem z oddali, czyli z immunitetem, wolny od posądzeń o korupcję, która „ponoć draży magistrat”. Może też doczeka się swojego dramaturga. A w mieście smuta jak w Rosji. Czekamy na Samozwańca.

MIROSLAW KOCUR

ARTYSTA, którego nie ma

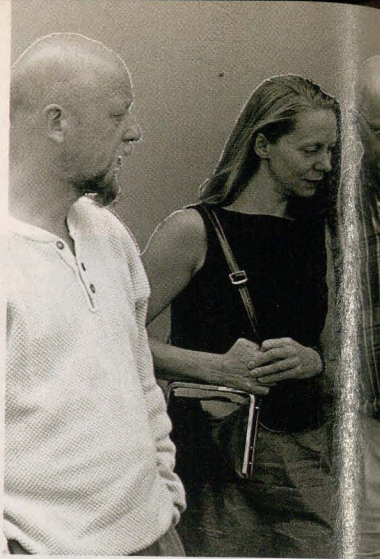
Wedle anegdoty poddany laboratoryjnemu eksperymentowi Polak zostaje zamknięty nago pod przezroczystym kloszem. Po tygodniu – ku zdumieniu badaczy – jest ubrany, umeblowany i pędzi bimber.

Od czasu debiutu w 1983 r. Andrzej Sadowski, założyciel Stowarzyszenia Mandala, a jednocześnie zawodniak, reżyser i artystyczny kombinator, uprawiał sztukę w sposób będący najwierniejszą ilustracją tezy o samowystarczalności niektórych naszych rodaków. Kiedy wszystkie grupy alternatywne realizowały spektakle o wydzwięku politycznym, on wolał poszukiwania formalne. Gdy po 1989 r. jego koledzy z teatrów niezależnych wywalczyli sobie sceny i siedziby, on swój teatralny barak w Krakowie utracił. Od tego czasu Stowarzyszenie Mandala mieści się w przy-

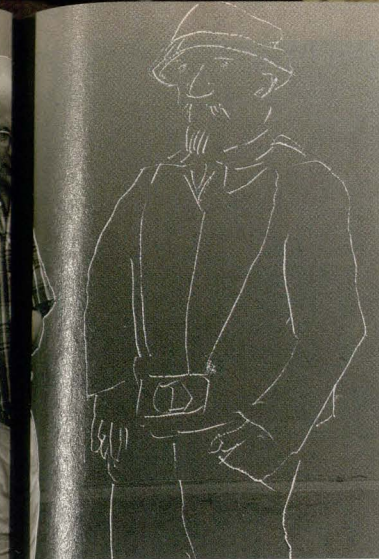
watnym mieszkaniu na jednym z nowohuckich blokowisk.

Sadowski był zawsze teatralnym anarchistą. Z nonszalancją zostawiał w realizacjach brudy i niechlujstwa formalne, eksperymentował z nowymi przestrzeniami. Mandala przygotowywała akcje teatralne w opuszczonych budynkach, na krakowskich Planach zagrani nawet „Wiśniowy sad”. Reżyser konsekwentnie zmieniał teatr w happening, zdarzenie jednorazowe i nieprzewidywalne. I taki też jest „Jacobco”, jeden z ostatnich jego projektów.

Zapraszając do współpracy Zbigniewa Bielawkę – grafika, fo-



Od lewej: Andrzej Sadowski, Marta Pietruszka (tancerka Szoska), rysunek postaci Zbigniewa Bielawki



FOT. ZBIGNIEW BIELAWKA

tożym życiorys Jacobco dowcipne tytuły, a Sadowski montuje na scenie instalację z jarzeniówek. Na pytania z sali eksperci Bielawka, Szoska i Sadowski odpowiadają wymijająco. Ktoś obraża się i wychodzi, zrywając przedstawienie. Nie przypadkiem.

Od lat Sadowskiego przesładuje idea spektaklu jako wydarzenia scenicznego świadomie nieudanego. W dotychczasowych realizacjach Mandali chodzący po scenie reżyser-aktor nie dopełniał teatralnego świata, ale wręcz niszczył własne przedstawienie. Bogata osobowość Sadowskiego rozsądzała formę widowiska, reżyser ubarwiał tekst nieoczekiwanymi improwizacjami. Rozmawiał z publicznością, komentował błędy aktorskie i kłasy techniczne. Zmieniał sytuację teatralną nawet nie w próbie, ale w coś w rodzaju towarzyskiego spotkania z powodu sztuki.

W „Jacobco” Sadowski jako jowialny brat-lata wciąga nas w swój absurdalny świat, demaskując pozę artysty, który chciałby stworzyć coś nowatorskiego, przełomowego, a niestety zawsze wychodzi mu huca. Kiedy reżyser stwierdza, że za chwilę ujawni prawdę o Jacobco, to na ekranie pokazuje nam ujęcia z kamery filmującej ciemność odbitą w lustrze. Projekt obnaża żalność każdego twórcy próbującego przekuć to, co prywatne, w artystyczne. Zresztą nie wiadomo, czy także Sadowski, tak jak Jacobco, w ogóle istnieje. Bywa przecież często mylony ze znanym warszawskim scenografem o tym samym nazwisku. Ostatnio widziano jednak, jak ze Zbigniewem Bielawką planowali wysunięcie kandydatury Jacobco na stanowisko dyrektora Starego Teatru. Jak wiadomo, najlepszy jest artysta, którego nie ma.

LUKASZ DREWNIAK

Sprawa nie nasza



Dostawka

PAWEŁ GŁOWACKI
Rocznik 1965. Krytyk teatralny, który krytykował już chyba wszystkich.

Z mej pierwszej podróży do Starożytnej Grecji głównie pamiętam środek lokomocji. Brnęliśmy za pomocą wiernego jelicza. Nie muszę mówić, że już na rogatkach Krakowa było po Bożemu. Nawaliła pompka oliwowa, nawaliła na pięć godzin, za rogiem była konsumpcja pod tytułem „Borowik”, zwyczajne dzieje. Co było robić? Czym się ma zająć Polak, gdy go zaskakujący „Borowik” w drodze do pestki zatrzymał? Twoje zdrowko! Jechałem do Starożytnej Grecji, marzyłem, by wreszcie zasiąść w kamiennej czaszy Starożytnego Teatru, zamknąć oczy, dojrzeć początek wszystkiego, a tu – „Borowik”. Z biegiem minut Ateny wiodły, „Borowik” tężał, marzenie, tęsknota pierwotna, by sedno teatru usłyszeć – wszystko na manualnej sprawności szofera zawisło. Gdy wybił finał, gdy pompka oliwowa litościwie odpuściła – ja już niewiele miałem do powiedzenia. Tak bywa z zaskakującymi „Borowikami”. Chłop ani się obejrzy – a już jest zasadniczo pozbawiony własnego zdania. Pojechałem więc dalej, a jazdę znam z opowiadań profesjonalistów, którzy w wiernym jeliczu dzierżyli wodze „Borowików” przerośniętych. Gdy po paru intrygujących dniach i nocach pod Akropolem z jelicza się wyostałem, jedno pojąłem ściśle. Tym razem na górę nie wleżę, albowiem tym razem trasa jest stanowczo za stroma. Więc klasycznie w bok się udałem, wszedłem w porastające zbocza Mitycznego Wzgórza mchy i porosty. I co powiecie? Nie dość, że Grecy też znają pojęcie „Borowika”, to tuż za ichnim „Borowikiem” wkroczyłem w mą pestkę wymarzoną. Starożytny Teatr, monstualna, kamienna filiżanka bez kawy, cisza absolutna. Położyłem się na widowni. Zamknąłem oczy. Zobaczyłem... Zobaczyłem, bo usłyszałem. Szmer gorącego piachu zobaczyłem uchem. Ktoś grzebał zwłoki kogoś mu bliskiego. A później prawie nikt z życiem nie zdążył... To coś, co z własnych dłoni i piachu klepsydry czyniło, to kobieta była. Antygona. Zobaczyłem uchem, jak napisanymi palcami muska me nie napisane wargi.

Teraz też leżę. Też w teatrze, w pestce teatru tkwię – bo jestem u siebie. Jak wtedy. Słucham „Makbeta”, widzę uchem spektakl radiowy, jestem lekki. Za chwilę nagranie to kupić będzie można. Antoni Libera przetłumaczył; Waldemar Modestowicz wyreżyserował; fundamentalnym szmerem tła zajęła się Małgorzata Małaszko; dźwiękiem sterował Tomasz Perkowski. A całość, to dzieło Wydawnictwa RTW. I tyle. To znaczy – straciłem parę fraz na, pozał się Boże, informacyjną pilność. Żałuję, bo przecież w istocie z tym radiowym „Makbetem” jest tak, jak z tamtą mą podróżą do sedna teatru. Przypadek, pompka oliwowa, „Borowik”, ogólna katastrofa – a tu masz! Teatr dźwięku, teatr słowa, leżysz i uchem wyraźnie czujesz dotyk słów, muśnięcie fabuły, ciepły język opowieści na karku. Ra-dość. Wystarczy tylko zamknąć oczy. Kto i kogo tutaj zagrał, kto komu dał głos? Wiem, bo wiem:

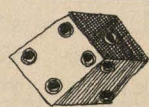
Adam Ferency to Makbet, a Danuta Stenka to Lady Makbet. I co z tego? Jak człowiek czyta, czasami przychodzą te zawrotne momenty, kiedy się słyszy ciało liter. Jest tak, jakby napisane palce muskały twe nie napisane wargi. Ale te palce, wybaczcie niezręczność, nie mają twarzy. To znaczy – mają. Mają

Z radiowym spektaklem „Makbeta” jest tak jak z moją podróżą do sedna teatru.

twą wyobraźnię, twoją twarz. Te palce muskające, to są zawsze twoje palce. Wychodzi na to, żeś onanista!

Oraz na to, że największą wadą dzisiejszego naszego teatru jest to, że widzowie nie są ślepi. Niestety – teatr czynią ludzie raczej głusi. Inaczej – już prawie brak u nas teatru robionego przez ludzi przezroczystych. Swinarski, Strehler... Kiedy to było? Dawno i nieprawda.

Jak prawkiem i nieprawdą pompka oliwowa, niezniszczalne widmo „Borowika”, stroma ściana Akropolu, i moje tamto leżenie na krawędzi pustej, monstualnej filiżanki z kamienia. I jak prawdą i pestką współczesności ten radiowy „Makbet”, prawdą zasadniczą. Bo włączam CD, włączam opowieść, kładę się, zamykam oczy, otwieram ucho. Otwieram wyobraźnię. Jest pusto. Czuję uchem pot Szekspira, okropnie załatywałem. Mogę wszystko – i to właśnie jest teatr. Moja sprawa, twoja sprawa. Ale nigdy – nie nasza.



Cztery cechy odróżniające premierę Bogdana Toszy od realizacji Kazimierza Dejmka dostrzeżone w Katowicach przez wszędobylskiego recenzenta „Kostki”:

1. Dejmek dramat Myśliwskiego skrócić, pociąć i nic mu to nie pomogło, u Toszy tekst jest dłuższy, nie pocięty, na scenę wchodzi wszystkie postaci, które powinny. Nie wiem, po co – ale wchodzi.
2. Duch zmarłej Gospodyni pojawia się u racjonalisty Dejmka co najwyżej w głowie chorego Bolesia. Tymczasem Tosza zatapia świat Myśliwskiego w dymach i cudach: po stole sama z siebie przesuwa się szklanka, tylna ściana chaty pęka na dwoje, otwierając przejście do zaświatów.
3. U Dejmka telewizor, w który wgapia się amerykański mąż Dominiki, stał sobie spokojnie na stoliku, u Toszy zaś przemocowany jest do półki pod sufitem, jak w pokojach hotelowych. Widać, gospodarz na serio wziął się za agroturystykę.
4. Krnąbrna córka Gospodarza, Weronka, lata w Katowicach po scenie prawie goła – u Dejmka niestety nie latała.

Finalna refleksja „Kostki”: Stosując odmienną taktykę, obaj reżyserzy osiągnęli jednak ten sam rezultat. Spektakl Toszy, mimo imponującej inscenizacji, potwierdza wszelkie wady dramatu Myśliwskiego, które kilka miesięcy wcześniej doprowadziły do klęski kameralnego przedstawienia Dejmka.

(LD)

Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach. „Requiem dla gospodyni” Wiesława Myśliwskiego. Reżyseria: Bogdan Tosza, scenografia: Jerzy Kalina, muzyka: Marek Kuczyński. Premiera: 17 marca 2001.

Gdy nagrywali płytę, zauważyli przez okno sztywność biur podróży: Avion Travel. Nazwali swoją sześćosobową orkiestrę – Piccola Orchestra Avion Travel. Niedawno odbyli podróż do Łańcuta na 40. Festiwal Muzyczny.

Do Łańcuta z biurem podróży

Pałac Lubomirskich i Potockich w Łańcutie co roku na kilka majowych dni zamienia się w salę koncertową. W 1961 r. Janusz Ambros, dyrektor filharmonii rzeszowskiej, zainicjował Dni Muzyki Kameralnej, które z czasem przerodziły się w muzyczny festiwal. Organizatorzy imprezy kontynuują tradycję, zapraszając mistrzów polskiej i światowej kameralistyki,

ale starają się też poszerzyć program o wielkie formy instrumentalno-wokalne, koncerty organowe w bazylice leżajskiej oraz wyjść poza muzykę klasyczną. Tego roku wystąpili m.in. Henryk Mikołaj Górecki, flecista francuski Philippe Bernold i pianistka z Rumunii Mihaela Ursuleasa. Na szczególną uwagę zasłużył jednak koncert nocny włoskiej grupy Piccola Orchestra Avion Travel.

Rozpoczął się on na dziedzińcu zamkowym utworem „Niecne żarty”, ale nagły deszcz przepłoszył artystów ze sceny pod gołym niebem. Wszyscy czekali więc, aż organizatorzy i telewizja rejestrują występ przygotowując salę balową. Grupa powstała w 1981 r. i początkowo zdobyła popularność we Włoszech jako undergroundowy zespół rockowy. Na początku lat 90. radykalnie zmienili

brzmienie. Album „Bellosguardo” z 1992 r. jest już utrzymany w nowym, oryginalnym stylu „Avion Travel”. Małą Orkiestrę tworzą: saksofonista Giuseppe D’Argenzio, gitarzysta Fausto Mesolella, kontrabasista Ferruccio Spinetti, perkusista Domenico Ciaramella, pianista Mario Tronco, kompozytor i aranżer większości utworów oraz wokalista i autor tekstów Peppe Servillo.

Przez ostatnie dziesięciolecie niemal co roku wydawali płyty, a w tym roku nagrali kolejną – „Storie d’amore”. Komponują także muzykę filmową. Odbyli wiele tras koncertowych, odwiedzili Japonię, Stany Zjednoczone i wreszcie Łańcut.

Po dwóch godzinach oczekiwania „Niecne żarty” zabrzmiały ponownie. Rozległy się dźwięki orkiestry pod dyktando Peppe Servillo. Jego głos i fantastyczna choreografia poderwały muzyków do grania. Jazzowe solówki odrębny utwór, a powtarzalność motywu czasem tak interesująca w budowie napięcia, że przywołała na myśl Ravela; solówki gitarowe pobrzmiwające wspomnieniem rockowej przeszłości; charakterystyczny włoski senty-

mentalizm rozpraszany mocnym, lecz harmonijnym hałasem perkusji; kontrabasista szarpący struny i ledwie zauważalna obecność kompozytora pochylonego nad keyboardem. Ich utwory to połączenie tradycyjnej włoskiej muzyki z folklorem greckim, bluesem i jazzem.

Podkreślają jednak: „Nie gramy jazzu czy awangardy, gramy piosenki”. Pięknie zaśpiewane, czasem deklamowane teksty Servillo są poetyckie, ale i ironiczne. Podobnie muzyka – piękna, fascynująca i... przewrotna. „Jesteśmy niespodzianką dla nas samych, nie tylko dla publiczności” – mówi Peppe Servillo. I rzeczywiście, spotkanie z nimi to wielka przygoda, nawet dla wymagającego odbiorcy.

Na rynku polskim nie ma płyty Piccola Orchestra Avion Travel. Widać ci, od których to zależy, nie kierują swojej uwagi na coś, co nie trafi do absolutnej większości. Jeśli również nie bywają na festiwalach i nie czytują gazet, pozostaje uzbroid się w cierpliwość i czekać jeszcze dłużej niż publiczność w Łańcutie, zanim ponownie będzie można posłuchać Małej Orkiestry z Włoch.

MAŁGORZATA KUCAB



FOT. PIOTR GAUDA

ŁAŃCUT – festiwal niespodzianek



FOT. PIOTR GAUDA

Mówi Janusz Ekiert, krytyk muzyczny, stały komentator wydarzeń festiwalowych:

Muzyka Piccola Orchestra odbiega od programu festiwalu. Skąd pomysł zaproszenia tej właśnie grupy do Łańcuta?

Założeniem festiwalu jest kameralna muzyka klasyczna, ale od dłuższego czasu zdarzają się odstępstwa od tej zasady. Moim zdaniem słusznie. Był król muzyki cygańskiej Lakatos, był zespół muzyki flamenco. To nie sezon w filharmonii. Łańcut to festiwal niespodzianek. I Piccola Orchestra jest jedną z nich.

Jak można określić ich muzykę?

Próbują – jak sami mówią – połączyć najstarsze tradycje włoskiej melodii z najnowszymi trendami światowej awangardy w dziedzinie piosenki. Deklamacje w stylu Paolo Conte nie są oryginalne, ale Peppe Servillo, który je tutaj wykonuje, to niezwykła osobowość. W ich muzyce jest dużo nowości, nie są konserwatywni w brzmieniu. To bardzo eklektyczna, zręcznie zmontowana mieszanka orientalizmów, wschodniego folkloru. Hegemonia włoskiej piosenki skończyła się dawno, a oni chcą przywrócić te najlepsze czasy. Nie trzeba się wstydzić, że to San Remo, oni są po prostu dobrzy. I to jest najważniejsze. (MQ)

CYMESIK DLA MELOMANA



Impulse! 1966

JOHN COLTRANE AND JOHNNY HARTMAN

Kim był John Coltrane – tłumaczyć nie trzeba. Cesarz saksofonu tenorowego. Jeden z najważniejszych muzyków jazzowych wszech czasów. W jego ogromnym muzycznym dorobku płyta z Johnny Hartmanem zajmuje miejsce wyjątkowe, ale i zapomniane. Nagrana w klasycznym składzie: McCoy Tyner – klawisze, Jimmy Garrison – bass i Elvin Jones – perkusja, nie byłaby niczym innym jak kolejnym zestawem mistrzowsko zagranych standardów. Gdyby nie głos wokalisty – Johnny’ego Hartmana.

Niepozorny pan o głosie anioła nadaje tym sześciu piosenkom nową jakość. Jakość niepowtarzalną, biorąc pod uwagę to, że po nagraniu sesji z Coltrane’em słuch o Hartmanie zaginął. Pozostały tylko nie zapomniane pieśni i zapomniany głos, idealnie dopasowujący się do brzmienia instrumentów (w „My one and only love” brzmi jak brakująca trąbka). Nagrania zachowały, mimo swojej śpiewności, charakterystyczne brzmienie zespołu Coltrane’a. Po dziś dzień uchodzą za sztandarowy przykład jedności i idealnego rozłożenia proporcji między zespołem a wokalistą. Wykonanie „Lush life” Billy’ego Strayhorna zaś uważa się za najlepsze w karierze Coltrane’a. Smuci tylko to, że o albumie zapomniano, bo nie jest gorszy od tego, co Coltrane zrobił później.

ROBERT ZIĘBIŃSKI

PRAYERS FOR DISINTEGRATION. Na płytę „A Tribute to The Cure” składa się 15 utworów nagranych przez 15 zespołów jako hołd dla jednego – The Cure – który w Polsce ma wielbicieli. Krążek zawiera znane przeboje w nowej interpretacji (niektóre śpiewane po polsku! – słynne „Lullaby” – gra Thule) przez zespoły na razie nie całkiem znane, ale nasze, polskie. Tym bardziej rodzimych fanów pozycja ta powinna ucieszyć – jest co wspominać, a wierność oryginałowi nieraz szokuje w ustach wokalistów innej płci. (TSE)

Black Flames Records

VANESSA MAE. Szklane? Raczej plastikowe są skrzypce Vanessy, które trzyma w swoich delikatnych dłoniach na zdjęciu z wewnętrznej strony okładki „Subject to change”. Czy aby gra na nich? Bo skrzypiec prawie wcale nie słychać na nowej płycie urodziwej skrzypkaczki – ten plastikowy instrument na pewno jest syntezatorem najnowszej generacji. Ma struny, ale może brzmieć jak bębny. Doskonała technika plus manualny talent równa się kolejne eklektyczne dzieło. Do słuchania w dyskotekce czy filharmonii? Odpowiedź brzmi: w domu podczas odkurzania kolekcji Paganiniego i cyfrowego sprzętu grającego. (TSE)

EMI

CECIL PAYNE. Budzi szczerą podziw, ile radości i energii zawiera muzyka Cecila Payne’a. Podziw, bo Payne jest muzykiem nie pierwszej młodości. Ten barytonowy saksofonista w latach 40. grał z Dizzy Gillespiem. „Chic boom” to album koncertowy. Na płycie zarejestrowano tylko osiem utworów, ale czas trwania większości z nich nie trwa krócej niż 10 minut. Jaka jest muzyka Payne’a? Klasyczna – swingująca, często grana z bebopowym zacięciem, jakiego nie powstydziłby się Charlie Parker. Ale przede wszystkim wciąga i ekscytuje. Udowadnia, że tradycja jest wciąż żywa i trzyma się dobrze. (RZ)

delmark/multikulti

ABSTRAKCJE

WYKUTY SCHULZ

Cenne freski Brunona Schulza odkryte niedawno w prywatnym mieszkaniu w Drohobyczu na Ukrainie ukradli dwaj mężczyźni posługujący się wizytówkami izraelskiego instytutu Yad Vashem. Właściciele mieszkania obserwujący wykucie malowideł byli przekonani, że wszystko odbywa się zgodnie z prawem i za zgodą konserwatora zabytków. Freski przedstawiały ilustracje Schulza do „Śpiącej Królowej”. Wymagały gruntownej konserwacji. Polska i Ukraina chcą utworzyć w domu Schulza muzeum poświęcone autorowi „Sklepów cynamonowych”. (SR)

FAŁSZYWY UŚMIECH GIOCONDY



FOT. ENFORBIA

Najstynniejszy obraz Leonarda da Vinci „Mona Lisa” jest fałszywy – twierdzi rosyjski uczone Igor Smirnoff. Na zeskanowane zdjęcie z XIX-wiecznego albumu z Luwru nałożył zdjęcie z jeszcze wcześniejszego katalogu wszystkich dzieł Leonarda i okazało się, że różni się ułożeniem rąk, linią ust i oczu. Igor Smirnoff uważa, że obraz został podmieniony w latach 1880–1890, kiedy znajdował się w Galerii Napoleona, a oryginał wisi w prywatnej kolekcji w Stanach Zjednoczonych. (AS)

OBIEKTYW

CAŁKIEM NOWE

■ **BIENNALE SZTUKI W WENECJI.** Największa na świecie wystawa i konkurs sztuki nowoczesnej. W pawilonie polskim malarstwo Leona Tarasewicza

Od 10 czerwca, Wenecja, Ogrody publiczne

TRWA

■ **POP ELITA. NOWA KLASA POLSKIEJ SZTUKI.** Wystawa zbiorowa, m.in. Grupa Ładnie, Stowarzyszenie Słoi, Julita Wójcik, Magazyn Raster

Do 17 czerwca, Kraków, pl. Szczepański, Bunkier Sztuki

OSTATNIA SZANSA

■ **„KROPLE PAMIĘCI”, SUKRAN AZIZ.** Instalacje audio i wideo.

Do 11 czerwca, Kraków, Galeria Krzysztofory, ul. Szczepańska, Galeria Potocka, pl. Sikorskiego



© GALERIA ZDERZAK

Bieg CZERWONYCH LUDZI

Stan wojenny oprócz niebываłych zasług cywilizacyjnych ma też jedną – artystyczną. Przyczynił się do powstania nowej sztuki i nowych technik malarskich.

Malarstwo uprawiano wtedy wewnątrz i na zewnątrz – w pracowniach i na murach. O ile w pracowni artysta tworzył sam bądź z kolegami z Akademii, o tyle scena uliczna miała wielu twórców, konkurujących wręcz o powierzchnię wystawienniczą. Jedni dziwnym trafem upodobałi sobie porę nocną lub zaraz po świcie i malowali swoje dzieła na murach.

Preferowali farby w sprayu, szczególnie trzy kolory: czerwień, biel i czerń. Inspirowały ich murales i wyrafinowane liternictwo. Nie stronili też od szablonów. Niekiedy oferowali grafikę warsztatową. Najczęściej używali formatu A4 lub A5 i techniki offsetowej lub sitodruku. Nie oszczędzali na odbitkach – powielali je nawet w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, choć często zapominali sygnować własnym nazwiskiem.

Potem pojawiali się performerzy, preferujący ekspresyjne abstrakcje i wielkie, zamalowane powierzchnie. Działali zazwyczaj zaraz po tych pierwszych i tworzyli w większych grupach artystycznych. Nieco razia ich poza na kult siły i uwielbienie dla munduru, w tych latach będącego już przecież poza modą.

Te grupy zawsze wybierały te same powierzchnie, co pierwsi artyści. Nie

darzyli szczególną sympatią kolegów i nie szanowali ich dzieł. Techniki malarskie tych drugich polegały często na pokrywaniu muru płaskimi, ekspresyjnymi plamami. Używali również technik olejnych, ale nowością była metoda ready-made'u, gdyż czasem traktowali jako tworzywo gotowe dzieła poprzedników, a do obróbki używali rozpuszczalnika nitro. Po zamazaniu i częściowym starciu malunku na murze powstawały piękne dzieła o subtelnych laserunkowych efektach.

Ale i te dzieła nie żyły długo, bo wieczorem wielbiciele literatury i offsetu przystępowały do pracy. I tak oto rodziła się niepowtarzalna technika palimpsestu, czyli nakładania na siebie wielu warstw obrazów. Te spontaniczne formacje artystyczne działały pomiędzy rokiem 1981 a 1989. Jedynym forum spotkań i wspólnych działań obu grup były posterunki milicji i sale sądowe. Artyści pozostali – co jest ewenementem w historii sztuki – bezimienni i prowadzili działalność niekomercyjną.

Koneserzy sztuki polskiej nie powinni zapominać o innych, mimowolnych zasługach stanu wojennego i rządu Generała. W tych samych latach powstała grupa malarzy o nazwie Grupa, zadebiutowali inni, „nie zrzeszeni” artyści, a w Krakowie na strychu powstała podziemna wówczas galeria Zderzak. Takich malarzy, jak Modzelewski, Grzyb, Sobczyk, Młodziej (Piotr), Pawlak, inspirowały motywy „uliczne” i techniki kolegów amatorów z Solidarności i MO.

Malowali szybko i z fantazją. Równie szybko krytyka nazwała ich „nowymi dzikimi”. Używali albo bardzo żywych, albo bardzo zgaszonych kolorów. Nie bali się artystycznego przetwarzania kiczu i polityki. Nadawali dziełom najbardziej błyskotliwe tytuły w historii polskiej sztuki. A galeria Zderzak przyczyniła się do wypromowania tych artystów, których obrazy są dzisiaj kanonem sztuki zeszłego, XX wieku.

WOJTEK KOCOŁOWSKI

„Bieg czerwonych ludzi”
Galeria Zderzak, Kraków, ul. Floriańska,
od 12 czerwca do 1 sierpnia 2001.



© GALERIA ZDERZAK

KONKURS DLA CZYTELNIKÓW I GOŚCI GALERII ZDERZAK

Galeria Zderzak i „P” ogłaszają konkurs związany z wystawą „Bieg czerwonych ludzi”. W następnym

numerze „P” rozpoczniemy publikację 9 pytań konkursowych. Już za tydzień pierwsze 3 pytania dotyczące wystawy, malarstwa „nowych dzikich” i historycznych ekspozycji, które gościły w Zderzaku. Nagrodą w konkursie jest grafika Jarosława Modzelewskiego pt. „Powolne upadanie”. Powstała na podstawie obrazu z 1984 roku o tym samym tytule. Obraz znajduje się w zbiorach Muzeum Sztuki w Łodzi. Prosimy o nadsyłanie odpowiedzi na adres redakcji lub e-mail: voitec@przekroj.pl do dnia 18 lipca. Uroczyste wręczenie nagrody odbędzie się 1 sierpnia w Zderzaku, w dniu zakończenia wystawy.

300 słów Bogdana Achimescu

37 lat, ur. w Timisoarze. Grafik, rysownik, artysta multimedialny. Od 1990 roku mieszka w Krakowie. Reprezentuje Rumunię na tegorocznym Biennale Sztuki w Wenecji.

Archiwum Securitate

Maniakalnie zbieram informacje o moich znajomych. Adresy, numery telefonów, dane osobowe. Wszystko archiwizuję w bazach danych. Fascynacja ta wiąże się ze wspomnieniami inwigilacji, która w Rumunii była intensywniejsza niż w Polsce. Drugie źródło to moje wyobrażenie o sztuce jako budowie wehikulu, który ma coś zmagazynować, uratować. Mój projekt przygotowany na Biennale jest efektem długiego zbierania zdjęć ludzi, których poznałem. Są to twarze wycięte z kontekstu. Z fotografii zrobionych cyfrową kamerą wyprodukowałem filmy za pomocą programu komputerowego. Są to płynne animacje twarzy. Przekształcam ją w różnych ujęciach, uzyskując złudzenie ruchu. Ów ruch jest na granicy naturalności i sztuczności, żartu i upiorności. Aby stworzyć takie filmy, należy wcześniej zbudować siatkę wektorową, oplatając najważniejsze punkty na twarzy. Wygląda to śmiesznie, trochę jak jej odcisk. W jednej z polskich gazet przeczytałem kiedyś artykuł o archiwach służb bezpieczeństwa bloku wschodniego. Istniał projekt centralnego rejestru ludności, tłumaczony na rosyjski. Teczki z Polski zachowały się podobno w Moskwie. To nasunęło mi pomysł stworzenia rejestru fizjonomii. W katalogu towarzyszącym wystawie piszę o tej pracy jako znalezisku z archiwum rumuńskiej tajnej policji - Securitate. Jej autorem ma być mój znajomy, pragnący zachować anonimowość. Ponieważ służby bezpieczeństwa nie dysponowały komputerami do archiwizacji zdjęć, policjanci rysownicy ręcznie wykonywali szkice wektorów. Robi się to dość łatwo i szybko. Gotowy rysunek jest jak odcisk palca, można po nim rozpoznać człowieka.



KODAK TMY 6053

48

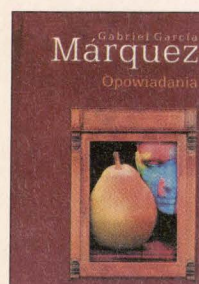
TMY 5

Test na Biennale

Grupa Kontekst Network kształtowała się powoli. Zebrałiśmy się wokół internetowej listy dyskusyjnej nettime.ro trzy lata temu. Byłem wtedy w Ameryce. Miałem dużo czasu i szybkie łącze internetowe. Zasyppowałem sieć artykułami i przy okazji zyskałem wielu wrogów. Pisaliśmy ostro o kulturze wizualnej w krajach Europy Wschodniej i Rumunii. Założycielem listy był rumuński artysta Aleksander Patatics. Potem stał się prawie jej cenzorem, ponieważ zmieniła się ona w kanał inwektyw. W styczniu 2001 roku spotkałem się z Pataticsem. Wiedziałem, że rumuńskie Ministerstwo Kultury, komicznie przemianowane ostatnio na Ministerstwo Kultury i Religii, ogłosiło konkurs na projekt rumuńskiej ekspozycji w Wenecji. Niezłe się ubawiłem – jak można ogłosić konkurs w styczniu, kiedy wystawa jest w czerwcu tego samego roku. Gdy Patatics powiedział, że razem z drugim kuratorem, Sebastianem Bertalanem, składają projekt naszej grupy, wyśmiałem go – jeżeli konkurs ogłaszają tak późno, to wiadomo, że już dawno wszystko jest ustalone. Ku mojemu zaskoczeniu ministerstwo wybrało nasz projekt jako jeden z dwóch reprezentujących Rumunię. Jesteśmy chyba jedyną grupą, która używa Biennale jako spotkania testowego. Znam tylko kilka osób z całej grupy. Nasz projekt jest prosty aż do granic możliwości. W pawilonie będzie pięć komputerów i pięć rzutników. Przestrzeń wypowiedzi Kontekst Network to jednak nie tylko pawilon, ale także typografia, płyta CD-ROM i strona internetowa.

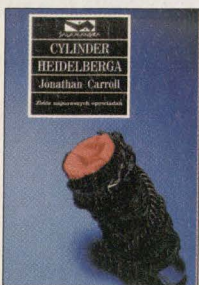
Miasto, Instalacja rysunków Bogdana Achimescu, Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, Wieża Ratuszowa, do 15 czerwca

FOT. BOGDAN MIEZEL



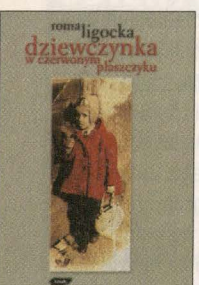
Trzy w jednym i jeszcze trzy – tak najkrócej można opisać tę książkę wybitnego (literacki Nobel w 1982 r.) pisarza przełożoną na polski przez parę wybitnych tłumaczy. Znamy doskonale wszystkie trzy tomy opowiadań, które weszły w jej skład: „Dialog lustra”, „W tym mieście nie ma złodziei” oraz „Niewiarygodna i smutna historia niewinnej Erendiry i jej niegodziwej babki”, nowością są natomiast trzy opowiadania dodatkowe, uzupełniające „Dialog lustra”. Wszystko razem jest niezwykle smakowitą lekturą – to jak spacer przez dobrze znaną, piękną okolicę, który za każdym razem sprawia wielką przyjemność i za każdym razem jest okazją do odkrycia czegoś nowego, czego się wcześniej nie zauważyło. Proza Garcii Marqueza jest tak bogata i pełna tajemnic, że można do niej wracać wielokrotnie, nie nudząc się. Szkoda tylko, że ten zbiór nie zawiera utworów z najnowszych tomów, zatytułowanego „Dwanaście opowiadań tułaczy”. (L.B.)

Gabriel Garcia Marquez: „Opowiadania” Przel. Zofia Chądzyńska i Carlos Marrofan Casas. Muza SA, Warszawa 2001



Jonathan Carroll – wiadomo – w Polsce cieszy się wielkim powodzeniem, a poza Polską raczej umiarkowanym. Tworzy sprawną literaturę, w której zawsze jest jakaś tajemnica, jakiś intrygujący element, który każe czytelnikowi wątpić w to, co daje się ogarnąć rozumem: obraz rzeczywistości przedstawionej w jego prozie ma pęknięcia, przez które prześwituje tajemnica. Tak było w powieściach, tak jest i w jego opowiadaniach. Wydany właśnie tom krótkich utworów autora „Krainy Chichów” nie zawiera utworów rewelacyjnych, ale wielbiciele i tak będą zachwyceni. Komuś zdechły w tajemniczych okolicznościach psy, a potem znikają ich ciała, ktoś zostaje porażony widokiem kobiety, a ona okazuje się być z nim w związku, choć bohater opowiadania nic o tym nie wie... Takie pomysły prezentuje pisarz. Dla czekających na jego nową powieść atrakcją będzie zamieszczony tu pierwszy rozdział tej, nad którą pracuje. Krótka mówiąc: wielka uczta dla prawdziwych miłośników prozy Carrolla. (L.B.)

Jonathan Carroll: „Cylinder Heideberga” Przel. Jacek Wietecki. Rebis, Poznań 2001



Jednym z zasadniczych warunków udanej autobiografii jest – oprócz umiejętności pisarskich – posiadanie ciekawego i zaskakującego życiorysu. W zaledwie dzieł, których autorzy nie spełniają obu tych wymogów, dzieje Romy Ligockiej błyszczą pięknem niebanalnego życia i świetnego pióra (książka powstała po niemiecku). Ligocka to bowiem nie tylko malarzka, scenograf, pisarka – to także intrygująca postać. Poznajemy jej żywot – od koszmaru krakowskiego getta, poprzez pokręte życie w środowisku polskiego undergroundu (chodzi o Piwnicę), aż po udaną próbę ułożenia sobie życia za granicą. Autorka opowiada jasno i ze swadą, nie boi się szczerości (epizod lekomański), ale nie popada w kłoczony ekshibicjonizm. Na dodatek może pochwalić się ciekawymi krewnymi i znajomymi, np. Romkiem (Polańskim) czy Ryśkiem (Horowitzem). Powstała książka niemal fascynująca, którą czyta się po prostu jednym tchem – od deski do deski. (JAZ)

Roma Ligocka: „Dziewczynka w czerwonym płaszczku”. Przel. Katarzyna Zimmerer, Wydawnictwo Znak, Kraków 2001

Poboyowisko

Świat premiuje cnoty Boya: pracowitość i rozmach, skuteczność i efektywność, nie mówiąc już o zwycięstwie stylu felietonowo-anegdotycznego czy triumfie plotki.

Boy był na tym polu prekursorem, doskonale pasowałby do naszych czasów.

Ponad 100 tomów najwybitniejszych dzieł literatury francuskiej przyswojonych polszczyźnie, kilkanaście poważnych zbiorów prac krytycznych i opracowań literackich. Tyleż samo książek wypełnionych felietonami, do tego liczne zbiory recenzji teatralnych. I to wszystko napisał jeden człowiek.

Zajrzałem do starej monografii Barbary Winklowej. Rejestruje ona ponad 2600 tekstów Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby Boy żył w naszych czasach i pisał teksty na komputerze. To dopiero byłoby poboyowisko.

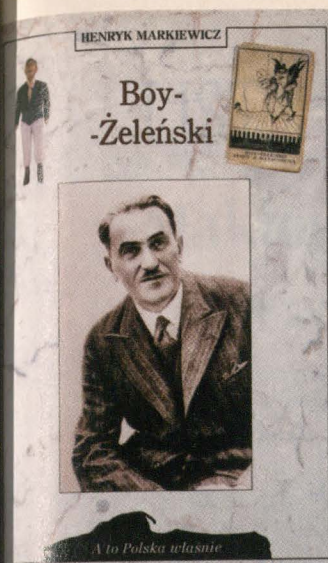
Te myśli przyszły mi do głowy w trakcie lektury najnowszego albumu z kolekcji „A to Polska właśnie”. Rzecz nazywa się „Boy-Żeleński”, a napisana została przez Henryka Markiewicza.

Życie i dzieło Boya-Żeleńskiego, a zwłaszcza to pierwsze, zawsze było przedmiotem zainteresowania. Nic dziwnego. Cóż za barwność i niepospolitość. Boy stał się bodaj najważniejszym świadkiem dwu malowniczych epok – Młodej Polski i dwudziestolecia międzywojennego. Istnieje więc na temat Boya całkiem sporo publikacji, a nawet kilka konkurencyjnych opowieści biograficznych (w aneksie dołączonym do tomu „Boy-Żeleński” znajdziemy ich wykaz). W efekcie Markiewicz miał ułatwione, i utrudnione zadanie. Trudno mi wychwycić podobieństwa i różnice między obecnie wydaną książką i pismami „boyoznawstwa”.

Zainteresowało mnie zresztą co innego. To mianowicie, jak Henryk Markiewicz opisuje „miejsca kłopotliwe” w biografii Boya, z których bez wątpienia najbardziej kłopotliwym odcinkiem jest etap ujawniony na dobrą sprawę i dyskutowany dopiero w latach 90.

ZDANIEM mojej ŻONY...

...adekwatną miarą pisarskiej klasy nadal pozostaje długość. „Długość kolejki oczywiście, dorzuciła zziębnięta, przybiegłszy z Targów Książki. Kto jest najlepszy? Ten, do kogo ustawiają się najdłuższe kolejki. Proste?” „Proste jak kolejka do Sławomira Mrożka, wtrąciłem zniesmaczony. Sam widziałem w telewizji, że najdłuższy ogonek ma Sławomir Mrożek, a kiedyż to on napisał zajmującą sztukę? Dwadzieścia lat temu? Dwadzieścia pięć?” „Ale też dwadzieścia lat temu przestano się u nas czymkolwiek poważnie zajmować”, zaczęła bronić subtelny felietonistę i rysownika moja żona. „To nic nie znaczy, odrzekłem bezkompromisowo, w naszym dynamicznie rozwijającym się społeczeństwie pisarze rentierzy nie mogą zasługiwać na szacunek”. Porażona tym argumentem żona pogmerała nieco w pamięci bezpośredniej i znalazła. „A młodzi, obiecujący poeci, których oblegają zbuntowane gimnazjalistki?” „Ach, one jeszcze nie wiedzą, że kultowy poeta chyłkiem kupuje rzodkiewkę w supermarkecie”. „A ogorzali prozaicy, których twarze osmałyły karpackie wiatry?” „Nikt jeszcze nie wie, że samolot, którym przylecieli z za siódmej góry, jest z tektury i za chwilę się rozpadnie”. „No to co, powiedziała zrozpaczona moja żona, co z tą długością?” „Nic. Nie miecz, nie ogonek bronią pisarza, lecz arcydzieła”. Tak jej powiedziałem i nawet wiem dlaczego. **maż**



Chodzi o czas między 5 września 1939 r., kiedy to Boy opuszcza bombardowaną Warszawę, a tragicznym 4 lipca 1941 r., kiedy pisarz zamordowali hitlerowcy. W książce Markiewicza rozdział ten nazywa się „W sowieckim Lwowie”.

Otóż krakowski badacz zajął stanowisko wytrawnego prawnika: wszelkie wątpliwości tłumaczy na korzyść „oskarżonego” o – przypomnijmy – kolaborację z sowieckim okupantem (tak to widzi np. Jacek Trznadel w wydanej w 1998 r. książce „Kolaboranci”). Markiewicz jest za domniemaniem niewinności. Dajmy na to w sytuacji, kiedy nie możemy jednoznacznie rozstrzygnąć, czy np. podpis Boya pod deklaracją polskich pisarzy przebywających podówczas w okupowanym Lwowie, w którym to oświadczeniu literaci witają z radością akt przyłączenia polskich

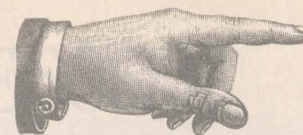
województw do Ukrainy Radzieckiej, znalazł się za zgodą autora „Słówek”, czy też Boy został bez swojej wiedzy podpisany pod tym haniebnym dokumentem?

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem też rozdział zamykający najnowszy album z serii „A to Polska właśnie”. W rozdziale tym Henryk Markiewicz zastanawia się m.in. nad tym: „Co zostanie z twórczości Boya w rozpoczynającym się XXI wieku?”. Zdaniem autora albumu przyszłość nie będzie łaskawa dla bohatera tej książki. Uczciwie sprawa postawiona. Chyba rzeczywiście wietrzejące z każdą dekadą przekłady Boya staną się w końcu martwe, „satyry i piosenki Boya – powiada Markiewicz – dotyczą przeważnie spraw od dawna przebrzmiałych i zapomnianych”, felietony zaś i recenzje zestarzały się już dawno.

Cóż więc zostanie? Styl i metoda. „Szkie historycznoliterackie pozostaną świetną lekcją słuchu czytelniczego i rozwagi interpretacyjnej, sztuki eseju i felietonu, polemicznej zręczności”. To wcale nie mała. Całkiem pokaźne poboyowisko.

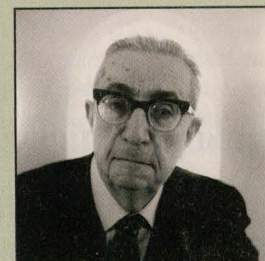
DARIUSZ NOWACKI

Henryk Markiewicz: „Boy-Żeleński”. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2001



Spór o Boya

Rozmowa z profesorem Henrykiem Markiewiczem



FOT. BOGDAN KRZEL

Dlaczego Boy, choć nie tworzył w żadnym z wielkich gatunków literackich, stał się jednym z najchętniej czytanych polskich pisarzy, a zarazem pisarzem gwałtownie, i to z wielu stron, atakowanym?

To trudne pytanie, na które próbuje odpowiedzieć cała moja książka. To prawda, Boy nie był mistrzem w gatunkach takich, jak liryka czy proza powieściowa, lecz takich, jak satyra, piosenka, felieton. A dlaczego był obiektem ataków? Bo często głosił poglądy na swój czas kontrowersyjne, a przy tym nieraz w formie żartobliwej, trochę frywolnej, czasem prowokacyjnej, co wielu ludzi oburzało. **Pana książka została wydana w serii „A to Polska właśnie”, trochę jakby przekornie, a może świadomie, bo Boy jest właśnie (nieczęstym w naszej literaturze) przykładem myśli racjonalistycznej.**

Oczywiście, można powiedzieć, że nawiązywał do tradycji pozytywistycznych, na przykład Prusa czy Świętochowskiego. **Zmienia się nasz stosunek do Boya. Czy aż tak bardzo, że Józef Hen – autor książki o Boyu – ma prawo powiedzieć, że lekceważenie go to przykład: „Nonszalancji polskiego stosunku do dziedzictwa literackiego”.**

Rzeczywiście, jeśli się Boya lekceważy – a są dziś tacy – to Hen ma całkowitą rację. Ale – jak napisałem w swojej książce – spór o Boya wciąż trwa. Zarzuty wobec Boya w niewielkiej mierze odnoszą się do jego pisarstwa. Nie mogą więc podważyć pozycji, jaką zajmuje w literaturze polskiej XX wieku.

Rozmawiał KAZIMIERZ TARGOSZ

MAKULATUTRA

Na samym początku narzuca się pytanie, komu i za co przyznawana jest nagroda Nike. Patrząc na dotychczasowych laureatów, możemy odnieść wrażenie, iż nagroda wyróżnia najwybitniejszych pisarzy naszego kraju – Miłosz, Barańczak i Różewicz należą przecież nie tylko do krajowej, ale i światowej czołówki. Tym bardziej zadziwiają i zatrważają tegoroczne nominacje. Jury nagrody Nike zapędziło się w kozi róg z własnej a nieprzymuszonej woli. Świadczy o tym lista nominowanych tytułów.

Czy największym osiągnięciem polskiej prozy jest najstabsza książka Jerzego Pilcha? „Pod Mocnym Aniołem” to jak kałuża po letniej burzy – mętna, nudna i szybko wyparowuje. W porównaniu z wcześniejszymi osiągnięciami pisarza pozostawia niedosyt i mentalną pustkę. Główny zaś faworyt – „To” Miłosza – mimo iż jest bezbłędny poetycko, nasuwa pytanie, ile w Miłoszu jest Miłosza, a ile amerykańskich poetów – z beatnikami na czele. Andrzej Stasiuk i Dariusz Suska zdają się w walce o nagrodę w ogóle nie liczyć – bo za młodzi i za mało znani.

To, co naprawdę budzi trwogę w owych nominacjach, to poważnie rozpatrywana kandydatura Jana Tomasza Grossa i jego historycznego opracowa-

nia. Czy budzący kontrowersje „Sąsiedzi” są dobrym reprezentantem naszej literatury? Nie ma wątpliwości, iż „Sąsiedzi” wywołał burzę społeczną. Ale czy to pozwala nazwać ich arcydziełem?

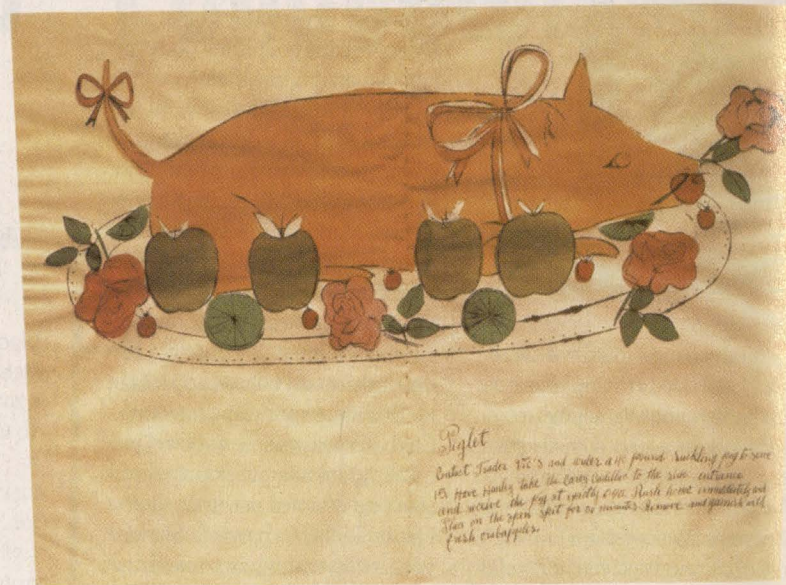
W przypadku nagrody Nike mamy do czynienia z tworem sztucznym – z nagrodą rozdawaną między sobą, nie dającą nadziei na wyróżnienie twórców młodych, o jeszcze nie wyrobionych nazwiskach. A przecież na całym świecie konkursy literackie to przyczółki przyszłych karier. Tymczasem nasze nagrody to wewnętrzzrodowiskowe rozgrywki między największymi – ale czy obecnie najważniejszymi?

Nagroda literacka, jakkolwiek by się nazywała, budzi na twarzy uśmiech, ale nie wypięki. Czy będzie to Miłosz, czy Gross, nie jest ważne. Istotne wydają się pytania: czy literacko Polska nie ma nic do zaoferowania? A może: czy Polska literatura umarła lub zastygła do tego stopnia, iż nie pozostało nam nic innego, jak przyznawać kolejne nagrody najbardziej już wyróżnionym? Obaw tych nie rozwieje tegoroczna Nike. By cokolwiek się zmieniło, potrzeba rewolucji, a na tę literatura polska jest zbyt wątpa.

ROBERT ZIĘBIŃSKI

Niepokoją doniesienia redaktora Makłowicza ze Żmudzi. Dziwi wszędobylstwo świńskich uszu.

Uszy w muślinie



Andy Warhol, Prosiak, 1959

Uszy owe to wyłącznie skutek ubóstwa, zmuszającego do kulinarnego wykorzystania całości zwierzęcia, czy też osobliwe upodobanie do tej właśnie, na pozór mało obiecującej jego części?

Świńskie...

Jedyny znany mi sposób na świńskie uszy to danie jednogarnkowe, w którym występują także świńskie ogony oraz ciekawy asortyment warzyw: pory, brukiew, kapusta, marchew, cebula, czosnek i fasola. Ogony oraz uszy muszą być solone – świeże należy przełożyć gruboziarnistą solą i odstawić na kilka dni, a następnie opłukać. Po zagotowaniu uszu i ogonów wraz z solidnym plastrem boczku w wodzie, odcedzić, opłukać i zagotować na nowo, już z dodatkiem porów (cztery pory na cztery ogony i parę uszu), całej główki czosnku, dwóch cebul, kilku marchewek i bulw brukwi. Zagotować, odszumować, posolić, po kilku kwadransach dodać pół kilo świeżej, białej fasoli oraz jedną niewielką zieloną kapustę, którą uprzednio trzeba poćwiartować i sparzyć. Po go-

dzinie wszystko powinno już być miękkie. Odrzucamy cebulę, pozostałe warzywa układamy na półmisku, którego część środkową przeznaczamy na ogony i uszy. Musztarda, ogórki małosolne, wiejski chleb i sól dopełniają obrazu rustykalnej kornukopii, czyli rogu obfitości.

Cielęce...

Zupełnie inaczej traktuje się uszy cielęce. Lucien Tendret w wydanej w końcu XIX wieku książce „La table au pays de Brillat-Savarin” podaje dosyć ogólnikowy i enigmatyczny sposób przyrządzania tego rarytasu. Współcześni kucharze francuscy nadal odwołują się do zdawkowych uwag Tendreta, podkreślając związki własnych, bardzo wymyślnych preparacji z narodową tradycją kulinarną. Nawet przy maksymalnej kondensacji przepis na uszy cielęce zająłby sześć stron, więc ograniczę się do kilku smakowitych detali.

Zaszyte w muślinowe koperky uszy gotuje się w winie z dodatkiem rosółu przez kilka godzin. Następnie są one nadziewane grasicą cielęcą, kurzą pier-

sią i wątróbką oraz truflami, obtaczane w ubitych białkach i bułce tartej, która musi do nich przywrzeć sama, bez naszej pomocy. W tym celu posypane bułką uszy muszą leżeć na powietrzu (czyli poza lodówką) przez trzy godziny, po czym procedurę się powtarza, lecz tym razem uszy leżą tak przez osiem godzin. Dalej sprawa jest już prosta – smażymy i podajemy z sosem Bearnaise.

Nereczki pana Blooma

Zbliża się Bloomsday, święto entuzjastów „Ulissesa”, którego bohater, pan Bloom, wysoko cenił smak nerek, żołądków, wątróbek i kiszek kaszanych. Jego sposób na nerkę wieprzową był prosty – wrzucić na masło, podsmażyć, obrócić, zająć się czymś innym i zapomnieć o nerce na patelni, w efekcie trochę ją przypalić, potem sól, pieprz, chleb i herbata. Niektórzy czytelnicy „Ulissesa” starają się w Bloomsday jeść to samo co Bloom. Dla tych, którym poranna nerka wieprzowa nie sprawiłaby większej przyjemności, mam alternatywną propozycję: nereczki cielęce z pieczarkami.

Świeże nereczki przepoławiamy wzdłuż. Wyjmujemy gniazdo tłuszczu i kroimy nerki w poprzek na centymetrowe plasterki. Podsmażamy w maśle, soląc i pieprząc, na wysokim ogniu, mieszając drewnianą łyżką, przez dwie minuty do trzech i, póki ich środki są jeszcze różowe, wyjmujemy nerki na durszlak, żeby obciekły, lecz zostawiamy tłuszcz na patelni. 200 gram pieczarek smażymy na tejże patelni, aż płyn, który wydzielił, wyparuje, wyjmujemy z patelni, wrzucamy do niej dwie posiekane szalotki, a po chwili wlewamy pół kieliszeczka koniaku i kieliszek białego wina, drewnianą łyżką zeskrobując, co się da. Kiedy alkohole wyparują, wrzucamy z powrotem pieczarki i wlewamy pół szklanki śmietanki. Gdy odrobinę zgęstnieje, zmniejszamy ogień i wkładamy nerki. Niech się trochę podgrzeją, lecz sos nie powinien zawrzeć. Jeśli jest za gęsty, dolewamy więcej śmietanki.

Pilaw z ryżu bez żadnych dodatków (poza masłem i solą) jest do tak przyrządzonych nerek najważniejszy.

TADEUSZ PIÓRO

LISTY PIECZĘTOWANE SOSEM

Makłowicz do Bikonta

Piotrusiu!

W życiu wiele rzeczy powtarza się niepokojąco. Na przykład taka sytuacja: mam dwie godziny do odjazdu pociągu z Warszawy do Krakowa, udaję się w okolice Dworca Centralnego i poszukuję tam jakiegoś miejsca, by jeszcze coś małego zjeść, godnie doczekawszy ruszenia ekspresu lub InterCity. Wiem, że i Ciebie nieraz dręczyły podobne sceny, a mogą się one brzydko przyśnić. Zagubiony wśród budek na placu Defilad (czy to przerażające miejsce zmieniło swą traumatyczną nazwę?) tyle razy miotałem się rozpaczliwie, by w końcu i tak wylądować w sportowym barze na parterze budynku Marriotta. Od biedy da się w nim coś zjeść, choć przeszkadzają w tym dziesiątki włączonych telewizorów, ustawionych tak sprytnie, że prawie każdy pokazuje co innego. Ale teraz nie muszę już jeść skrzydełek kurczaka, obserwując jednocześnie zawody żużlowe, zmagania hippiczne, mistrzostwa w water polo, Konkurs Czterech Skoczni, mistrzostwa Malezji w boksie i turniej bilardowy w Singapurze. Nie muszę, bo powiedziałeś mi o mullach w restauracji „Chez Lautrec”.

Po stokroć miałeś rację! Ten lokal, położony koło hotelu Holiday Inn, jest piekielnie drogi. Cena mulli w białym winie (59 zł) wielce przesadzona, ale

ich jakość bezbłędna. Duża porcja, skorupiaki najświeższe, mnogość kapitalnego sosiku z czosnkiem i pietruszką. Gdyby się dało, chętnie brałbym trzecią klasę i tłuł się na drewnianej ławce, by móc dokładać do mulli. Na razie myślę o zamianie ekspresów na osobowe.

TWÓJ MUŁO WDZIĘCZNY ROBERT M.



FOT. JUSTYNA WIELKIEWICZ

Bikont do Makłowicza

Szczęśliwy Roberciku!

Ty sobie wcinasz omułki w winie, a ja do nich tęsknię jak pies za kością, zwłaszcza że ostatnim razem musiałem się z „Lautreca” ewakuować pośpiesznie z uwagi na pociąg ekspresowy i nie zdążyłem dojeść swojej porcji do końca. Ja wiem, będą następne mule następnym razem, ale i tych kilkunastu, com je w pośpiechu porzucił, szkoda. Swoją drogą, musisz przyznać, że choć ich cena jest wygórowana, to nie tylko ich jakość, ale i ogromna ilość podanych w żelaznym kociołku masełek w dużym stopniu rekompensuje ekspensą.

Skoro już wspomnieliśmy o trudnościach żywieniowych w okolicy Dworca Centralnego, to pragnę zauważyć, że nie jest to bynajmniej zjawisko w jakiś szczególny sposób charakterystyczne dla Warszawy – tak dzieje się wszędzie, i to nie tylko w Polsce. Bo ja Ci coś powiem: wszystkie koleje świata wraz z przyległościami (dworce) to jedna wielka gastro-mafia, która zmusza miliony podróżnych do żywienia się świństwem, na jakie żaden normalny człowiek nawet by nie spojrział, mając do wyboru choćby świeżą bułkę z masłem. A tu ofert moc – bary, stoiska, wagony restau-

racyjne, a w nich sam koszmar: jeśli kanapki, to koniecznie z czerstwych bułek, jeśli w ogóle posmarowanych, to tylko wstrętną margaryną, jeżeli z serem, to – brr – podlaskim, jeżeli z szynką, to z najgorszych masarni; albo śmierdzące parówki, albo ohydne chipsy, tłuste orzeszki, albo też nieśmiertelny specjal Warszawy – „kielbasa po zbójnicku”. Do picia zateęchła albo rozpuszczalna kawa i ciepłe piwo. I tak jest na całym świecie – jeździłem koleją w Rosji, Chinach i Mongolii, w Niemczech i Ameryce, i zawsze jest mniej więcej tak samo.

Oczywiście, są wyjątki, choć nieliczne, jak ostrygi w „Oyster Bar” na dworcu Grand Central w Nowym Jorku, zresztą nieprzystoicie drogie, podobnie jak u „Lautreca”.

No i jest legenda wytwornych frykasów w Orient Expressie. I niewykluczone, że ta legenda jest wciąż jeszcze żywa. A może byśmy tak – my obaj – wybrali się kiedyś w taką sentymentalną podróż, co?

Twój oddany

BIKONT KOLEJOWY

Kuchnia katalońska

Salvadora Dali



Książka Georga Wetha nie zawiera, ściśle mówiąc, przepisów Dalego. Jest próbą rekonstrukcji dań, które słynny malarz jadł w zaprzyjaźnionych restauracjach w Katalonii, głównie w Figueres, gdzie przyszedł na świat i gdzie znajduje się jego muzeum.

Salvador Dali, *Nature Morte Vivante*

Gusty kulinarne Dalego były cokolwiek ekstrawaganckie, lecz jego ulubione potrawy nie opuszczały kręgu tradycyjnej kuchni katalońskiej. „Można nie jeść w ogóle – powiedział Dali – ale nie można jeść źle”.

Od najmłodszych lat napawał się owocami ziemi i morza, pobudzając zmysłami smaku i węchu pracę wyobraźni. Wyrażając, już w wieku dojrzałym, swoją niechęć do szpinaku, Dali stwierdził, że wszystko, co wiąże się z jedzeniem, ma dla niego „istotną wartość moralną i estetyczną... Jadam tylko to, co ma określoną formę, którą można pojąć intelektem” (dalszy ciąg tego cytatu zamieściłem w tekście o szpinaku, „P” nr 21).

Na starość polubił jednak sałatkę ze szpinaku z olejem orzechowym. Poza szpinakiem są w niej ciecierzycy, jabłka, orzechy laskowe i włoskie. Sos przyrządza się z octu z jabłecznika, oleju z orzechów włoskich i oliwy.

Książka Wetha składa się z czterech jadalnych przepisów, prze-

platanych wspomnieniami autora oraz znajomych Dalego. Jest bogato ilustrowana, poza zdjęciami potraw są w niej reprodukcje obrazów katalońskiego surrealisty. Najbardziej wymyślny, wręcz szokujący zestaw dań to Menu à la Carlos Lozano. Lozano był hipisem z Kolumbii, który zetknął się z Dalim w Paryżu, gdzie występował w musicalu „Hair”. Dali zaprosił go do swojego domu w Port Lligat i po pewnym czasie został on sekretarzem i tutumfackim malarza. Często jadali w restauracji Via Veneto w Barcelonie. Lozano, wegetarianin, z niesmakiem patrzył, jak Dali wypija jako aperitif krew wyciśniętą z wołowej połówki. Krew wyciska się, wkładając połówkę do sokowirówki. Należy ją pić natychmiast, przyprawivszy do smaku solą i pieprzem. Czyżby ten napój był pierwowzorem krwawej mary?

Kolejnym daniem jadłospisu z Via Veneto były kotleciki jagnięce z sosem miętowym. Przygotowujemy je, zalewając szklanką wrzątku garść drobno posie-

kanych liści mięty, następnie dodając cztery łyżki octu winnego, dwie łyżki cukru, sól i pieprz. Wymieszać i ostudzić. Natarte solą i pieprzem kotlety usmażyć w oliwie i podawać z sosem. Kiedy wścibscy dziennikarze nowojorscy zapytali Dalego, czemu na portrecie swojej żony Gali umieścił na jej ramieniu dwa kotlety baranie, odparł, że uwielbia kotlety i uwielbia swoją żonę i nie widzi powodu, żeby nie malować ich razem.

W towarzystwie jarosza Lozano Dali zjadł też kurczaka z ragout ze ślimaków, typową potrawę hiszpańską. Umyte ślimaki winniczki (około kilograma) ugotować we wrzątku z dodatkiem oregano, tymianku, rozmarynu i mięty (stosujemy zioła świeże, nie suszone – po gałzce każdego). Cebulę i dwa ząbki czosnku, posiekane, szklimy w oliwie, dodajemy 50 gramów boczku i jedną wieprzową kiełbaszkę botifarra, także drobno pokrojone, podsmażamy, dodajemy pokrojony w kostkę pomidor, a następnie odcedzone, na miękko ugotowa-

ne ślimaki. Zalewamy wodą, solimy, pieprzymy, dorzucamy szczyptę słodkiej papryki, listek laurowy, dwa goździki, dwie gałzki natki pietruszki oraz strąk suszonej papryki. Gotujemy na wolnym ogniu. Dwie łyżki obranych migdałów podsmażamy i rozgniatamy w moździerzu z ząbkiem czosnku, po czym dodajemy do ślimaków, które gotujemy, aż sos będzie jasny. Tymczasem ćwiartujemy kurczaka, nacieramy solą i pieprzem, obtaczamy w mące, rumienimy ćwiartki w smalcu i podajemy z ragout ze ślimaków.

Na deser – kozi serek z siekanymi migdałami, usmażonymi na patelni bez tłuszczu i lekko skarmelizowanymi dzięki dodatkowi sześciu łyżek miodu, a następnie utartymi na pulchną masę. Na dnie formy kładziemy plasterki sera (typu twarogowego, nie twardego) i trochę masy, powtarzając tak warstwy, aż wypełni się forma, którą chłodzimy przez godzinę. Wyjmujemy z niej deser i podajemy z malinami.

(T. P.)

List (pełen troski) do Sejmu i Senatu Rzeczypospolitej



ANTONI PAWLAK

Rocznik 1952. Poeta. Ale z czegoś trzeba żyć, więc przez lata także dziennikarz, a dziś wydawca.

FOT. JACEK MARCZEWSKI

Szanowni Państwo Posłostwo, Szanowni Państwo Senatorstwo!

Wiadomo, że główną troską Państwa jest dobro naszej Ojczyzny, naszego Narodu oraz to, by zostać wybranym na następną kadencję. I oto – powodowany obywatelską troską – mam pomysł, który pozwoli Wam załatwić te wszystkie rzeczy jednym wyciągnięciem ręki, jednym naciśnięciem guzika, jednym – jakże prostym – głosowaniem. Cóż bowiem jest największą bolączką stosunkowo dużej części narodu? A ściślej tej części, która mieszka w naszej stolicy Warszawie lub Warszawę często – służbowo bądź prywatnie – odwiedza? Otóż główną bolączką tej pokaźnej części Waszego ewentualnego elektoratu są kłopoty komunikacyjne stolicy. Kłopoty, że przypomnę, wynikające głównie z tego, iż stolicę odwiedzają często goście bardziej oficjalni (a to Michael Jackson, a to Bill Clinton, a to Jan Paweł II) oraz mniej oficjalni (a więc głównie protestujący górnicy, rolnicy od Andrzeja Leppera, ligorepublikańscy robotnicy zbrojeniówki, zdeterminowane pielęgniarki lub wreszcie ludzie Zygmunta Wrzodaka z pobliskiego Ursusa). W dniach takich wizyt następuje lekka pa-

nika i kompletna dekompozycja życia w całym mieście. Bo na czas takiej wizyty władze po prostu zamykają kilka ulic i Warszawa staje się nieprzejezdna, ludzie się wszędzie spóźniają, a z tego powodu wyrzekają, a i czasem brzydkim słowem

**Największa
bolączką tej części
narodu, która
mieszka
w Warszawie
lub ją często
odwiedza,
są kłopoty
komunikacyjne
stolicy.**

rzucą. I to, broń Boże, na gości mniej lub bardziej szacownych. Swą niechęć, swą wściekłość i frustrację lud kieruje przeciwko władzy. A więc, nie oszukujmy się, także przeciw Wam.

A przecież, jak wspomniałem, można to załatwić jednym prostym głosowaniem. Wystarczy wszystkie ministerstwa, Sejm, Senat, Pałac Prezydencki i parę innych urzędów wyższej użyteczności publicznej przynieść do, na przykład, Pruszkowa albo Piaseczna. Od Warszawy to niedaleko, a już cała stolica – i jej goście – odetchną. A wtedy te parę milionów ludzi, którzy właśnie odetchnęli, którym oto kamień spadł z ich znużonych serc, swą wdzięczność zwrócą ku Wam, Panowie Posłowie i Panie Posłanki, Panowie Senatorowie i Panie Senatorki. Ergo ochoczo do urn we wrześnieu pobiegną, by na Was właśnie swe oddać głosy.

Liczę na poważne potraktowanie mojej inicjatywy ustawodawczej. Wszak jest ona w naszym wspólnym interesie. Wy ponownie, z mandatu Narodu, zasiądziecie w Sejmie i w Senacie, a ja przestanę się spóźniać na wódkę u Piotra Bratkowskiego.

Szczerze oddany

Antoni Pawlak
(obywatel)



FOT. BOGDAN KRZEL

JERZY STUHR

ZASYPIAM Z CZYSTĄ

Aktor i polonista z wykształcenia, reżyser. Profesor sztuki teatralnej,

b. rektor krakowskiej PWST.

Był członkiem Rady ds. Kultury

przy prezydencie RP,

a od 1998 roku jest członkiem

Europejskiej Akademii Filmowej.

Zagrał w kilkunastu filmach,

m.in. w „Wodzireju” (1978),

„Amatorze” (1979),

„Seksmisji” (1984)

oraz w „Dużym zwierzęciu” (2000),

które również reżyserował.

Autor książek „Sercowa choroba,

czyli moje życie w sztuce”

oraz „Udawać naprawdę”.

Co tutaj robisz?

Trwam.

Najbardziej niedoceniona z twoich zalet?

Wierność.

Pokusa nie do odparcia?

Wycofać się.

Co sprawia, że życie jest wyjątkowe?

Praca.

Gdybyś był psem, kogo byś ugryził?

Samego siebie.

Twoje grzechy główne?

Pycha.

Gdybyś był zegarkiem, na której godzinie byś się zatrzymał?

23.00

Czego powinno nie być?

Glupoty.

Czego masz za dużo?

Popularności.

Pierwsze największe marzenie?

Kochać B. B.

Najbardziej staram się...

...być ojcem.

Co odróżnia człowieka?

Od kogo? Czego?

Ostatnia tęsknota?

Być w domu.

Bez czego nie możesz zasnąć?

Bez kieliszka czystej.

Wyjątek czy reguła?

Wyjątek.

Na co liczysz?

Na siebie.

Kiedy jestem sam...

...czuję się dobrze.

Za co zapłaciłbyś każdą cenę?

Za miłość.

Co podpowiadają Ci złe sity?

Zemstę.

Twój najbardziej zaniedbany talent?

Pisanie.

Jak chciałbyś być zapamiętany?

Jako ojciec wybitnych artystów: Macieja i Marianny.

Co nowego?

Hollywood.

Stuchaj
razem z „P”



CZYM ZASKOCZY NAS ŚWIAT?

V Piknik Naukowy Polskiego Radia BIS odbędzie się 9 czerwca 2001 roku na Rynku Nowego Miasta i Podzamczu w Warszawie.

Organizatorem pikniku jest Polskie Radio BIS, jedyny program poznawczy i edukacyjny wśród polskich mediów elektronicznych.

Pierwszy Piknik Naukowy Polskiego Radia BIS odbył się w 1997 roku i chociaż organizowało go zaledwie kilka instytucji, już wtedy sukces był ogromny. Na Rynku Nowego Miasta zebrało się około pięciu tysięcy ludzi. Z roku na rok zarówno instytucji organizujących jak i uczestników przybywa. W ubiegłym roku w pikniku uczestniczyło ponad 30 tysięcy ludzi i siedemdziesiąt instytucji.

Podczas tegorocznego pikniku, zatytułowanego „Czym zaskoczy nas świat?”, grono ponad dwustu naukowców, reprezentujących blisko siedemdziesiąt instytucji, podejmie próbę prognozowania kierunków rozwoju reprezentowanych przez nich dziedzin nauki i udowodni, że nauka ma jeszcze wiele do odkrycia.

W trakcie pikniku uczestnicy zobaczą to, co niewidzialne: jądro atomu węgla w dziesięcioblińowym powiększeniu albo szklaną różę, która na co dzień wyrasta tylko w laboratoriach naukowych. Będzie można obejrzeć samoloty bezpilotowe, które wywalczyły dla Polaków puchar świata w konkursie Aero Design 2001 w Orlando na Florydzie.

Zainteresowani archeologią będą mogli wziąć udział w pokazie wytopu żelaza, rekonstrukcji dawnych warsztatów rzemieślniczych i szybkim kursie metod wykopaliskowych. Na oczach gości naukowcy zrekonstruują czaszkę triasowego gada.

Lekarze będą mierzyć ciśnienie krwi i poziom cholesterolu. Ocenia pracę serca podczas wyścigu. Każdy będzie mógł spróbować swoich sił w jeździe na szkieletnym rowerze.

Dla młodych przygotowano konkurs na fotoreportaż i reportaży z pikniku. Ponadto odbędą się konkursy dla internautów oraz happening artystyczny „Życie codzienne w kosmosie w XXI wieku”.

Podczas pikniku będą także podjęte próby zmiany ortografii. Zostaną zaproponowane nietypowe formy nauki, i to nie tylko szybkiego czytania.

Pokazy i doświadczenia piknikowe obejrzy ponad 30 tysięcy osób. Znacznie większa grupa odbiorców zapozna się z imprezą za pośrednictwem transmisji w Polskim Radiu BIS, relacji telewizyjnych oraz Internetu.

Transmisja z Rynku Nowego Miasta w Polskim Radiu BIS od godz. 11.00 do 20.00 w następujących blokach programowych:

*** godz. 11.00–11.55:** Ekspedycja do wnętrza wulkanu (lodowa ręka, rakietka na ciekły azot, niebieska optoelektronika, GaN i diamentowe ostrze, wyścigi samochodów na suficie, lasery bez tajemnic),

*** godz. 12.00–13.00:** Podróż przez wieki (czaszka gada w wosku, prażenie rudy żelaza, gra planszowa z Seraksy, czajhana arabska, turnieje rycerskie, średniowieczna mennica, Warszawa w stereoskopie),

*** godz. 13.00–13.55:** Kropla materii jądrowej (celuj w jądro atomu, nieposłuszny walec, dziwny bilard, membrany trekowe, promieniowanie z ziemi i kosmosu, światłowody w głębie),

*** godz. 14.00–15.00:** Wizja wiecznej młodości (nieśmiertelne komórki, genetyka miążdżycy, trenerzy wioślarskie, jego wysokość wzrost, badania dla chorych i zdrowych, i ty możesz mieć nadciśnienie),

*** godz. 15.00–15.35:** Cyberjazda (malowane galaktyki, dżdżownica i szklane domy, krzyżówki w kawiarence dla internautów, modele pływające i latające, inernetowy autobus, teatr bez kota, cykliski na trzech kółkach),

*** godz. 16.00–17.00:** Czas kosmosu (lunety i mikroskopy, misja na Merkurego, warstwy nie do zdarcia, balony i poduszki, wirtualne muzeum kosmiczne, szybowce i małe samoloty),

*** godz. 17.00–17.55:** Korowód wędrownych nauczycieli (graficzne kalkulatory, wyszywaniki matematyczne, mistrzowie szybkiego czytania, nowa ortografia, pismo klinowe, szkoła języka akadyjskiego),

*** godz. 18.00–19.00:** Niewidzialne więzi (doskonała symetria, metal, który pamięta, tropem katastrofy, fala na drabinie, człowiek jako elektrolit, elektryczne siodło),

*** godz. 19.00–20.00:** Rzymianie i barbarzyńcy (tysiącletnia studnia, na bursztynowym szlaku, barbarzyński złotnik, kuchnia rzymska, żywy wojownik Mahdiego, w pustyni i w puszczy).

W piątej edycji Pikniku Naukowego Polskiego Radia BIS atrakcji nie zabraknie. POLSKIE RADIO BIS ZAPRASZA!

MAGICAL



MAGICAL zniweluje skutki nadużywania alkoholu, kawy, papierosów oraz przewlekłego stresu.

Magnez i Wapń - jedne z najważniejszych mikroelementów współpracują dla Twojego zdrowia w nowym preparacie szwedzkiej firmy NATURELL AB.

MAGICAL zalecany w stanach zmęczenia fizycznego i psychicznego, zwiększa odporność na stres, wzmacnia układ kostny i nerwowy, zapobiega miażdżycy, reguluje rytm serca.

**40 i 120 tabletek
MAGNEZ + WAPŃ
1000 mg
tabletki powlekane
o przedłużonym działaniu**

MAGICAL dostępny jest w aptekach i sklepach zielarskich bez recepty.



*Każde spotkanie !!
Zatańc'!
Zadzwoń'!!!*

i po zabawie...
i na stres

Producent: NATURELL AB SZWECJA

Dystrybutor: NATURELL POLSKA Sp. z o. o.
31-435 Kraków, ul. Partyzantów 14, tel./fax (012) 411 01 55,
tel. (012) 417 26 52, e-mail: info@naturell.pl, www.naturell.pl

NOTKI I PLOTKI



FOT. AGENCIA PEPIWA

CATHERINE ZETA-JONES ZWYCIĘŻYŁA w dorocznym rankingu „People” na najpiękniejszą sławną osobę roku 2001. Plebiscyt budził wielkie emocje wśród aktorów, sportowców, muzyków, ludzi świata mody. Amerykański magazyn „People” po raz szósty wyróżnił również Julię Roberts, a po raz piąty George’a Clooneya.

STELLA MCCARTNEY ZAPROJEKTOWAŁA kostiumy kąpielowe w tropikalne owoce, soczyste ananasy, kwaśne cytryny, zmysłowe słodkie wiśnie. Stella jest główną projektantką firmy Chloe. Córka Paula i Lindy, laureatka prestiżowej nagrody Vogue Fashion Award za rok 2000, swoim pokazem mody na sezon wiosna-lato 2001 spowodowała, że świat oszalał na punkcie egzotyki.

CHER WCIĄŻ MŁODA. Dla tej znanej amerykańskiej aktorki i wokalistki czas zatrzymał się w miejscu, choć ma już 55 lat. Gwiazda chyba sama nie pamięta, ile przeszła operacji upiększających. Tym razem dała zarobić również stomatologom. Za jedyne 30 tys. dolarów Cher sprawiła sobie nowy



uśmiech. Pokryła zęby porcelanową, śnieżnobiałą powierzchnią, maskując pod nią ciemny nalot powstały na skutek picia nieprawdopodobnych ilości herbaty. (PG)



FOT. EAST NEWS (2)



myśli LUDZI WIELKICH, ŚREDNICH I PSYCHICZNYCH

Zaden mężczyzna nie ma szczęścia do kobiet. Ważne tylko, by nie robić z tego dramatu.

Jean Anouilh

Definicja jest czymś nadzwyczaj osobliwym. Tłumaczy rzecz zrozumiałą dwiema rzeczami niezrozumiałymi.

Henryk Elzenberg

Podawaj zawsze tylko jedną rzecz na swoje usprawiedliwienie.

Georges Simenon

Pisarze budują zamki na lodzie, czytelnicy w nich mieszkają, a wydawcy pobierają czynsze.

Maksym Gorki

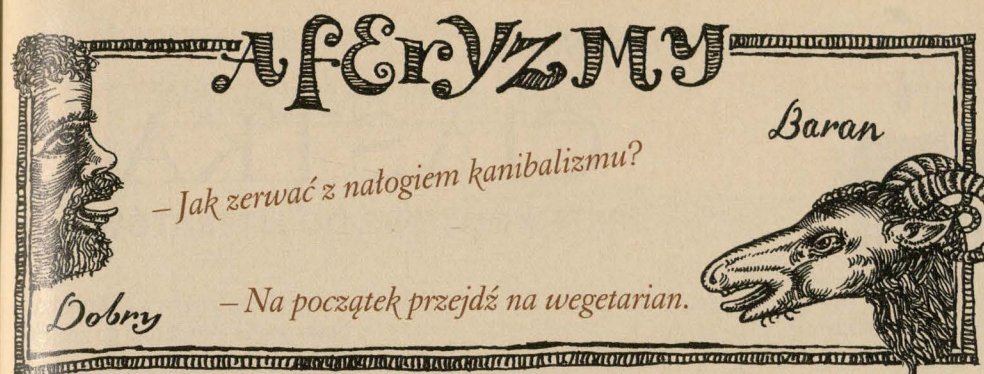
Nie bądźcie przesądni, to przynosi nieszczęście.

Tristan Bernard

Jedzenie lodów skłania mnie do rozmyślań.

Ulubiony cytat Kreci P.

Myśli zebrała Stella Varcaby



– Jak zerwać z nalogiem kanibalizmu?

Dobry

– Na początek przejdź na wegetarian.

Myszkin w kawałkach

Co w muzeach jest, nie wiadomo. Najpierw jest to, czego tam nie ma, to nie wiadomo, gdzie jest. Dalej jest to, co jest, ale nikt tego nie czyta, to nie wiadomo, po co są katalogi. Jest też to, czego nie opisano, to jak to przeczytać? A jak coś jest na ścianie, to nie wiadomo dla czego. Obrazy na przykład trzyma się, bo są ładne. Są takie dzieci, które cieszą się plakatami z okładek płyt CD i kaset wideo. Chyba jednak nie po to w pudełku jest jakaś historia, żeby oglądać okładkę. No ale święte obrazki też nie są Panem Bogiem, to już tak jest, że w muzeach jest jak na śmietniku, tylko odkurzone. Jak w głowie, tylko nawet wejścia nie ma, to nic się nie zmienia. Co nie znaczy, że w głowach widać

jakiś doznawanie. Po co, skoro jest tam śliczna ścieżka dla natrętów – co wchodzi, to po matrycy się przeprowadza i nic do niej nie pasuje, to za drzwiami. Płac i zgrzytanie zębów, natręcie, który siedzisz w bibliotece i tak sobie myślisz, że jak coś jest napisane, to raczej gdzieś to jest, niż jest schowane. Prawdę mówiąc, wydawało mi się, że lepiej nic nie przeglądać, tylko obrazki, ale raz byłem w muzeum i to co innego. W muzeum nic nie słychać, a w bibliotece to literki gadają. Dlatego w muzeach nie wystawia się książek, a jeśli już to karty tytułowe, to sobie można odpisać i przeczytać w bibliotece. Sam nie wiem, czy chciałbym być w muzeum, czy w bibliotece, to jeszcze się dowiem. **MYSZKIN**



FOT. EPANFORUM

Wyteż wzrok i co tam jeszcze masz

Wyteżając wzrok oraz co tam jeszcze masz, przyjrzyj się załączonej fotografii i postaraj się odpowiedzieć na poniższe pytania. Jeśli pierwsze okaże się za trudne, weź się za drugie, itd. Gdyby wzrok lub co innego Cię zawiodło, pozostaje jeszcze pytanie pocieszenia.

PYTAŃIA

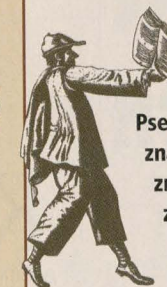
1. (uczucie trudnej sztuki wyboru): Co robi postać ludzka w kapeluszu?
a) idzie, b) rzuca cię na ideę olimpijską, c) rzuca się w oczy.
2. (łatwiejsze): Czy, wiedząc, że zdjęcie zrobiono we wrześniu w Sydney, możemy ustalić, o jakiej porze doby nie zostało zrobione?
3. (pocieszenia): Kiedy odbędzie się następna olimpiada niezimowa, skoro ta w Sydney odbyła się w roku 2000?
4. (swobodne): Co symbolizuje ludzka postać w kapeluszu?
(b) osamotnienie i jedynostkę, (c) kondygnację i jedynostkę, (d) kondygnację i jedynostkę, (e) kondygnację i jedynostkę, (f) kondygnację i jedynostkę, (g) kondygnację i jedynostkę, (h) kondygnację i jedynostkę, (i) kondygnację i jedynostkę, (j) kondygnację i jedynostkę, (k) kondygnację i jedynostkę, (l) kondygnację i jedynostkę, (m) kondygnację i jedynostkę, (n) kondygnację i jedynostkę, (o) kondygnację i jedynostkę, (p) kondygnację i jedynostkę, (q) kondygnację i jedynostkę, (r) kondygnację i jedynostkę, (s) kondygnację i jedynostkę, (t) kondygnację i jedynostkę, (u) kondygnację i jedynostkę, (v) kondygnację i jedynostkę, (w) kondygnację i jedynostkę, (x) kondygnację i jedynostkę, (y) kondygnację i jedynostkę, (z) kondygnację i jedynostkę.

© MARCIN MACIEJOWSKI

TU ŻYJĘ I TU JEST MI DOBRZE



TRUJ-BUJ LITERACKI



Za zamieszczonym poniżej nieznanym fragmentem pseudoliterackim autorstwa pseudonima Anonima ukrywa się znany fragment literacki autorstwa znanego literata. Należy się z nim zapoznać, a następnie odpowiedzieć na trzy pytania. Pytanie pierwsze: jak nazywa się ten literat? Pytanie drugie:

jaki tytuł ma literacki oryginał? Pytanie trzecie: w ilu stąpaniach schodził język wzdłuż podniebienia?

Bolek, słoneczko mojej egzystencji, podpalacz mojej namiętności. Moja pokuso, moje natchnienie. Bo-lek: jak wybuch spomędzy warg zlagodzony na końcu bezdźwięczną spółgłoską. Bo. Lek. Bolo, po prostu Bolo, tak go nazywałam, gdy po południu chrapał na otomanie, metr osiemdziesiąt pięć, bez kapelusza. Boluś na grzybach. W klubie seniora nazywali go Bolko. W urzędowych papierach podpisywał się Bolesław. A w moim uścisku zawsze Bolek. Być może w ogóle nie byłoby Bolka, gdybym nie była pokochała którejś jesieni tamtego pierwszego emeryta.

Rozwiązanie: 1. Władimir Nabokov; 2. „Lolita”; 3. w trzech stąpaniach; 4. „Lolita”; 5. „Lolita”; 6. „Lolita”; 7. „Lolita”; 8. „Lolita”; 9. „Lolita”; 10. „Lolita”; 11. „Lolita”; 12. „Lolita”; 13. „Lolita”; 14. „Lolita”; 15. „Lolita”; 16. „Lolita”; 17. „Lolita”; 18. „Lolita”; 19. „Lolita”; 20. „Lolita”; 21. „Lolita”; 22. „Lolita”; 23. „Lolita”; 24. „Lolita”; 25. „Lolita”; 26. „Lolita”; 27. „Lolita”; 28. „Lolita”; 29. „Lolita”; 30. „Lolita”; 31. „Lolita”; 32. „Lolita”; 33. „Lolita”; 34. „Lolita”; 35. „Lolita”; 36. „Lolita”; 37. „Lolita”; 38. „Lolita”; 39. „Lolita”; 40. „Lolita”; 41. „Lolita”; 42. „Lolita”; 43. „Lolita”; 44. „Lolita”; 45. „Lolita”; 46. „Lolita”; 47. „Lolita”; 48. „Lolita”; 49. „Lolita”; 50. „Lolita”; 51. „Lolita”; 52. „Lolita”; 53. „Lolita”; 54. „Lolita”; 55. „Lolita”; 56. „Lolita”; 57. „Lolita”; 58. „Lolita”; 59. „Lolita”; 60. „Lolita”; 61. „Lolita”; 62. „Lolita”; 63. „Lolita”; 64. „Lolita”; 65. „Lolita”; 66. „Lolita”; 67. „Lolita”; 68. „Lolita”; 69. „Lolita”; 70. „Lolita”; 71. „Lolita”; 72. „Lolita”; 73. „Lolita”; 74. „Lolita”; 75. „Lolita”; 76. „Lolita”; 77. „Lolita”; 78. „Lolita”; 79. „Lolita”; 80. „Lolita”; 81. „Lolita”; 82. „Lolita”; 83. „Lolita”; 84. „Lolita”; 85. „Lolita”; 86. „Lolita”; 87. „Lolita”; 88. „Lolita”; 89. „Lolita”; 90. „Lolita”; 91. „Lolita”; 92. „Lolita”; 93. „Lolita”; 94. „Lolita”; 95. „Lolita”; 96. „Lolita”; 97. „Lolita”; 98. „Lolita”; 99. „Lolita”; 100. „Lolita”; 101. „Lolita”; 102. „Lolita”; 103. „Lolita”; 104. „Lolita”; 105. „Lolita”; 106. „Lolita”; 107. „Lolita”; 108. „Lolita”; 109. „Lolita”; 110. „Lolita”; 111. „Lolita”; 112. „Lolita”; 113. „Lolita”; 114. „Lolita”; 115. „Lolita”; 116. „Lolita”; 117. „Lolita”; 118. „Lolita”; 119. „Lolita”; 120. „Lolita”; 121. „Lolita”; 122. „Lolita”; 123. „Lolita”; 124. „Lolita”; 125. „Lolita”; 126. „Lolita”; 127. „Lolita”; 128. „Lolita”; 129. „Lolita”; 130. „Lolita”; 131. „Lolita”; 132. „Lolita”; 133. „Lolita”; 134. „Lolita”; 135. „Lolita”; 136. „Lolita”; 137. „Lolita”; 138. „Lolita”; 139. „Lolita”; 140. „Lolita”; 141. „Lolita”; 142. „Lolita”; 143. „Lolita”; 144. „Lolita”; 145. „Lolita”; 146. „Lolita”; 147. „Lolita”; 148. „Lolita”; 149. „Lolita”; 150. „Lolita”; 151. „Lolita”; 152. „Lolita”; 153. „Lolita”; 154. „Lolita”; 155. „Lolita”; 156. „Lolita”; 157. „Lolita”; 158. „Lolita”; 159. „Lolita”; 160. „Lolita”; 161. „Lolita”; 162. „Lolita”; 163. „Lolita”; 164. „Lolita”; 165. „Lolita”; 166. „Lolita”; 167. „Lolita”; 168. „Lolita”; 169. „Lolita”; 170. „Lolita”; 171. „Lolita”; 172. „Lolita”; 173. „Lolita”; 174. „Lolita”; 175. „Lolita”; 176. „Lolita”; 177. „Lolita”; 178. „Lolita”; 179. „Lolita”; 180. „Lolita”; 181. „Lolita”; 182. „Lolita”; 183. „Lolita”; 184. „Lolita”; 185. „Lolita”; 186. „Lolita”; 187. „Lolita”; 188. „Lolita”; 189. „Lolita”; 190. „Lolita”; 191. „Lolita”; 192. „Lolita”; 193. „Lolita”; 194. „Lolita”; 195. „Lolita”; 196. „Lolita”; 197. „Lolita”; 198. „Lolita”; 199. „Lolita”; 200. „Lolita”; 201. „Lolita”; 202. „Lolita”; 203. „Lolita”; 204. „Lolita”; 205. „Lolita”; 206. „Lolita”; 207. „Lolita”; 208. „Lolita”; 209. „Lolita”; 210. „Lolita”; 211. „Lolita”; 212. „Lolita”; 213. „Lolita”; 214. „Lolita”; 215. „Lolita”; 216. „Lolita”; 217. „Lolita”; 218. „Lolita”; 219. „Lolita”; 220. „Lolita”; 221. „Lolita”; 222. „Lolita”; 223. „Lolita”; 224. „Lolita”; 225. „Lolita”; 226. „Lolita”; 227. „Lolita”; 228. „Lolita”; 229. „Lolita”; 230. „Lolita”; 231. „Lolita”; 232. „Lolita”; 233. „Lolita”; 234. „Lolita”; 235. „Lolita”; 236. „Lolita”; 237. „Lolita”; 238. „Lolita”; 239. „Lolita”; 240. „Lolita”; 241. „Lolita”; 242. „Lolita”; 243. „Lolita”; 244. „Lolita”; 245. „Lolita”; 246. „Lolita”; 247. „Lolita”; 248. „Lolita”; 249. „Lolita”; 250. „Lolita”; 251. „Lolita”; 252. „Lolita”; 253. „Lolita”; 254. „Lolita”; 255. „Lolita”; 256. „Lolita”; 257. „Lolita”; 258. „Lolita”; 259. „Lolita”; 260. „Lolita”; 261. „Lolita”; 262. „Lolita”; 263. „Lolita”; 264. „Lolita”; 265. „Lolita”; 266. „Lolita”; 267. „Lolita”; 268. „Lolita”; 269. „Lolita”; 270. „Lolita”; 271. „Lolita”; 272. „Lolita”; 273. „Lolita”; 274. „Lolita”; 275. „Lolita”; 276. „Lolita”; 277. „Lolita”; 278. „Lolita”; 279. „Lolita”; 280. „Lolita”; 281. „Lolita”; 282. „Lolita”; 283. „Lolita”; 284. „Lolita”; 285. „Lolita”; 286. „Lolita”; 287. „Lolita”; 288. „Lolita”; 289. „Lolita”; 290. „Lolita”; 291. „Lolita”; 292. „Lolita”; 293. „Lolita”; 294. „Lolita”; 295. „Lolita”; 296. „Lolita”; 297. „Lolita”; 298. „Lolita”; 299. „Lolita”; 300. „Lolita”; 301. „Lolita”; 302. „Lolita”; 303. „Lolita”; 304. „Lolita”; 305. „Lolita”; 306. „Lolita”; 307. „Lolita”; 308. „Lolita”; 309. „Lolita”; 310. „Lolita”; 311. „Lolita”; 312. „Lolita”; 313. „Lolita”; 314. „Lolita”; 315. „Lolita”; 316. „Lolita”; 317. „Lolita”; 318. „Lolita”; 319. „Lolita”; 320. „Lolita”; 321. „Lolita”; 322. „Lolita”; 323. „Lolita”; 324. „Lolita”; 325. „Lolita”; 326. „Lolita”; 327. „Lolita”; 328. „Lolita”; 329. „Lolita”; 330. „Lolita”; 331. „Lolita”; 332. „Lolita”; 333. „Lolita”; 334. „Lolita”; 335. „Lolita”; 336. „Lolita”; 337. „Lolita”; 338. „Lolita”; 339. „Lolita”; 340. „Lolita”; 341. „Lolita”; 342. „Lolita”; 343. „Lolita”; 344. „Lolita”; 345. „Lolita”; 346. „Lolita”; 347. „Lolita”; 348. „Lolita”; 349. „Lolita”; 350. „Lolita”; 351. „Lolita”; 352. „Lolita”; 353. „Lolita”; 354. „Lolita”; 355. „Lolita”; 356. „Lolita”; 357. „Lolita”; 358. „Lolita”; 359. „Lolita”; 360. „Lolita”; 361. „Lolita”; 362. „Lolita”; 363. „Lolita”; 364. „Lolita”; 365. „Lolita”; 366. „Lolita”; 367. „Lolita”; 368. „Lolita”; 369. „Lolita”; 370. „Lolita”; 371. „Lolita”; 372. „Lolita”; 373. „Lolita”; 374. „Lolita”; 375. „Lolita”; 376. „Lolita”; 377. „Lolita”; 378. „Lolita”; 379. „Lolita”; 380. „Lolita”; 381. „Lolita”; 382. „Lolita”; 383. „Lolita”; 384. „Lolita”; 385. „Lolita”; 386. „Lolita”; 387. „Lolita”; 388. „Lolita”; 389. „Lolita”; 390. „Lolita”; 391. „Lolita”; 392. „Lolita”; 393. „Lolita”; 394. „Lolita”; 395. „Lolita”; 396. „Lolita”; 397. „Lolita”; 398. „Lolita”; 399. „Lolita”; 400. „Lolita”; 401. „Lolita”; 402. „Lolita”; 403. „Lolita”; 404. „Lolita”; 405. „Lolita”; 406. „Lolita”; 407. „Lolita”; 408. „Lolita”; 409. „Lolita”; 410. „Lolita”; 411. „Lolita”; 412. „Lolita”; 413. „Lolita”; 414. „Lolita”; 415. „Lolita”; 416. „Lolita”; 417. „Lolita”; 418. „Lolita”; 419. „Lolita”; 420. „Lolita”; 421. „Lolita”; 422. „Lolita”; 423. „Lolita”; 424. „Lolita”; 425. „Lolita”; 426. „Lolita”; 427. „Lolita”; 428. „Lolita”; 429. „Lolita”; 430. „Lolita”; 431. „Lolita”; 432. „Lolita”; 433. „Lolita”; 434. „Lolita”; 435. „Lolita”; 436. „Lolita”; 437. „Lolita”; 438. „Lolita”; 439. „Lolita”; 440. „Lolita”; 441. „Lolita”; 442. „Lolita”; 443. „Lolita”; 444. „Lolita”; 445. „Lolita”; 446. „Lolita”; 447. „Lolita”; 448. „Lolita”; 449. „Lolita”; 450. „Lolita”; 451. „Lolita”; 452. „Lolita”; 453. „Lolita”; 454. „Lolita”; 455. „Lolita”; 456. „Lolita”; 457. „Lolita”; 458. „Lolita”; 459. „Lolita”; 460. „Lolita”; 461. „Lolita”; 462. „Lolita”; 463. „Lolita”; 464. „Lolita”; 465. „Lolita”; 466. „Lolita”; 467. „Lolita”; 468. „Lolita”; 469. „Lolita”; 470. „Lolita”; 471. „Lolita”; 472. „Lolita”; 473. „Lolita”; 474. „Lolita”; 475. „Lolita”; 476. „Lolita”; 477. „Lolita”; 478. „Lolita”; 479. „Lolita”; 480. „Lolita”; 481. „Lolita”; 482. „Lolita”; 483. „Lolita”; 484. „Lolita”; 485. „Lolita”; 486. „Lolita”; 487. „Lolita”; 488. „Lolita”; 489. „Lolita”; 490. „Lolita”; 491. „Lolita”; 492. „Lolita”; 493. „Lolita”; 494. „Lolita”; 495. „Lolita”; 496. „Lolita”; 497. „Lolita”; 498. „Lolita”; 499. „Lolita”; 500. „Lolita”; 501. „Lolita”; 502. „Lolita”; 503. „Lolita”; 504. „Lolita”; 505. „Lolita”; 506. „Lolita”; 507. „Lolita”; 508. „Lolita”; 509. „Lolita”; 510. „Lolita”; 511. „Lolita”; 512. „Lolita”; 513. „Lolita”; 514. „Lolita”; 515. „Lolita”; 516. „Lolita”; 517. „Lolita”; 518. „Lolita”; 519. „Lolita”; 520. „Lolita”; 521. „Lolita”; 522. „Lolita”; 523. „Lolita”; 524. „Lolita”; 525. „Lolita”; 526. „Lolita”; 527. „Lolita”; 528. „Lolita”; 529. „Lolita”; 530. „Lolita”; 531. „Lolita”; 532. „Lolita”; 533. „Lolita”; 534. „Lolita”; 535. „Lolita”; 536. „Lolita”; 537. „Lolita”; 538. „Lolita”; 539. „Lolita”; 540. „Lolita”; 541. „Lolita”; 542. „Lolita”; 543. „Lolita”; 544. „Lolita”; 545. „Lolita”; 546. „Lolita”; 547. „Lolita”; 548. „Lolita”; 549. „Lolita”; 550. „Lolita”; 551. „Lolita”; 552. „Lolita”; 553. „Lolita”; 554. „Lolita”; 555. „Lolita”; 556. „Lolita”; 557. „Lolita”; 558. „Lolita”; 559. „Lolita”; 560. „Lolita”; 561. „Lolita”; 562. „Lolita”; 563. „Lolita”; 564. „Lolita”; 565. „Lolita”; 566. „Lolita”; 567. „Lolita”; 568. „Lolita”; 569. „Lolita”; 570. „Lolita”; 571. „Lolita”; 572. „Lolita”; 573. „Lolita”; 574. „Lolita”; 575. „Lolita”; 576. „Lolita”; 577. „Lolita”; 578. „Lolita”; 579. „Lolita”; 580. „Lolita”; 581. „Lolita”; 582. „Lolita”; 583. „Lolita”; 584. „Lolita”; 585. „Lolita”; 586. „Lolita”; 587. „Lolita”; 588. „Lolita”; 589. „Lolita”; 590. „Lolita”; 591. „Lolita”; 592. „Lolita”; 593. „Lolita”; 594. „Lolita”; 595. „Lolita”; 596. „Lolita”; 597. „Lolita”; 598. „Lolita”; 599. „Lolita”; 600. „Lolita”; 601. „Lolita”; 602. „Lolita”; 603. „Lolita”; 604. „Lolita”; 605. „Lolita”; 606. „Lolita”; 607. „Lolita”; 608. „Lolita”; 609. „Lolita”; 610. „Lolita”; 611. „Lolita”; 612. „Lolita”; 613. „Lolita”; 614. „Lolita”; 615. „Lolita”; 616. „Lolita”; 617. „Lolita”; 618. „Lolita”; 619. „Lolita”; 620. „Lolita”; 621. „Lolita”; 622. „Lolita”; 623. „Lolita”; 624. „Lolita”; 625. „Lolita”; 626. „Lolita”; 627. „Lolita”; 628. „Lolita”; 629. „Lolita”; 630. „Lolita”; 631. „Lolita”; 632. „Lolita”; 633. „Lolita”; 634. „Lolita”; 635. „Lolita”; 636. „Lolita”; 637. „Lolita”; 638. „Lolita”; 639. „Lolita”; 640. „Lolita”; 641. „Lolita”; 642. „Lolita”; 643. „Lolita”; 644. „Lolita”; 645. „Lolita”; 646. „Lolita”; 647. „Lolita”; 648. „Lolita”; 649. „Lolita”; 650. „Lolita”; 651. „Lolita”; 652. „Lolita”; 653. „Lolita”; 654. „Lolita”; 655. „Lolita”; 656. „Lolita”; 657. „Lolita”; 658. „Lolita”; 659. „Lolita”; 660. „Lolita”; 661. „Lolita”; 662. „Lolita”; 663. „Lolita”; 664. „Lolita”; 665. „Lolita”; 666. „Lolita”; 667. „Lolita”; 668. „Lolita”; 669. „Lolita”; 670. „Lolita”; 671. „Lolita”; 672. „Lolita”; 673. „Lolita”; 674. „Lolita”; 675. „Lolita”; 676. „Lolita”; 677. „Lolita”; 678. „Lolita”; 679. „Lolita”; 680. „Lolita”; 681. „Lolita”; 682. „Lolita”; 683. „Lolita”; 684. „Lolita”; 685. „Lolita”; 686. „Lolita”; 687. „Lolita”; 688. „Lolita”; 689. „Lolita”; 690. „Lolita”; 691. „Lolita”; 692. „Lolita”; 693. „Lolita”; 694. „Lolita”; 695. „Lolita”; 696. „Lolita”; 697. „Lolita”; 698. „Lolita”; 699. „Lolita”; 700. „Lolita”; 701. „Lolita”; 702. „Lolita”; 703. „Lolita”; 704. „Lolita”; 705. „Lolita”; 706. „Lolita”; 707. „Lolita”; 708. „Lolita”; 709. „Lolita”; 710. „Lolita”; 711. „Lolita”; 712. „Lolita”; 713. „Lolita”; 714. „Lolita”; 715. „Lolita”; 716. „Lolita”; 717. „Lolita”; 718. „Lolita”; 719. „Lolita”; 720. „Lolita”; 721. „Lolita”; 722. „Lolita”; 723. „Lolita”; 724. „Lolita”; 725. „Lolita”; 726. „Lolita”; 727. „Lolita”; 728. „Lolita”; 729. „Lolita”; 730. „Lolita”; 731. „Lolita”; 732. „Lolita”; 733. „Lolita”; 734. „Lolita”; 735. „Lolita”; 736. „Lolita”; 737. „Lolita”; 738. „Lolita”; 739. „Lolita”; 740. „Lolita”; 741. „Lolita”; 742. „Lolita”; 743. „Lolita”; 744. „Lolita”; 745. „Lolita”; 746. „Lolita”; 747. „Lolita”; 748. „Lolita”; 749. „Lolita”; 750. „Lolita”; 751. „Lolita”; 752. „Lolita”; 753. „Lolita”; 754. „Lolita”; 755. „Lolita”; 756. „Lolita”; 757. „Lolita”; 758. „Lolita”; 759. „Lolita”; 760. „Lolita”; 761. „Lolita”; 762. „Lolita”; 763. „Lolita”; 764. „Lolita”; 765. „Lolita”; 766. „Lolita”; 767. „Lolita”; 768. „Lolita”; 769. „Lolita”; 770. „Lolita”; 771. „Lolita”; 772. „Lolita”; 773. „Lolita”; 774. „Lolita”; 775. „Lolita”; 776. „Lolita”; 777. „Lolita”; 778. „Lolita”; 779. „Lolita”; 780. „Lolita”; 781. „Lolita”; 782. „Lolita”; 783. „Lolita”; 784. „Lolita”; 785. „Lolita”; 786. „Lolita”; 787. „Lolita”; 788. „Lolita”; 789. „Lolita”; 790. „Lolita”; 791. „Lolita”; 792. „Lolita”; 793. „Lolita”; 794. „Lolita”; 795. „Lolita”; 796. „Lolita”; 797. „Lolita”; 798. „Lolita”; 799. „Lolita”; 800. „Lolita”; 801. „Lolita”; 802. „Lolita”; 803. „Lolita”; 804. „Lolita”; 805. „Lolita”; 806. „Lolita”; 807. „Lolita”; 808. „Lolita”; 809. „Lolita”; 810. „Lolita”; 811. „Lolita”; 812. „Lolita”; 813. „Lolita”; 814. „Lolita”; 815. „Lolita”; 816. „Lolita”; 817. „Lolita”; 818. „Lolita”; 819. „Lolita”; 820. „Lolita”; 821. „Lolita”; 822. „Lolita”; 823. „Lolita”; 824. „Lolita”; 825. „Lolita”; 826. „Lolita”; 827. „Lolita”; 828. „Lolita”; 829. „Lolita”; 830. „Lolita”; 831. „Lolita”; 832. „Lolita”; 833. „Lolita”; 834. „Lolita”; 835. „Lolita”; 836. „Lolita”; 837. „Lolita”; 838. „Lolita”; 839. „Lolita”; 840. „Lolita”; 841. „Lolita”; 842. „Lolita”; 843. „Lolita”; 844. „Lolita”; 845. „Lolita”; 846. „Lolita”; 847. „Lolita”; 848. „Lolita”; 849. „Lolita”; 850. „Lolita”;



STEFAN OTWINOWSKI

CIASTKA (PRZEMÓWIENIE DO LITERATÓW)

Koledzy! Jest dobrze – ale jeśli się nie opamiętacie, będzie jeszcze gorzej. Ja wam to mówię. Wracam z Myślenic. W Myślenicach chłopci myślą tak: Polska potrzebuje chleba. Koledzy! Polska potrzebuje chleba, a chleba w Polsce nie ma – są ciastka. Koledzy, wy jesteście te ciastka. Weźmy tak: Polska potrzebuje kartofli, a kartofli w Polsce nie ma – są ciastka! Od literatów wymaga się dużo, ale ciastek nam nie potrzeba. Opamiętajcie się. Kiedy wracam z Myślenic do Krakowa, myślę sobie – nie jest dobrze. Idę ulicą Szewską, patrzę w prawo: ciastka. Myślę sobie, nic dziwnego: ciastka. Patrzę w lewo, o choroba, jest źle: ciastka. Idę ulicą Karmelicką. Patrzę w prawo: ciastka, patrzę w lewo... nie, nie koledzy, nie jest dobrze!

Idę ulicą Sobieskiego. Ulicą Sobieskiego – auta. Koledzy, w Polsce są auta, ale w Polsce nie ma krów. Wy musicie wykształcić te krowy, uformować te krowy. Wy musicie z ciastek zrobić chleb, a z samochodów krowy. Polska potrzebuje krów. Krowy!

Idę ulicą Słowackiego: radio. W Krakowie jest radio, ale w Polsce nie ma skrzypiec. Wieś nie ma skrzypiec. Koledzy, wy musicie zrobić te skrzypce. Koledzy, od was się dużo wymaga: musicie grać na skrzypcach. Polska potrzebuje skrzypiec.

Idę ulicą Szopena – w oknach kwiaty. Koledzy, nie jest dobrze. Polska potrzebuje żyta, a w Polsce rosną bławatki. Wy jesteście te bławatki. Koledzy, od was się dużo wymaga: wy z tych bławatków musicie zrobić materiały bławatne.

Idę ulicą Długą – krawaty. Koledzy, w Polsce są krawaty, ale w Polsce nie ma koszul. Wy musicie zrobić te koszule!

Koledzy, w myślenickim jest mój teren. Koledzy, potrzeba mi ludzi bez krawatów, ale z talentem.

Koledzy, jest jeszcze jedna rzecz...

Chodzi o liczby. Liczby w Polsce też nie są w porządku. Koledzy w Polsce jest trzydzieści dwa miliony cyfr, a z tego jedna cyfra jest tylko w porządku, tą cyfrą jest zero. Koledzy, wy jesteście to zero. Od was się dużo wymaga. Wy z tego zera musicie zrobić kształt dalszych, pięknych liczb. Wy musicie z tego zera zrobić jeden, dwa, trzy, cztery (tu przemawiający liczy do trzydziestu dwóch milionów).

Koledzy, teraz trochę historii. W myślenickim był gestapowiec, nazywał się Hinc. Chłopci chcieli wystawić „Wesele”. Hinc dowiedział się o tym projekcie. Dawaj spędzać chłopów: zróbcie mi to wesele. I chłopci pod przymusem

tańczyli 24 godziny... Koledzy, Hinc uciekł. Ale chłopci go znajdują. Jak myślicie, koledzy, ile godzin będzie tańczył Hinc, jak dostaną go w swoje ręce?

Chodzi o cyfry. Boy obliczył, ile pieniędzy wydał balzakowski Nutzingen na utrzymanie swoich trzydziestu dwóch kurtyzan. Boy był realistą – Balzac był realistą. Koledzy, obowiązuje realizm. Nauczmy się liczyć. Jeśli się nie opamiętacie, będzie jeszcze gorzej.

Koledzy, idę ulicą Krupniczą – ciastka. Sklep mieszany – ciastka. Patrę w prawo, sklep bławatny – ciastka, patrę w lewo: dom literatów – ciastka!

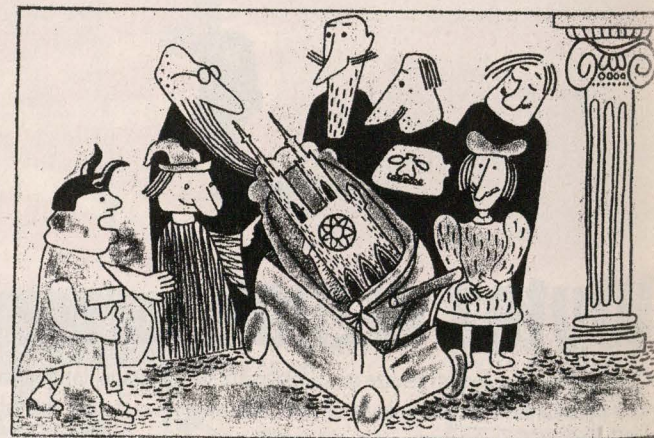
Koledzy, jest dobrze – ale jeśli się nie opamiętacie, będzie gorzej!

(Nr 4, 6 V 1945)

HISTORYNKI

RYSOWAŁ MARIAN EILE

OBRAZKI Z DZIEJÓW
POWSZECHNYCH



NARODZINY GOTYKU (FRANCJA około 1150–1200)

Pierwszy architekt: Spójrz, jaki ten styl gotycki ładny, jakie ma ostre łuki...

Drugi architekt: Jak odsłania związki między częściami, które ciążą, a tymi, które dźwigają...

Trzeci architekt: Jaki strzelisty, jaki bogaty, a jaki ascetyczny.

Baumeister Niemiec: Halt, panowie. To my, Germanie, urodziliśmy gotyk. To jest nasz rdzenny styl starogermanski.

(Ogólny śmiech)

(Nr 5, 13 V 1945)

Prima Aprilis w maju

Familie Göring



Fotografie z albumu
rodzinnego

Herman Goering
jako dziecko



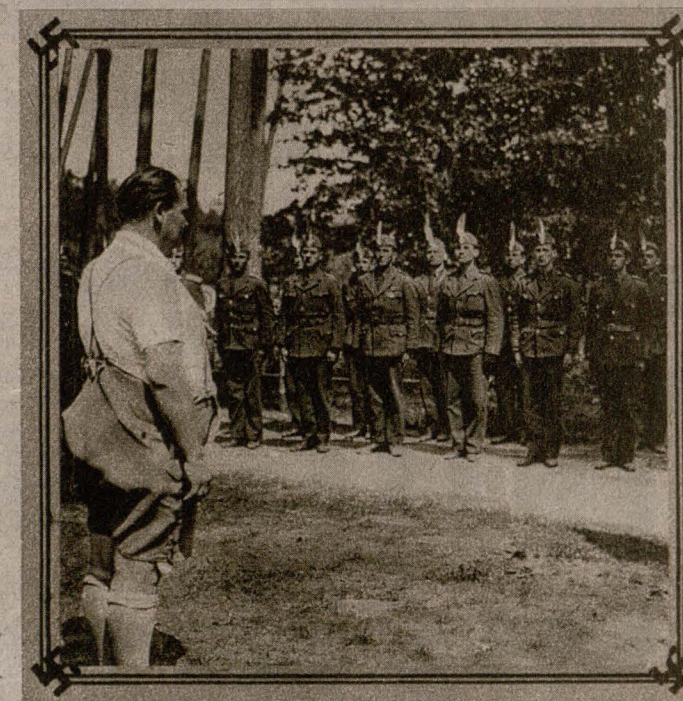
Mamusia Hermana



Ojciec i rodzeństwo Hermana. Od lewej: Siegfried Goering, Tusnelda Stinker geborene Goering, Papa Goering, Brunhild Galgenvogel geb. Goering, Sieglinde Goering



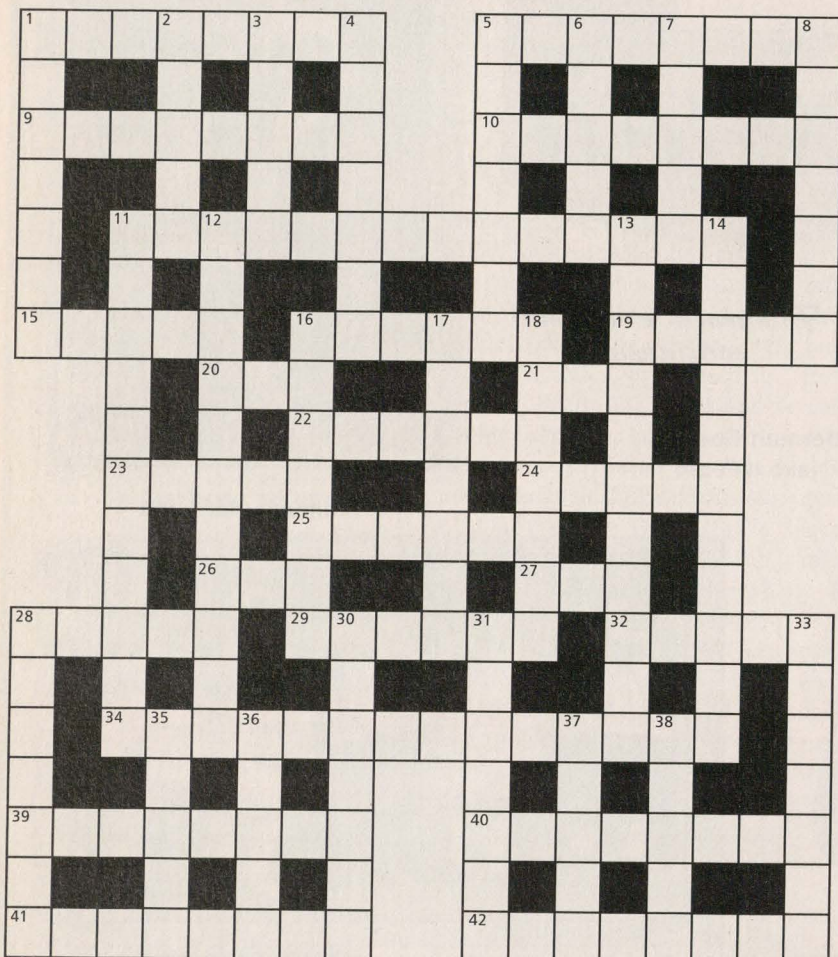
Pierwsze kontakty Hermanka z Adolfkiem



Herman dorosły



Okładka nru 3



POZIOMO:

- 1 matuzaleмка rodu
- 5 skalisty północny przylądek Norwegii
- 9 pantofelki nie tylko dla tkaczy
- 10 pracownik często niewykwalifikowany
- 11 drugi obok stetoskopu w wyposażeniu lekarza
- 15 pognała na Ukrainę
- 16 M-9 Muz
- 19 topiony w sreberku
- 20 przekształcone w Tokio
- 21 młócił na klepisku
- 22 poeci sławiący za lemiešem
- 23 suchy kijek
- 25 łódki na Jangcy
- 26 tyle co narty
- 27 kosztowny pasek kimona Japonki
- 28 hazardzista Dostojewskiego
- 29 Wielka Brytania
- 32 mebel dla koneserów
- 34 uspokajacz
- 39 wolnomyśliciel
- 40 pompował organowe miechy
- 41 pustynne szlaki przemierza
- 42 miododajna roślina stosowana i w lecznictwie, i w kosmetyce

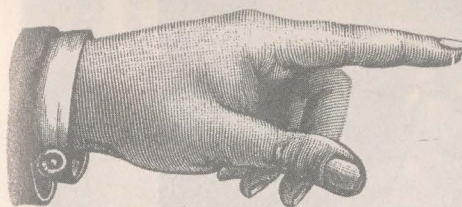


COPERNICUS
Nieżemska pokusa

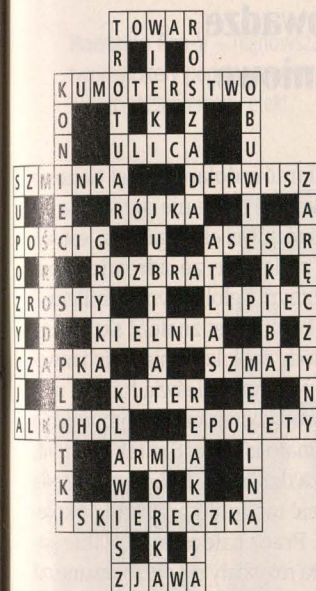
PIONOWO:

- 1 tam podążał Koziołek Matolek
- 2 śniadaniowe pieczywo
- 3 owoc z poślizgową skórką
- 4 kłątwa
- 5 coś dla anesteziologa
- 6 śpią w jeziorze
- 7 kichające państwo
- 8 kelnerowi pomagali
- 11 ogół
- 12 dzierlatka, krewniaczka skowronka

- 13 dobrowolnie opuścił ojczyznę
- 14 Podbity miecz
- 16 małżonka duchownego prawosławnego
- 17 świeże wiadomości
- 18 zdobył i zniszczył Kartaginę
- 28 najmniejszy roślinożerny ssak kopytny żyjący w Afryce
- 30 nieodzowny składnik wody kolońskiej
- 31 patron
- 33 kumpel kornika
- 35 samo zdrowie
- 36 w igielnym uchu
- 37 brat Prometeusza
- 38 3 lutego możesz złożyć mu życzenia imieninowe

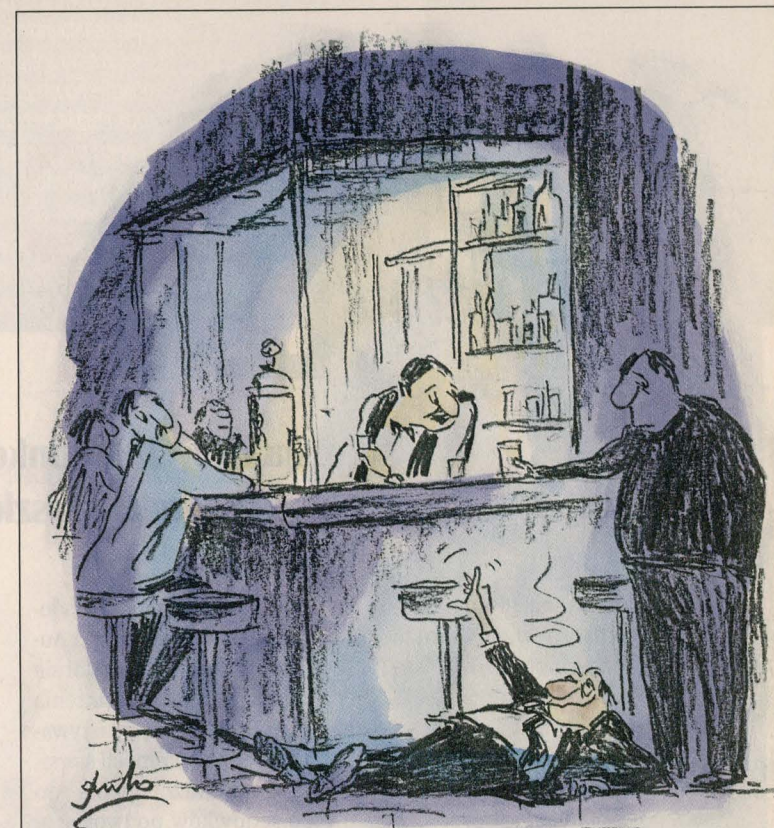


Rozwiązanie krzyżówki nr 21



● Wśród Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie krzyżówki do **niedzieli 17 czerwca** (decyduje data stempla pocztowego), rozlosujemy pięć zestawów kosmetyków ufundowanych przez **POLLENĘ EWĘ SA** – wiodącego producenta kosmetyków w Polsce. Nasz adres: **PRZEKRÓJ, 30-960 Kraków, skr. pocztowa 533, z zaznaczeniem „Krzyżówka 23”.**

● Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 20 – pięć zestawów kosmetyków ufundowanych przez **URODĘ SA** wylosowali: Teresa Wilk, Kolbuszowa; Aleksandra Coputa, Węgierska Górka; Aleksandra Kaszper, Katowice; Elżbieta Lach-Papeé, Cieszyń; Janina Paulo, Chorzów. **Gratulujemy!**

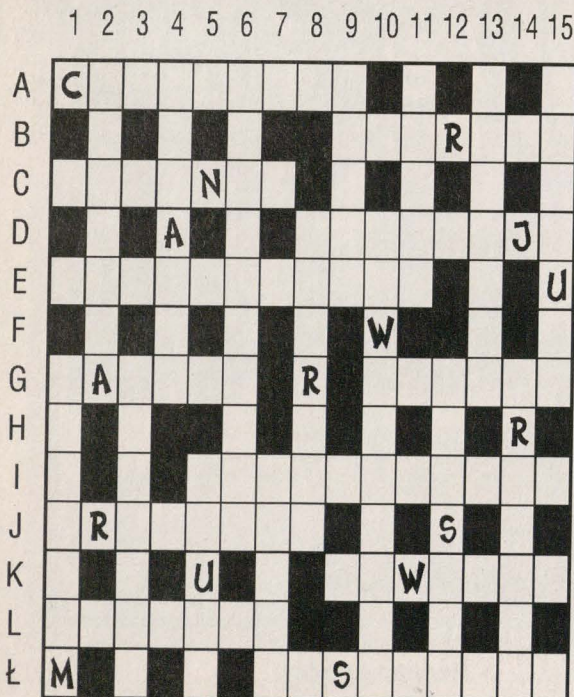


– W życiu, chłopie, jak w krzyżówce – trochę pionowo, a trochę poziomo.

JOLKA nr 23



Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Dla ułatwienia ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:



F15 – D12 – H1 – A13 – J8 – F8 – L1 – B14 – B2 – L6 – G10 – A5 – K15 / Ł8 – K12 – L10 – L4 – B10 / E1 – B4 / C7 – H12 – K9 – A7 – J14 – G11 – H3.

Wyrazy 11-literowe:

- maska liska • antidotum na brak żagli

Wyrazy 10-literowe:

- tyle samo zamiast • prozaiczna przyczyna poruszenia kina

Wyrazy 9-literowe:

- unosi pokrywy i firr • rowerowa stolica Europy

Wyrazy 8-literowe:

- odcina kawałek morza • od Zawratu po Krzyżne (4+4)

Wyrazy 7-literowe:

- narkomani nazywają ją imieniem pani Zeusowej • przeciek dla kinomanów • normom urąga • w żyłach gna • na kanapce od soboty do czwartku • wena

bohatera • reżyser „Cwału” i „Struktury kryształu”

- Dunaj mu pięciolinią • jej zęby są na końcu

- rozkraczony nad ogniskiem • dziś, gdy ku dachom wznoszą oczy, patrzą już na niego krzywo • teczka pełna akt • czynność do ani mi się

Wyrazy 6-literowe:

- papierowy towarzysz studenckiego latania • ostatni przystanek Jamesa Cooka

Wyrazy 5-literowe:

- otwór w maliny • party bez hamulców • Adamowy półfabrykat • półmetek codziennej wędrówki słońca

● Wśród Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie „Jolki” do **niedzieli 17 czerwca** (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych pięć upominków-niespodzianek ufundowanych przez „Przekrój”. Rozwiązania prosimy nadsyłać do redakcji „Przekroju”, 30-960 Kraków, skr. pocztowa 533, z zaznaczeniem „Jolka 23”

● Rozwiązanie Jolki nr 21: **JAK ZWYKLE USŁYSZAŁEM „PSTRYK” I POMYSŁ BYŁ GOTÓW** (z „Pamiętników Tatusia Muminka”).

● Rzędami: ajatollah, akuszer, szabota, odsyłacz, wielorybnik, Marcin, ogarek, diagnostyka, niesława, psubrat, Clinton, Sobiesław.

● Kolumnami: mównica, jezuita, rebelia, tubylec, dluto, Lotaryngia, awans, obsługa, Haydn, Sikorowski, muzyk, autobus, szpaler, enklawa, prozaik.

● Za poprawne rozwiązanie Jolki nr 20 – pięć upominków ufundowanych przez redakcję „Przekroju” wylosowali: Adam Wnęk, Olsztyn; Kornelia Czwojda, Poznań; Teodor Halicki, Kielce; Halina Andrzejewska, Kalisz; Zofia Okrutniewicz, Rabka Zdrój. **Gratulujemy!**

99,40 FM 91,30 FM
RADIO ECHO
93,80 FM
ul. Wałowa 6
33-300 Nowy Sącz
tel. (0-18) 443-73-21

RADIO PARADA
96.00 FM

TWOJE RADIO
JOWISZ 106,2 FM

98.10 FM **RadioMAKS**
Tarnów
Biuro reklamy Radia MAKS tel./fax (014) 621-29-29

radio **Merkury** 91.1 FM 91.9 FM 100.9 FM 102.7 FM 103.6 FM
POZNAŃ
Reklama: tel. (0-61) 865-83-73

TWOJE RADIO
WAŁBRZYCH 91,8 FM

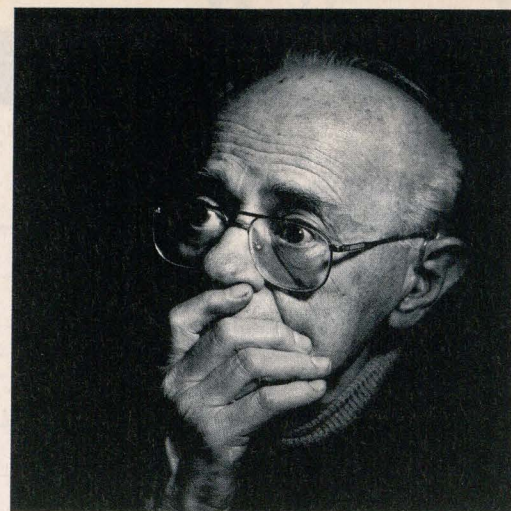
SLUPSK 91.50 FM KOSZALIN 99.70 FM LEBORK 102.90 FM
Vigor RADIO
tel. 059 8423257

Ostrołęka **RADIO OKO**
106.7 MHz

radio **TAK** 98,0 i 106,5 FM
Biuro Reklamy 25-363 Kielce, Wesola 47/49, tel. (041) 362 09 51

RADIO KRAKÓW Małopolska
Ełk: 101,8 FM Tarnobrzeg: 101,0 FM Nowy Sącz: 90,0 FM Zakopane: 100,0 FM Krynica: 102,1 FM Babka: 87,4 FM Sucha Beskidzka: 87,4 FM Świdów: www.radio-krakow.pl

Co Pan na to, Panie LEM!



FOT. BOGDAN KRZEL

Ekspansja obcych gatunków może zagrozić równowadze w przyrodzie, uszkadzając łańcuchy żywieniowe.

Tak zwana globalizacja oznacza wiele bardzo różnych procesów. Pisze się już sporo o jej efektach ekonomicznych, informacyjnych, socjologicznych. Te ostatnie mają w naszych czasach postać takiego przyboru, że można mówić o wędrówkach ludów. Szczególnie Europa Zachodnia – obszar państw światowej czołówki zamożności – jest magnesem, który przyciąga tłumy. Usiłują one uciec z Trzeciego Świata, czyli z wielkich obszarów biedy, której symbolicznym wskaźnikiem jest fakt, że co dwaście sekund umiera na świecie z głodu dziecko. Są jednak takie rezultaty globalizacji, o których uprzednio nikt nie pomyślał, chociaż miały one swoje nieliczne antecedencje.

W ubiegłym stuleciu w Australii niesłychanie rozmnożyły się króliki i – żeby zlikwidować ich plagę – sprowadzono pewien gatunek wirusa, który przyczynił się do zagłady ogromnej większości małych zwierzątek. Potem jednak, jak to zwykle bywa w przyrodzie, doszło do mutacji i pojawiły się króliki odporne na ich epizootię.

Proces globalizacji powoduje takie niekontrolowane przemieszczanie się najrozmaitszych gatunków roślin i zwierząt z terenów, na których zadomowiły się z dawien dawna, do zupełnie nowych okolic, gdzie zmieniają się w groźnego, niespodziewanego

szkodnika. I tak na przykład jadowity brunatny wąż drzewny z Australii i z Indonezji przedostał się na Guam i dalej rozprzestrzenił się przez Pacyfik, często używając jako środka lokomocji samolotów, ponieważ wpełza do owych schowków podwozi, do których startujący samolot wciąga koła. Małe drapieżne zwierzątko, znane pod nazwą własną Riki Tiki Tawi z opowiadania Kiplinga, sprowadzono do Indii Zachodnich, ażeby zlikwidowało rozmnażające się tam szczury, ale niestety ofiarami jego stały się również liczne miejscowe gatunki ptaków, jaszczurek i płazów. Pewien gatunek mrówek, w który obfituje Azja, w pośredni sposób niszczy lasy deszczowe na Wyspach Bożego Narodzenia, ponieważ likwiduje kraby lądowe mające wielką i ważną rolę do spełnienia w miejscowym systemie ekologicznym. W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy mrówki zabiły trzy miliony krabów.

Globalizacja skutkuje wędrówkami roślin i zwierząt, wskutek czego uchodzą one z krajów,

gdzie stanowią normalną część flory i fauny i – dostając się tam, gdzie nigdy ich nie było – okazują się nowymi odmianami niszczącej zarazy. Są to chwasty, a także pasożyty pojawiające się w nowych siedzibach, ponieważ jacyś ludzie umyślnie je przywożą, albo ponieważ same wkradają się do okrętów, kontenerów, a nawet samolotów. Kilkanaście lat temu, jak sobie przypominam, widziałem fotografię olbrzymiego niby męska dłoń pajaka, przywiezionego nieumyślnie do polskiej dojrzałwalni bananów.

Światowy Związek Zachowania Przyrody w Szwajcarii twierdzi, że ekspansja obcych gatunków może rychło urosnąć do jednego z większych zagrożeń równowagi w przyrodzie, uszkadzając tak zwane żywieniowe łańcuchy. Naukowcy stojący na czele tej organizacji utrzymują, że należy walczyć z inwazjami obcych nie z jakiegoś Marsa, ale z naszej własnej planety. Wyliczają przy tym, że straty ekonomiczne wywołane przez nieproszonych przybyszów kosztują rocznie kilkaset

miliardów dolarów. Jest to nowe zjawisko, które nie ogranicza się do światowej ekologii, lecz jest ściśle związane ze zdrowiem publicznym i globalnym handlem.

Trudno jest znaleźć skuteczne metody zablokowania takich inwazji, ponieważ nieświadomym rozmiarów zjawiska osobom wydają się mało istotne. Skutek jest taki, że za dzisiejsze hekatombę będą płacić rachunki przyszłe pokolenia. Przez całe wieki lokalne gatunki rozwijały się odizolowane od siebie oceanami i górskimi łańcuchami, lecz nowoczesna eksplozja masowej turystyki i handlu, na równi z osłabionymi kontrolami celnymi i brakiem odpowiedniej kwarantanny doprowadziły do gwałtownego rozprzestrzeniania się obcych gatunków. W samych tylko Stanach Zjednoczonych pojawiło się około dwudziestu procent nowych gatunków, dawniej tam nie znanych, a dzisiaj wysoce szkodliwych. Organizmy te nie tylko wkraczają na nowe obszary, ale często opanowują nowe terytoria, ponieważ są większe lub bardziej agresywne niż gatunki miejscowe, a żadne rodzaje drapieżców nie kontrolują ich liczby.

Dodajmy nareszcie, że przyszła, która wybuchła w Wielkiej Brytanii, jest klasycznym przykładem obcej inwazji, ponieważ spowodowała ją wirus pochodzenia azjatyckiego, wobec którego miejscowe trzody były bezbronne.

STANISŁAW LEM
28 maja 2001



RYŚ: DIMITRI SZEVIKOW-KISIELOW



SILVER – szampon przeznaczony do włosów rozjaśnionych lub siwych. Nadaje fryzurze blask i srebrzystą przejrzystość. Jednym ze składników szamponu jest barwnik, który neutralizuje efekt żółknięcia włosów i dostarcza im dawkę efektywnych odcieni opalizujących.

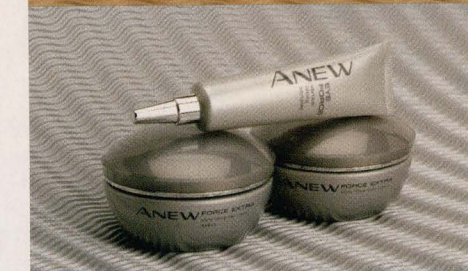
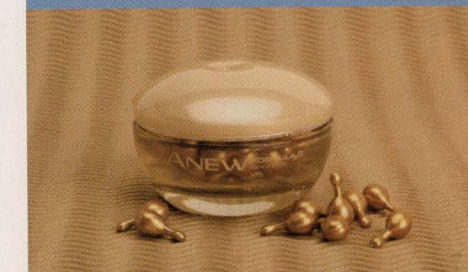
Pantene Pro-V – najnowszą linię kosmetyków tej marki do codziennej pielęgnacji i stylizacji włosów tworzą cztery podstawowe warianty obejmujące szampony, balsamy, pianki, żele i lakiery pomagające osiągnąć zamierzony efekt.



- Pantene Pro-V Większa Puszystość – specjalna, lekka formuła kosmetyków pomaga w modelowaniu i nie obciąża włosów, dzięki czemu są puszyste i sprawiają wrażenie, że jest ich więcej niż w rzeczywistości.
- Pantene Pro-V Jedwabista Miękkosć – ten zestaw kosmetyków przyda gładkości i blasku włosom szorstkim, lekkim oraz cienkim, pomoże wyeliminować niekontrolowane unoszenie się niesfornych kosmyków.
- Pantene Pro-V Lśniący Kolor – seria kosmetyków skierowana głównie do pań, które farbują włosy i pragną na długie tygodnie zachować intensywność koloru.
- Pantene Pro-V Codzienna Pielęgnacja – kolekcja przeznaczona do pielęgnacji wszystkich rodzajów włosów. Preparaty działają bardzo delikatnie – można je stosować do włosów naturalnych oraz bezpośrednio po zabiegach fryzjerskich, takich jak ondulacja czy farbowanie.



THERMAL S MAT – matujący krem trwale nawilżający, nowość Vichy Laboratoires. Lekki i nietłusty krem o konsystencji żelu pobudza naturalny cykl nawilżania skóry. Działa 24 godziny. Zawiera m.in. wodę termalną z Vichy bogatą w wapń, cynk i magnez, łagodzącą podrażnienia oraz mikrocząsteczki krzemu, które tworzą na powierzchni naskórka delikatną warstwę ochronną zapobiegającą blyszczeniu się skóry.



ANEW – linia kosmetyków do pielęgnacji cery opóźniającej proces starzenia się skóry jest w tej chwili najnowocześniejszą i najbardziej zaawansowaną technologicznie serią Avonu przeznaczoną do cer dojrzałych. Pamiętajmy, że z upływem lat skóra przestaje wystarczać nawilżanie – traci elastyczność i blask, a zmarszczki niestety się pogłębiają. Anew obejmuje kompleksy nawilżające na dzień, na noc i pod oczy, kapsułki z witaminą C, kremy Źródło Młodości oraz odnawiające w wersji na noc i na dzień. Serię uzupełniają żel do twarzy i oczyszczająca maseczka, która wygładza nierówności i łagodnie zluszcza martwy naskórek.

ŚMIESZNOTY

Mato kto już pamięta przedwojenną powieść półpormograficzną pod tytułem „18 karatów dziewczęta”. Napisał ją niejaki Pitigrilli. Jego nazwisko okazało się doskonałym wymiennikiem pewnych niezbyt przyzwyczajonych wyrażań. Odtąd w salonie można już było powiedzieć do damy „Czyś ty zwa-riowała, z kim ty się pitigrillisz?” zamiast czegoś bardziej dosadnego. „Nie pitigrilli!” też było do zaakceptowania nawet wśród Radziwiłłów. Ostatnio, w związku z powszechną karierą grilla, pitigrillen- znowu ma szansę powrotu do łask. Dotarło już do „Śmiesznot” takie powiedzenie: „Najpierw się po- grilli, a potem popitigrilli!” *

W związku z ogólnym marketingo- waniem naszego życia kulturalnego proponujemy nazwisko naszego naj- słynniejszego (jak dotąd!) kompozy- tora pisać w sposób bardziej zrozumi- ały dla światowej klienteli – Sho- pen, że niby jest to shop stale open. *

Według ostatnich danych tylko 300 milio- nów Chińczyków kopci papierosiska. W sto- sunku do ogólnej liczby ludności jest to bar- dzo niewiele. Zaledwie co piąty czy szósty Chińczyk rozpała sobie to chwilowe ognisko pod nosem. Fakt, że w Chinach wszyscy ma- ją żółte palce, jest w tym wypadku okolicz- nością nieco mylącą. *

Rynek kolorowych pism kobiecych jest niezwykle pojemny. Zdaniem fachowców od tego typu marketingu ciągle jest jeszcze na- nim miejsce na takie choćby tytuły:

- KSANTYPA
- HORPYNA
- PANI Z BACIKIEM
- TEGAWICA
- KUMOCHA
- MADAME FRANKENSTEIN
- DAMSKIE MONSTRUM
- I
- BABISZON

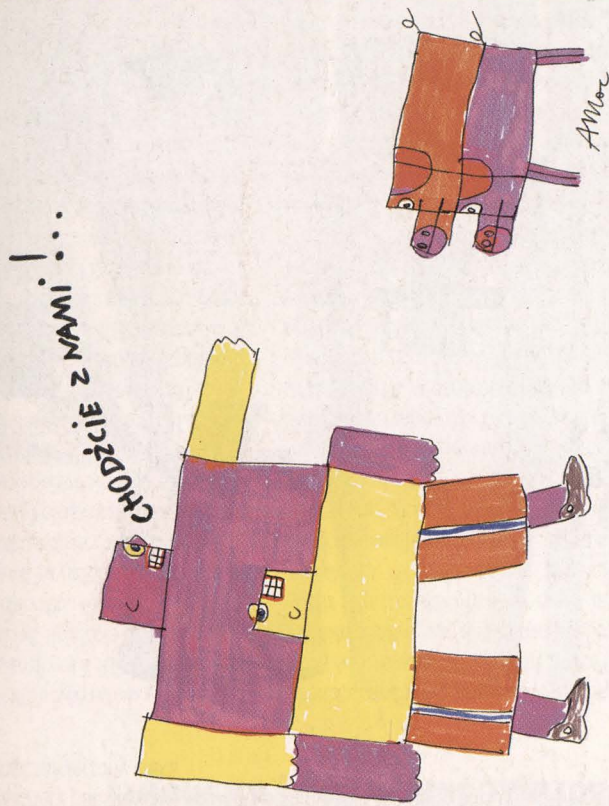
Dopiero po ukazaniu się tych pism będzie- my mieli pełny obraz słodkiej kobiecości. *

Duże szkody w ekonomii pubowo-knapiarskiej robi kultowy film „CHŁOPAKI NIE PŁACĄ”. *

Kilka razy dziennie namawia się nas w ra- diu lub w telewizji do brania kredytów. Nie ulegajmy zbyt łatwo tym kredytynom. *

BRAT PRZEK-ROJEK

Rys. Adam MACEDOŃSKI



Najwięcej kłopotu mają rodzice z ta- kim chłopczykiem, który jest jeszcze za mały, żeby go zostawiać samego w domu, a już za duży, żeby go zоста- wiać samego z nianią.

Boi się Janosicki

„Tygodnik Podha- lański” (nr 6) w dziale MATRYMONIALNE zamieszcili takie ogłoszenie:

Poznam „oswojo- ną” pannę z Podhala. Janusz...

Idealna chyba bę- dzie taka, która na czworakach potrafi chodzić przy nodze. (Nadesłał: E. Biela)

ŁADNIE UBRANI

Pół zdania z nume- ru 10 „Najwyższego Czasu”:

Na polecenie JE Aldony Kameli-So- wińskiej, pierwszego ministra noszącego spodnie...

Reszta gabinetu, jak wiadomo, z premie-

Bardzo trudną dyscypliną sportową jest trójsskok, bo naj- pierw skacze się na jednej no- dze, potem na drugiej, a w koń- cowej fazie – na trzeciej, która powinna być najdłuższa. *

U nas Marki to są ludzie, a u Niemców to pieniądze. *

Ojciec Goriot po osiągnięciu dojrzałości znalazł córkom bogatych mężów. *

Jeż i jaskółka pomagają rolnikom w zja- daniu owadów.

HUMOR ZESZYTÓW nadesłał: J. Kaptur z Toma- szowa Lubelskiego; M. Trachimowicz z Ostrowa Wiel- kopolskiego; E. Sobon-Kidawa z Będzina i A. Koza- rzewski z Pułtuska. *Delektujemy.*

WASZ PARLAMENT

Wasz parlament – dziki tłum,
Gdzie pół ludzi, a pół bydła.
Wasze głosy – wichru szum,
Wasze prawa – bańki z mydła.
Ten stan trwogi, ten stan męki
Koniec końców pęknąć musi,
Oswobodzi – ale zdusi.

(Aleksander hr. Fredro)

SAMA PRAWDA

Z etykiety KASZAN- KI BAŁUCKIEJ dowia- dujemy się, co wchodzi w skład tego produktu: **podrobry, tłuszcz wp, krew, sól, przyprawy naturalne.**

O kaszy ani słowa, bo wiadomo, że kaszy raczej się nie lubi.

(Nadesłał: J. Strychmo)

CHCIELIBYŚMY WIEDZIEĆ

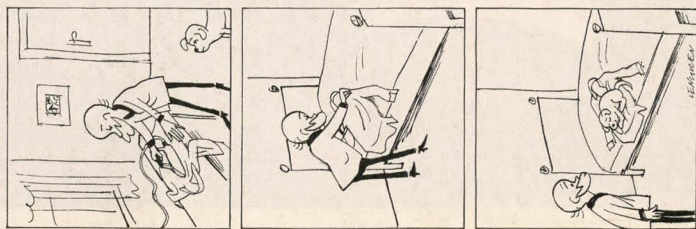
„Gazeta Wrocławska” (nr 36) poinformowała o zmianach w ruchu:

...zamknięty dla ru- chu zostanie odcinek ul. Kiełbańskiej, od św. Maja do pl. Solne- go.

Czy to św. dotyczy również 1 Maja?

(Nadesłał: Z. Chuchla)

FLUTER



PROSIMY NIE POWTARZAĆ

O WACUSIU
– Panie Falczak, czy mówi pan po angiel- sku albo po francu- sku? – zapytał Falcza- ka daleki znajomy.
– Niestety – odparł Falczak. – Nie mówię.
– Wobec tego będę musiał zapytać pana po polsku – czy może mi pan na parę dni po- życzyć tysiąc złotych?